

Rawinis M. P.

Saga rodu z Lipowej 18

Tęsknota

Elżbietka wyrosła na urodziwą pannę i chętnych do jej ręki nie brakowało. Jej ojciec, Jenó, upatrzył dla córki Konrada ze Szczekocin i czynił wszystko, żeby go przyjęła. Konrad wydawał się bardzo dobrą partią. Był pięknym, ciemnowłosym, młodym mężczyzną, do którego wzdychało wiele niewiast. Ładnie się uśmiechał, a w jego czarnych oczach czaiło się coś, co niewoliło kobiety. Konrad ujrzał Elżbietkę w kościele i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, ale ona wcale nie paliła się do zamążpójścia...

Złodziejaszek

Złodziejaszka przyłapano na jarmarku w Holsztynie, po tym jak odciął sakiewkę jednemu z cudzoziemskich kupców. Próbował uciekać, ale strażnicy schwytali go łatwo, bo w miejscu, gdzie gromadziły się tłumy i nigdy nie brakowało obwiesiów gotowych wzbogacić się na cudzej krzywdzie, nie brakowało też miejskich pacholców. Nieznajomego, dość nędznie ubranego podrostka, przyprowadzono przed oblicze starosty i rzucono na ziemię. Darł się wniebogłosy i domagał sprawiedliwości.

- Zostawcie mnie! - szarpał się. - Nie macie prawa mnie zatrzymać, podlegam tylko kościelnej jurysdykcji.

Nosił strój podobny do habitu, a na głowie miał skórzaną czapkę, ciasno przylegającą do głowy.

- Władza świecka nic do mnie nie ma! - upierał się. - Nie ruszajcie mnie, jeśli nie chcecie narazić się na klątwę samego pana biskupa!

Jeno z Krasawy dał znak, żeby strażnicy uciszyli więźnia i kiedy dali mu parę kuksańców, zamilkł. Jeden z żołnierzy dokładnie obmacał ubranie chłopaka i znalazł w zanadrzu wyszywaną sakiewkę ze skóry.

- To twoje? - zapytał pan Jeno.

- A pewnie! Mówiłem, poniechajcie mnie!

- Co jest w środku?

- No, wiadomo - odpowiedział tamten zuchowato.

- Skoro twoje, to wiesz, ile i w jakim pieniądzu. Chłopak zawahał się, a pan Jeno nabrał pewności, że ma przed sobą jarmarcznego złodzieja. Kazał zdjąć czapkę z głowy leżącego i wszyscy mogli zobaczyć, że ten nie ma

lewego ucha. Był to najwyraźniej ktoś, kogo już wcześniej przyłapano na kradzieży. Starosta skinął ku swoim.

- Na razie zamknijcie go w jamie - polecił. - Porozmawiam z nim później. Po drodze dajcie mu ze dwadzieścia różeg, żeby się nie stawiał i był bardziej rozmowny.

- Litości! - wrzasnął chłopak.

- Zamknijcie - powtórzył Jenó. - I przygotujcie narzędzia, które będą mi potrzebne do badań. Muszę się dowiedzieć, gdzie ukrywa się zbój Jaksá, a ten tu złodziejaszek do niego zaprowadzi.

Chłopak wyrwał się strażnikom i przypadł do nóg starosty;

- litości, panie! - wołał. - Tylko nie żelazem! Wszystko por wiem, do wszystkiego się przyznam! Tylko nie żelazem!

- Nie jesteś mnichem? -Nie.

- Ani scholarem, który podpada pod kościelne prawo? -Nie.

- Zatem kim?

- Jestem Nikosz, syn bednarza Krzyżana.

- Kradłeś? I za to obcięto ci ucho?

-Tak, panie. Ale to pomyłka. Bo ja tylko pomagałem innym. Tylko pomagałem! Pan Jenó zmarszczył brwi.

- Komu pomagałeś?

Chłopak zawahał się. Widać było, że się boi.

- No! - ponaglił starosta.

- Jaksie - wydukał chłopak.

Zamilkli. W ostatnich miesiącach zdarzyło się kilka szkaradnych zbrodni w okolicy. Obwiniano o nie Jakse, groźnego rozbójnika, którego większość ludzi starosta już był pojmał i ukarał. Z całej, licznej niegdyś zbójckiej gromady, uratował się tylko jej herszt.

- Zmiłujcie się - błagał chłopak. - Ja tylko pomagałem. Pan Jenó podszedł i pochylił się nad leżącym.

- Nikosz, tak? - zapytał groźnie. - Pomagałeś tylko? I za to też jest kara. Chyba, że pomożesz schwytać tamtego.
- Pomogę, panie! - zapewnił szybko wyrostek. - Pomogę.
- Gdzie on się ukrywa?
- Niedaleko, panie. Ma kryjówkę koło Mstowa. Zaprowadzę.

Pan Jenó podniósł brwi.

- Koło Mstowa? Byłeś tam? I może to ty zbójowałeś w zeszłym tygodniu koło Miłosnej Skały?
- Nie ja, panie! - krzyczał Nikosz. - To Jaksa.
- Jaksa zabił? Wiesz to?
- Tak, panie.
- Dla rabunku? -Tak.
- Niewiastę? -Tak.
- I jej dzieci?
- Tak.

Pan Jenó skinął, żeby zabrano więźnia.

- Tylko pilnować bacznie - polecił. - Nie może ujść królewskiej sprawiedliwości tak szkaradna zbrodnia.

Elżbietka

Lato 1396

Tego lata jedyna córka pana Jenó z Krasawy i pani Aleny skończyła dwanaście lat i osiągnęła pełnoletność.

Elżbietka wyrosła na piękną pannę, a że była też niegłupia i posażna, chętnych do jej ręki nie brakowało. Z wyglądu bardzo przypominała matkę. Podobnie jak pani Alena była jasnowłosa, wysoka i wyprostowana, dumnie nosiła głowę, bę-

dąc jednak w obejściu miłą, uśmiechniętą, wcale niesurową i niedostępną, jak to mogło wyglądać na pierwszy rzut oka.

Lubiła się stroić, kochała klejnoty, suknie i błyskotki. Dobrze jeździła konno, ale jej matka, choć sama w młodości przepadała za uganianiem się po wzgórzach, córce wzbraniała tej rozrywki, uważając, że nie przystoi ona młodej panie, poważnej już i gotowej do zamęścia.

Pan Jenó upatrzył dla córki kandydata na męża wśród bogatych synów swoich licznych przyjaciół i od dłuższego już czasu czynił starania, żeby przystała na jego rady. Elż-bietka z uwagą wysłuchiwała ojca, zachwalającego zalety pewnego młodego człowieka, ale gdy zapytał, co o tym sądzi, unikała jego wzroku.

- Sama nie wiem, ojcie - odpowiedziała wykrętnie. - Jakoś jeszcze nie myślałam o małżeństwie. Mam przecież dopiero dwanaście lat...

- Nie każę ci iść za mąż już teraz. Ale może warto wybrać kogoś dla siebie. Mam przecież swoje lata, a chciałbym jeszcze zatańczyć na twoim weselu.

- Co też mówicie! - oburzyła się Elżbietka. - Jesteście w pełni sił i nawet żartować tak nie powinniście.

Jeno z Krasawy miał dobrze ponad pięćdziesiąt lat, ale trzymał się prosto, był nadal nadzwyczaj silny i nie dokuczały mu żadne choroby. Wielu mężczyzn w jego wieku uważało się już za starców, lecz nie on, który stale był w ruchu i w domu rzadko zagrzewał miejsce.

- Nikt nie może być pewny swojej godziny - westchnął teraz.

Konrad ze Szczekocin herbu Odrowąż, wydawał się bardzo dobrą partią. Był pięknym, ciemnowłosym młodzieńcem, do którego wzdychało wiele panien w całym kraju. Zgrabnej postury, ładnie się uśmiechał, a w jego czarnych oczach czaiło się coś, co wprost zniewalało niewiasty. Wyr starczyło, że spojrział, że powiedział słów parę swoim głę-

bokim niskim głosem, a omdlewały prawie w nadziei, że to właśnie do nich przemówi jego serce.

Konrad ujrzał Elżbietkę w kościele świętego Marcina i zakochał się od pierwszego wejrzenia w jej jasnych, roześmianych oczach. Przez całe nabożeństwo popatrywał na lewą stronę świątyni, gdzie stała pośród innych niewiast, i zapominał przyklęknąć kiedy trzeba, a to zachowanie zostało oczywiście natychmiast zauważone.

Elżbietka wróciła z matką do domu, w ogóle nie wiedząc, co działo się w jego duszy, bo ona sama nie poczuła nic na widok młodego rycerza. Konrad był piękny, dostojny i wspaniały, to prawda, ale serce Elżbietki nie odpowiedziało na jego wezwanie.

- Młodego Konrada jakby piorun trafił - zauważyła pani Alena. - Całą mszę nie odrywał oczu od naszej córki.

Pan Jenó był zadowolony, bo w planach wydania córki brał pod uwagę i jego osobę. Młodszy syn Jana ze Szczekocin był bogatym rycerzem, należącym do najbliższego otoczenia króla i posiadał wielkie włości. Konrad miał wszystkie zalety swojego rodu - bogactwo, dobrą sławę i przyszłość. Mógłby szukać żony w lepszych sferach, ale upodobał sobie Elżbietkę z Lipowej i jeszcze tego samego dnia postanowił, że ożeni się tylko z nią - albo z nikim innym.

Elżbietka nic o tym nie wiedziała.

- Niczego nie zauważyłam - przyznała się matce. - Powiadacie, że mi się przyglądał?

- Cały czas - uśmiechała się pani Alena. - To wielki pan, inne panny mogą tylko marzyć o tym, co zdarzyło się tobie, moje dziecko.

Elżbietce nawet się podobało zainteresowanie Konrada, szczególnie po tym, jak dowiedziała się, że zazdrozczono » jej powszechnie, ale ona sama niczego sobie po takim zachowaniu nie obiecywała. Jakby zupełnie nie zależało jej na paniczu ze Szczekocin.

- Mam jeszcze czas - mówiła wykrętnie. - Chyba nie mu-

szę poślubić pierwszego, który miałby ochotę żenić się ze mną.

- Ten nie jest pierwszy lepszy - zauważyła pani Alena. - To syn Jana ze Szczekocin, wielki pan i rycerz. Pogratulować takiego kandydata, wszyscy ci zazdroszczą już teraz, moja córko.

Pani Alena wydawała się mocno przywiązana do myśli, że wyda Elżbietkę za Konrada i z chęcią rozmawiała o tym ze wszystkimi. A wszyscy mówili o takich zamiarach dobrze, z radością lub zazdrością. Szczególnie po kilku dniach, kiedy pan Konrad pojawił się w Krasawie, potwierdzając swoje zainteresowanie.

Przyjechał w towarzystwie giermka i służby, dostojny, pięknie ubrany. Na dziedzińcu zapytał o pana Jenę, któremu miał jakoby przekazać ważne wieści. Starosta był akurat nieobecny i to pani Alena wyszła na powitanie gościa. Konrad kłaniał się nisko, niezręcznie przeproszał, że przyjeżdża niezapowiedziany i odetchnął z wyraźną ulgą, gdy pani Alena powitała go serdecznie i zaprosiła do domu.

- Jesteśmy wam wielce radzi, panie Konradzie - zapewniała z uśmiechem. - Mój mąż lada chwila powinien wrócić, tedy zechcicie na niego poczekać, bo to długo pewnie nie potrwa. Macie dla niego jakieś wieści?

- Wieści? Nie mam. To jest, mam, oczywiście - niewyraźnie tłumaczył się Konrad.

Nikommu nie powiedział o swoich zamiarach, sam chciał wy badać grunt. Pani Alena od razu się tego domyśliła, a jej ocena młodego człowieka tym bardziej wzrosła. Mógłby przecież Konrad prosić dziewosłębów i długo chodzić ogródkami, ale postanowił, jak uważała, działać prosto i szybko. Pani Alena ceniła szczerłość i umiała docenić odwagę. To zaś stanowiło dla niej dowód, że pan Konrad jest poważnie zakochany w Elżbietce. Konkurent zrobił więc na pani Alenie bardzo dobre wrażenie. Był też szczery.

- Mój ojciec... - przyznał się niepewnie - Mój ojciec jest bardzo porywczy. Chyba nie byłby zadowolony, że zrobi-

łem coś bez porozumienia z nim. Więc was proszę, pani, byście byli dla mnie wyrozumiała. Przyjechałem po prawdzie wcale nie z wieściami dla waszego męża...

Pani Alena dobrze wiedziała, po co przyjechał i dobrze rozumiała, jak trudna to dla niego sytuacja, zgodziła się zatem mu pomóc.

- Wiem - odpowiedziała. - To znaczy domyślam się, co was tu sprowadza, panie Konradzie. Nie mam wam tego za złe, ale poważnie nie myśleliśmy jeszcze o wydaniu za męża naszej córki...

Konrad zaczerwienił się, że tak szybko przejrano jego zamiary. Rozkładał ręce szerokimi, bezradnymi gestami.

- Mój ojciec... - powtarzał. - Mój ojciec... Pani Alena uśmiechnęła się uprzejmie.

- Jestem rada z waszej wizyty - zapewniła. - Ale naprawdę nie wiem, co mam wam odpowiedzieć. Mój mąż jest nieobecny, chyba będzie lepiej, byście odjechali przed jego powrotem, Kiedy pan Jenó wróci, powiem mu o waszej wizycie i zapytam o zdanie...

- No - odważył się wydukać Konrad. - Nie jestem byle kim i dlatego., i dlatego postanowiłem przyjechać i porozmawiać, choć nic nie wspomniałem nawet mojemu ojcu...

Pani Alenie nie bardzo spodobało się to odezwanie.

- My też nie jesteśmy byle kim - przypomniała z naciskiem. - Nie wydaje mi się słuszne, żebyście chwalili się swoją pozycją, zwłaszcza mnie, która mogłabym być waszą matką.

Pan Konrad zerwał się ze swojego miejsca i rzucił do rąk pani Aleny z przeprosinami.

Był tak przejęty, że nie mogła mu nie wybaczyć. Tylko miłość, prawdziwa miłość może tak oszołomić człowieka.

Później jednak, gdy o wizycie Konrada rozmawiała z mężem, była wobec jego zamiarów bardziej powściągliwa.

- Niby tu przyjechał sam, ale stale mówił o ojcu, na którego wolę się ogląda. Nie wiem, czy to jest dobry kandydat dla Elżbietki.

Pan Jenó był podobnego zdania. Wprawdzie odniósł się do propozycji Konrada ze zrozumieniem i nawet pewnego rodzaju przychylnością, ale nie chciał z nim mówić, póki ten nie powiadomi ojca o swoich zamiarach. Taką odpowiedź kazał dać, gdyby Konrad zjawił się ponownie.

- Na zaręczyny jeszcze za wcześnie - postanowił. - Ale jeśli Konrad chce widywać Elżbietkę, nie będę mu bronił. Zobaczymy, jak jest wytrwały w swoich uczuciach i czy to nie tylko młodzieńcze zauroczenie.

Sama zainteresowana odnosiła się do sprawy jeszcze bardziej powściągliwie.

- Jeszcze mi czas za mąż, mój ojciec - odpowiadała Elżbietka łagodnie. - Obiecaliście, że nie będziecie przymuszać.

- Ani mi to w głowie - zapewnił pan Jenó. - Proszę cię tylko, żebyś rozważyła jego propozycję. Na pewno nie będzie to jedyna, jaką otrzymasz, i trzeba, żebyś nauczyła się, jak w takich sprawach postępować.

Najbliższa przyszłość potwierdziła wytrwałość Konrada. Zaczął bywać w Lipowej, starając się zaskarbić łaski rodziców Elżbietki, szczególną uwagę przykładając do zdania pani Aleny, którą traktował z wielkim szacunkiem, u niej szukając poparcia dla swoich zamiarów.

Elżbietka witała pana Konrada bez przesadnej radości, ale też bez niechęci. Ten przyjeżdżał przejęty, przywoził upominki, ale wydawało się, że odwiedziny w Lipowej stanowią dla niego trudne chwile. Siedział w świetlicy mocno zmieszany, rzadko się odzywał, a już niepytany nigdy i tylko oczami wodził za dziewczyną.

Elżbietka sama niewiele się tymi wizytami przejmowała.

- Mam jeszcze czas - powtarzała ze śmiechem. - Dobrze mi w rodzinnym domu i nie ma powodu, żebym spieszyła się gdzie indziej.

Pani Alena łagodnie przekonywała córkę, że nie mogła lepiej trafić.

- Trzeba, żebyś poważnie pomyślała o swojej przyszło-

ści - powiedziała któregoś dnia. - Oboje z twoim ojcem mamy swoje lata. Żeby rozporządzić wszystkim należycie, trzeba wiele czasu i wiele przygotowań.

Lękała się o przyszłość córki i martwiła bardzo, że Elżbietka jest taka jeszcze dziecinna, że zupełnie o tych sprawach nie myśli.

- Zastanów się - powtarzała. - Można to pan, młody i piękny. Może trochę nieśmiały, ale tym łatwiej będzie ci nim kierować...

Elżbietka wydymała wargi.

- Kiedy nic do niego nie czuję, matko - odpowiadała spokojnie. - Mówiliście sama, że uczucie jest ważne w małżeństwie, a ja nic nie czuję. Nawet mnie to martwi. Czekam już długo i nic się nie dzieje.

- Uczucie przyjdzie później - zapewniła pani Alena. - Później, moje dziecko. Kiedy należycie zadamy o twoje wygody, dostatni i bogaty dom, ziemię, służbę, będziesz wtedy miała czas na uczucie.

Pani Alena nie pamiętała już, że gdy ona była młoda, za nic miała uwagi ojca i jego przestrogi. Zapomniała, że sama bez pamięci rozmyślała się w kowalskim synu, biednym i prawie bez przyszłości.

Kilka tygodni później przyjechali do Krasawy dziewosłubowie, żeby w imieniu starosty lubelskiego rozeznaczyć w sytuacji i prosić o rękę Elżbietki dla młodszego syna możnego Jana ze Szczekocin. Zabawili niedługo, ale wyjechali zadowoleni. Pan Jenó nie dał wprawdzie wyraźnej odpowiedzi, ale też i wyraźnie nie odmówił. Zezwolił też, by pan Konrad odwiedzał Krasawę ilekroć tylko zechce.

- Elżbietka chyba jeszcze niegotowa na tak ważny krok w życiu - orzekł. - Więc jeszcze nie czas mówić o zrękwach. Ale niedługo pewnie pomówimy. Może powróci już z wyprawy krzyżowej brat Elżbietki. Bo i Mikołaja trzeba będzie zapytać o zdanie.

Wyprawa

Lato 1396

Od stołecznego Krakowa aż do węgierskiej Budy, gdzie w czerwcu naznaczono zgromadzenie wojsk krzyżowych, Mikołaj z Lipowej jechał w wielkim zadowoleniu, z nadzieją i oczekiwaniem w serca Ale na dworze króla Zygmunta szybko pozbył się złudzeń i postanowił, że powinien pozostawać na uboczu. Bo na dworze króla Zygmunta nie kończyły się uczyty, wystawne przyjęcia, przechwałki i nieustające kłótnie pomiędzy dowódcami. Plany kampanii, powstające w głowach marszałków i hrabiów, były bardzo ogólne i niedokładne.

- Najpierw na odsiecz Konstantynopolowi, potem do Ziemi Świętej i Jerozolimy, żeby oswobodzić Grób Chrystusa. Za dwa lata, kiedy braknie już Saracenów, bo padną wszyscy od naszego żelaza, powrócimy w chwale do domu. Dowódcy byli zadowoleni, ich zdaniem wszystko przebiegało zgodnie z planem. Armia zachodnia wyruszyła ostatniego dnia kwietnia z Dijon i przez Strasburg oraz Bawarię dotarła nad Dunaj, skąd popłynęła statkami do Budy na spotkanie z oddziałami króla Zygmunta, a potem do Wiednia.

Zbierali się powoli, dopiero w lipcu zgromadzili się wszyscy książęta i hrabiowie ze swoimi oddziałami i wreszcie można było powołać radę wojenną. A było nad czym radzić, bo choćby nad tym, kto ma dowodzić tak ogromnymi siłami, obliczanymi na czterdzieści i więcej tysięcy ludzi.

Dowództwo najbardziej marzyło się tym, którzy z urodzenia mienili się największymi przywódcami chrześcijaństwa. Byli to hrabia de Nevers z Burgundii, bardzo zawistny

o rycerską sławę, bo jeszcze sam takowej nie zdobył, dalej pyszny konetabl Francji, hrabia d'Eu i wojowniczy marszałek Jean le Meingre zwany Boucicaut, sławny na cały świat z tego, że nigdy nie pokonano go w żadnym turnieju. Wszyscy młodzi, żądni przygód i rycerskiej sławy, pełni pogardy dla nieprzyjaciela, a przekonani o wyższości zachodniego rycerstwa nad innymi wojownikami. Był wśród dowódców także stary hrabia Enguerrand de Coucy, zięć angielskiego króla i jeden z najslawniejszych rycerzy całego świata, przydany młodym dla jego doświadczenia, o ile zechcieliby z tego korzystać, na co się jednak nie zanosilo.

Rej wodził hrabia de Nevers, mały, paskudny Burgund-czyk, który trzystu swoich najbliższych kompanów i towarzyszy z własnej kiesy ubrał w jasną zieleń, a dla wygody wiozł ze sobą na dwudziestu czterech wozach namioty, łoża, zasłony, poduszki, złote talerze i kubki. On był właściwym wodzem krucjaty, każdy jego krok poprzedzali heroldowie ze złotymi trąbkami, każde jego słowo zapisywali skrybowie, taszczący z sobą księgi, żeby w nich utrwalić jego bohaterskie czyny.

Krół węgierski Zygmunt innym dowódcom dorównywał wprawdzie pochodzeniem i wiekiem, bo nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale nie mógł współzawodniczyć z tymi, którzy uważali się za przywódców całego chrześcijaństwa.

Zygmunt Luksemburski utracił zresztą w oczach wielkich panów także

i z powodu swojej ostrożności. Inaczej niż oni nie parł bezwarunkowo naprzód, radził czekać, obserwować, analizować meldunki szpiegów. Francuscy wodzowie wzruszali ramionami na takie zachowanie i nie szczydzili kąśliwych uwag.

- Postępując w ten sposób, dalibyśmy dowód, że się obawiamy pogan - mówili dumnie. - Nie godzi się okazywać strachu wobec kogoś tak nikczemnego, bo obrazilibyśmy naszego Boga, dla sławy którego walczymy.

Mikołaj z Lipowej poważnie obawiał się, że krucjata ugrzęźnie w Wiedniu, tak długo trwały targi o przyszłą sławę i łupy. Ale wreszcie ruszyli. Poszli na południe lewym brzegiem Dunaju, pod Oszawą przeprawili się na drugą stronę i szli dalej. Wolno, szeroko, niespiesznie. Wieczory spędzano na ucztach, tańcach, pijatykach i zabawach. Grała muzyka, płaśano, bawiono się, śpiewano, swawolono z niewiastami, których całe tabuny ciągnęły za armią lądem i rzeką. Zaopatrzenie dowożono statkami po Dunaju i nie brakowało ani najlepszych win ani zamorskich przypraw. Na razie nie napotykali nieprzyjaciół i we wszystkich krzyżowcach rosło przekonanie, że na tym polegać będzie cała wyprawa - na wesołym pochodzie przez kraj podległy sułtanowi Bajazytowi.

Uwierzyli w to i dowódcy, którzy nie musieli niczego robić, nawet zagrzewać ludzi do boju. Kiedy czasem napotykali małe oddziały wroga albo umocnione punkty oporu, wodzowie zostawiali ich zdobycie ochotnikom, sami nie zwracając sobie tym głowy.

- Obudźcie nas, gdy spotkacie coś naprawdę poważnego - mówili.

Dwadzieścia tysięcy ludzi, jacy otaczali węgierskiego Zygmunta - Węgrzy, ochotnicy z krajów niemieckich, z Polski i Czech, oddziały Krzyżaków i Szpitalników z Rodos, a także gromada innych, wśród których był i Mikołaj z Lipowej - trzymało się nieco na uboczu, tworząc jakby drugą armię, niedopuszczaną prawie do bliskiej komitywy ze sławnymi rycerzami Francji, Burgundii, Lotaryngii.

Wobec dotychczasowego niezakłóconego pochodu przywódcy krucjaty wyśmiewali uwagi węgierskiego "Zygmunta i jego przestrogi o bitności Saracenów. Na razie ich wojskom nie przyszło spotkać się w polu z Turkami, bijali głównie słabo uzbrojonych schizmatyckich Bułgarów, wśród których z rzadka tylko trafiali się Turcy. Małe zwycięstwa brali za wielkie triumfy, a te dodawały im odwagi w przechwałkach.

Zygmunt Luksemburski, który lękał się, że pokonanie sułtana Bajazyta nie pójdzie łatwo i sprawnie, był człowiekiem słabego charakteru i w milczeniu znosił wyrzuty dostojnych książąt, że brak mu odwagi i chęci. Kiedy jednak wprost pomówili go o tchórzostwo, musiał działać. Chcąc zatem udowodnić, że jest inaczej, podejmował forsowne działania wywiadowcze, był strażą tylną i zwiadem. Jego ludzie pełnili służbę dzień po dniu, wyprawiali się na długie i męczące podjazdy, stanowili ochronę wojskowych obozów, podczas gdy kierujący wyprawą leczyli się z pijaństwa. Dostojni dowódcy, co chwila kłócący się między sobą o słowa, zazdrośni o bohaterskie czyny i rycerską sławę, nawet nie słuchali meldunków królewskich zwiadowców. Marszałek Boucicaut zapowiedział zresztą, że każdy kto będzie głośno mówił o sile Turków i tym sposobem osłabiał ducha w chrześcijańskich wojskach, straci uszy.

Była połowa września. Armia krzyżowców łatwo zdobywszy dawny bułgarski Widyń, stała teraz pod Oriachowem, silną twierdzą nad Dunajem, otoczoną potężnymi murami. Wyszli już z niej szeregami wojownicy tureccy i Bułgarzy, zhołdowani niedawno przez sułtana, a nad murami powiewały sztandary ze znakiem krzyża. W obozie chrześcijańskim głośno świętowano zwycięstwo.

- I cóż, panie Mikołaju? Nadal jesteście niezadowoleni? Przecież zwycięstwo idzie za zwycięstwem!

Pan Świętosław herbu Łada, zwany Szczenię, zakurzony, w pogiętej nieco zbroi, przybiegł do namiotu Mikołaja z Lipowej, ustawionego na skraju obozowiska od zachodniej strony.

- No? - pytał roześmiany. - Teraz chyba nie powiecie, że to nieudana, źle dowodzona wyprawa!

Świętosław śmiał się i radował. Wprawdzie ataki prowadzone przez marszałka Francji załamały się i tylko interwencja węgierskiego Zygmunta uchroniła ich od klęski, ale przywódcy wyprawy zdawali się nie zwracać na to uwagi.

Obleżeni w Oriachowie, przestraszeni wielkością i siłą krzyżowej armii, wkrótce sami poddali twierdzą. Król węgierski, na którego ręce trafił akt kapitulacji, przyrzekł im zachowanie życia i majątków.

Twierdzą zajęto więc przy dźwiękach mosiężnych trąb i rogów, przy waleniu w bębny i radosnych okrzykach.

Ważniejszych mieszkańców wzięto w niewolę, a tylko tureckich dowódców natychmiast wybito, bo cóż warte jest życie poganina?

Pan Świętosław odrzucił na ziemię hełm i skoczył ku ogniovi, jaki niedawno rozniecił Linus, giermek Mikołaja.

Gość rwał rękami niedopieczzone jeszcze mięso, napychał nim sobie usta, od czasu do czasu z zadowoleniem klepiąc się po blachach na piersi.

- Jestem strasznie głodny. Bitewny zapał zawsze tak na mnie działa, że zjadłbym, ile tylko widzę przed sobą - usprawiedliwiał się.

Mikołaj nie brał udziału w walkach pod Oriachowem, bo z grupą dowodzoną przez króla węgierskiego powrócił właśnie z dalekiego patrolu, szukającego głównych sił tureckiego wojska.

- Częstujcie się - zachęcił teraz. - Podaj chleba, Linus. Giermek zmieszał się.

- Nie wiem, czy jeszcze co zostało, panie - tłumaczył się niezręcznie.

- Nie ma? Przecież widziałem rano, że statki przyplłynęły.

- Przyplłynęły. Pobiegłem zaraz po zapasy, ale mąka już wyszła, zostało tylko wino. No i niewiasty przyjechały...

Linus przeżegnał się ukradkiem.

- Żołnierze pilnowali - dodał wyjaśniająco na spojrzenie Mikołaja. - Ale zobaczyłem niemało. Francuzi i

Burgundowie znowu wszystko zabrali dla siebie. Nasze podjazdy mało co przywiozły, bo w okolicy nie bardzo już jest co zabierać i trzeba jeździć coraz dalej.

- A widzicie - wtrącił się Świętosław. - Gdybyśmy nie zdobyli miasta, brakło by nam zapasów.

- Prawda - zgodził się Mikołaj. - Niepokoi mnie tylko to

rozprężenie w obozie. Jeśli szybko nie trafimy na prawdziwą walkę, będzie niedobrze. Już co poniektórzy uciekają, a reszta rzadko trzeźwieje. Gdyby, nie daj Boże, sułtańskie wojska uderzyły znienacka, żywa noga by nie uszła. W obozie pod Oriachowem stanęli blisko siebie sami znajomi. Mikołaj z Lipowej, Jordan z Wojcieszowa, Świętosław Łada, zwany Szczenię, stary Jan z Kamieniowej, Wawrzyniec Buk z bratem Firlejem i kilku innych. Tylko Gotard z Brzezin przepadł gdzieś na początku wyprawy, ale podobno widziano go w szeregach francuskich. Króla Zygmunta otaczało wielu weteranów ubiegłych wojen. Nie brakowało takich, którzy pozostając między sobą w nieprzyjaźni, na czas wyprawy zawarli rozejm, bo mieli przed sobą wspólnego wroga, z jakim teraz chcieli się zmierzyć.

Dawnych swoich przeciwników spotkał w tym obozie i Mikołaj z Lipowej. Któregoś dnia pośród karnego oddziału Zakonu Najświętszej Maryi Panny, przysłanego tu przez wielkiego mistrza, zobaczył Alberta von Neuburg. Dawny brat Alben był teraz zwykłym zakonnym sługą, człowiekiem w skórzanym kaftanie, z niewiadomych powodów noszącym na głowie końską uzdę i żelazne wędzidło pomiędzy zębami. Mikołaj nie zapomniał butnego Krzyżaka, a i brat Albert rozpoznał swojego wroga. Niepewnie pozdrowił go gestem dłoni, na co pan z Lipowej odpowiedział podobnym skinieniem. Teraz znajdowali się w jednej armii i w jednym obozie.

Daleko więcej radości miał Mikołaj ze spotkania z Janem z Tymbarku, którego namiot poprzedniego dnia stanął przypadkiem tuż obok.

Rozpoznali się od razu. Mikołaj z Lipowej wrócił właśnie z patrolu, gdzie w sto koni bezskutecznie szukali Turków, zmęczony długą jazdą zsiadł z wierzchowca i zmierzał do swojej kwatery, kiedy drogę zastąpił mu jakiś rycerz. Był średniego wzrostu, smukły, na czoło spadał mu kosmyk siwych włosów.

Mikołaj miał jeszcze hełm na głowie, ale tamten poznał

go widać po znaku herbowym na tarczy. Ukłonił się lekko i skrzyżował ręce na piersiach.

- Czy mnie poznajecie, panie? Mikołaj zdjął hełm i oddał ukłon.

- Poznają was, Janie z Tymbarku.

- Kiedyś... - zaczął przybyły. - Kiedyś gotów byłem was wyzwąć pa pojedynek i zabić, ale dziś raduję się, widząc was tutaj w dobrym zdrowiu.

Przed laty Jan z Tymbarku był po słowie z Hedwigą córką Janosza, stanął z nią nawet przed ołtarzem i tylko przypadek sprawił, że ślubu nie było.

- Kiedyś przyjąłbym wyzwanie - odpowiedział Mikołaj. -A dziś raduję się, widząc was tutaj i jeśli nie pogardzicie, ofiaruję wam gościnę w moim namiocie.

Podali sobie ręce, jakby nie byli dawniej rywalami o serce tej samej niewiasty, i Jan z Tymbarku poszedł do namiotu Mikołaja.

Kiedy giermek Linus pomagał panu rozdziać się ze zbroi, umyć w misie, a potem podał skromny posiłek, Jan z Tymbarku wypytywał o nowiny z Doliny, wspominając wspólnych znajomych. Sam był blisko króla Zygmunta, od lat należąc do jego zaufanych dworzaków. Od niego dowiedział się Mikołaj o zeszłorocznych bitwach z Turkami i o sposobach walki uprawianych przez Saracenów.

- Lękam się o naszą wyprawę - mówił cicho Jan z Tymbarku. - Nie wolno lekceważyć Saracenów. Są niczym rozdrażnione osy, przed którymi nie ma innego ratunku jak ucieczka do wody.

Mikołaj z Lipowej, już doświadczony w licznych wyprawach, wzbogacony jeszcze w opowieści i przestrogi ojca, był podobnego zdania. Uważał, że nawet duża siła, jaką teraz mają krzyżowcy, ale nieudolnie dowodzona i lekceważąca przeciwnika, może okazać się niewystarczająca, kiedy wyprawa trafi na zwarte oddziały Bajazyta.

Tymczasem dowódcy krucjaty w ogóle nie wierzyli w istnienie sułtańskiej armii.

- Oni biorą te małe oddziały za wszystko, czym dysponują Saraceni - martwił się Jan z Tymbarku. - Sam słyszałem, jak hrabia de Nevers obliczał, że do tej pory znieśliśmy już dwie piąte wszystkich sił sultana. Najpoważniej są przekonani, że same wieści o zdobyciu Widynia i Oriacho-wa spowodują, że Turcy w strachu opuszczą Nicopolis. Ale wiercie mi, to nie jest twierdza łatwa do zdobycia. Byłem tam przed laty, wiem, co mówię. A my przecież nawet naj-marniejszych machin nie mamy.

Nie rozmawiali o przeszłości. Jan z Tymbarku tylko raz jeden zapytał o Hedwigę, a usłyszawszy, że została żoną Mikołaja, pokiwał głową.

- Od początku tak powinno być - przyznał spokojnie. -Ona była wam przeznaczona, to pewne. Ja oddaliłem tylko chwilę waszego spotkania.

Sam nie był żonaty, z powodu dawnego ślubu, złożonego przed laty, według którego zobowiązał się przede wszystkim do walki z niewiernymi. Gwarzyli długo w noc, a kiedy kilka dni później wyprawa przesunęła się pod białe mury Nicopolis i stanęła wokoło nich wielkim obozem, Jan z Tymbarku kazał rozbić swój namiot w bezpośredniej bliskości namiotu rycerza z Lipowej.

- Muszę was trochę pilnować - śmiał się do Mikołaja. -Pani Hedwiga zapewne nie darowałaby mi, gdybym nie ochronił ojca jej bliźniaczych chłopców.

Dorotka

Dorotka była jedyną córką pana Tobiasza z Wygody herbu Ostoja, który miał ponadto dwóch dorosłych synów, służących na dalekich książęcych dworach.

Kiedy pan Tobiasz przyjeżdżał do Lipowej, najczęściej

towarzyszyła mu żona Małgorzata i kilkuletnia córka Dorotka. Gdy starsi zajmowali się swoimi sprawami, dzieciaki hasały razem. Bliźniacy z Lipowej byli zadowoleni z towarzystwa dziewczynki, bo choć należała do słabej płci, miała jedną pożyteczną cechę - chętnie uczestniczyła w ich psotach i zwykle stosowała się do poleceń. W zabawach bywała najczęściej w gorszej sytuacji, Marcin zawsze tu górował i zwykle nakazywał, żeby jako najmłodsza bywała Saracenenem, którego należało schwytać na polu podczas zasadzki i przywiązać do drzewa, albo ofiarą jakiej innej goniwki. Czasami Dorotka popłakiwała po takich harcach, ale raczej rzadko, bo była z natury wesoła i przepadała za zabawą.

Jasnowłosa, okrągła na twarzy, z dołkami w policzkach, z niebieskimi oczami była uosobieniem niewinności, ale trudno jej było usiedzieć na miejscu, nieraz brała w skórę od matki, bo lubiła łązić z chłopcami po drzewach, biegać po polach, brodzić po wodzie w poszukiwaniu raków albo sprawdzać, jak szeroki jest okap nad kuchnią.

Tego dnia we dworze w Lipowej mówiło się o możliwych zaręczynach Elżbietki z Krasawy. To była pierwsza nowina, jaką Hedwiga przekazała przybyłym właśnie pani Małgorzacie z Wygody i jej mężowi.

- Dobry wybór - chwalił pan Tobiasz. - Młody Konrad to nie byle kto, wcale pokaźny majątek przy nim, a po śmierci ojca to nawet ho ho!

Pani Małgorzata podkreślała raczej, że Konrad jest urodziwy, kształtny i ujmujący w sposobie bycia.

Tak czy inaczej dzieci też słyszały nowiny dotyczące ich ciotki i kiedy uwolniwszy się wreszcie spod nadzoru dorosłych, pobiegły na pola nad stawem, prawie siedmioletnia Dorotka powiedziała:

- A ja to będę miała dwunastu kawalerów. Wywołało to natychmiastowe drwiny dziewięcioletniego Marcina.

- Widzicie ją! - śmiał się. - Wymyśliła! Może od razu powiesz, że jeszcze więcej.
- Może i więcej - poprawiła zupełnie poważnie Dorotka. -Ale dwunastu co najmniej. Żebym mogła wybierać i przebierać.
- Przebierać? - śmiał się Marcin. - Niby w jabłkach?
- A pewnie! - upierała się Dorotka.

Mateusz milczał, bo zwykle był małomówny. Ale teraz odezwał się niepytany.

- Zawsze lepiej mieć w czym wybierać - zauważył. Marcin zezłościł się także na brata.
- Bronisz jej? Zawsze jej bronisz! O... o... białogłowy broni!
- Wcale nie - próbował odciąć się Mateusz. - Tylko naprawdę lepiej mieć wybór.
- Mądrała! Myślisz, że niewiasty są takie głupie i zaraz ciebie wybiorą, tak?
- No, nie - zaczerwienił się Mateusz. - Nie mówiłem o sobie...
- To jeszcze zobaczymy! - zapowiedział Marcin. Zaraz też wymyślił nową zabawę. Mateuszowi nie bardzo się spodobała, ale Dorotka aż zaklaskała w rączki z uciechy.
- O tak, tak! - wołała. - Pobawmy się!

Marcin zarządził też od razu, co i jak będzie wyglądało.

- Koło tamtego krzaka będzie dwór Dorotki. Stój tam i czekaj. My będziemy konkurentami do twojej ręki. Przyjedziemy do dworu, pokłonimy się twoim rodzicom, a ty wybierzesz. Jest nas tylko dwóch, ale będziemy udawać, że jest nas dwunastu...

Dorotka pobiegła we wskazane miejsce, stanęła tam i wyglądała na drogę, osłaniając czoło dłonią. A oni nadjechali z różnych stron niby prawdziwi rycerze, podskokami naśladowując konną jazdę.

- Jestem sławny Marcin Waleczny - kłaniał się Dorotce, która najpierw występowała w roli ojca i matki. - Panie ojcie, pani matko, przemierzyłem świat cały i przybyłem do

waszego dworu, żeby pojąć za żonę córkę waszą Dorotkę, która piękna jest i nadobna...

- A widzisz! Piękna i nadobna! - śmiała się ucieszona Dorotka.

- Cicho! - syczał Marcin. - Teraz się nie odzywaj, bo teraz jesteś ojcem i matką.

Więc Dorotka milkła, odkłamała się konkurentowi i mówiła:

- Witajcie wspaniały rycerzu, bardzo jestem rada widzieć was pod naszym dachem. Zaraz pójde do komory i zapytam córki, co powie na wasze oświadczyiny...

Szła za krzak czarnego bzu, skąd po chwili wracała już jako narzeczona, ze spuszczoneymi oczami.

- Nie wiem jeszcze, kogo wybiorę - mówiła. - Nie wiem, tak wielu kawalerów dobija się do mojej ręki...

- Ale to ja jestem najpiękniejszym, najdzielniejszym, najwspanialszym rycerzem, i jeszcze najbogatszym. Ja, Marcin Waleczny!

Dorotka znowu przemawiała w imieniu swojej matki:

- Spocznijcie, rycerzu, w chłodzie, zaraz wam podadzą wino albo chlebowy kwas, jeśli wolicie. Ja tymczasem wysłucham posłania innych, bo właśnie któryś nadjeżdża. Witajcie, panie rycerzu. Wy też chcecie zapytać o moją córkę?

- Tak - skinął głową Mateusz. - Podobno jest w waszym dworze najpiękniejsza niewiasta, słynąca cnotami na całą okolicę. Przyjechałem, żeby powiedzieć jej, że właśnie wyruszam do Hiszpanii albo nawet dalej, gdzie mieszka straszliwy smok. Odnajdę potwora, pokonam go, a damie mojego serca przywiozę jego siedem języków...

Dorotka chichotała zachwycona i ku niezadowoleniu Marcina ostatecznie wybrała młodszego z braci.

- Czemu jego? - nadał się Marcin. - Przecież to ja jestem rycerzem najdzielniejszym i najbogatszym, więc to mnie powinnaś wybrać.

- Ale Mateusz powiedział, że pokona smoka i przywiezie jego siedem języków.

Marcin nadał się okropnie.

- Jesteś głupia! - krzyknął obrażony. - On miałby pokonać smoka? Przecież on nawet konno dobrze jeździć nie umie, tylko by w wodzie siedział jak rak. Jeśli ktoś miałby pokonać smoka, to tylko ja.

- Ale smok jest mój! - sprzeciwił się Mateusz. - Ja go wymyśliłem i jest mój.

I stanął naprzeciw brata z zaciśniętymi, pięściami, choć w oczach miał łzy. Marcin, w podobnych sytuacjach skory do bitki i siłowania się, tym razem nie miał jednak na to ochoty.

- To go sobie miej! - rzucił wyniośle. - W ogóle to jest głupia zabawa. Idę poszukać ptasich gniazd.

Dorotka chciała go zatrzymać, bo tak pięknie się przecież bawili, ale Marcin nie dał się przekonać.

- Sami się sobie bawcie - powiedział i odwrócił się na pięcie. Po chwili Dorotka pobiegła za nim, a na końcu ruszył Mateusz, ze spuszczoną głową i zasmuconą miną.

Ale wieczorem się pogodzili i znowu bawili razem. Marcin był teraz sławnym rycerzem, który w Hiszpanii pokonał groźnego smoka i przywiózł jego ogniste języki wybrance swego serca. Mateusz był dostojnym biskupem i w królewskiej katedrze dawał im ślub.

Gniew pana Osta

Tego wieczora Oset z Dębowca dowiedział się nagle o swojej żonie więcej, niż w ogóle mógł przypuszczać. Dowiedziawszy się, chciał natychmiast się upewnić, czy są prawdą jego przypuszczenia. I nie baczył na to, że żona miała właśnie rodzić.

Do izby, gdzie leżała Roksana, Oset wtargnął, niczym rozjuszony zwierzę. Miał w oczach strach i przerażenie. Po-

trącił służebną, która niosła pani ciepłe mleko i biały płyn rozprysnął się wokoło, ale on nawet tego nie zauważył.

- Precz! - wrzasnął tylko, chwycił służącą za kark i popchnął.

Zatoczyła się na drzwi, umknęła przerażona, niesiony dzbanek rozbijając na progu.

Roksana leżała na swoim pościeliu, dodatkowo wymoszczonym miękkimi skórmi. Miała bardzo wielki brzuch i potrzebowała dużo miejsca. Otworzyła szeroko oczy, zdziwiona zachowaniem męża, a ten jednym skokiem przebył odległość dzielącą go od żony.

- Co to jest?! - wrzeszczał. - Co to jest?

Roksana patrzyła, nie rozumiejąc powodu niespodziewanego wybuchu i szalonego zachowania. Dopiero kiedy cisnął w jej kierunku to, co przyniósł, pobladła nagle. Na jej kolana spadły długie czarne włosy. Była to peruka - umocowane do kawałka tkaniny ludzkie włosy.

- Odpowiadaj! - krzyknął, pochylając się nad nią ze złością. - Odpowiadaj natychmiast! Skąd wzięły się te rzeczy w twoim kufrze?

Roksana poprawiła się na pościeliu, żeby lepiej przyjąć przedporodowy ból, jaki miał zaraz nadejść.

- Nie wiem, o czym mówisz - odpowiedziała. Przyskoczył, chwycił perukę i rozpostarł ją obiema rękami.

- Nie wiesz? - zapytał groźnym, syczącym szeptem. - Nic nie wiesz? I udajesz niewiniątko, tak? To ja ci powiem! Nie poruszyła się.

- Teraz rozumiem - krzyczał. - Teraz dopiero wszystko rozumiem. Wiedźma z Biskupic! Wiedźma z Biskupic to ty! Roksana wzruszyła ramionami.

- Oszalałeś - odpowiedziała spokojnie. - Usiądź, uspokój się. Zaraz będę rodzić.

- Nie będę siadał. Dość już tych twoich sztuczek i czarów. To są włosy Wiedźmy z Biskupic. Nikt nie podejrzewał, że niewiasta w czerni, z czarnymi włosami naprawdę może mieć

włosy jasne. Chytrze to wymyśliłaś. Ale nie dość chytrze, bo wszystko się wydało. Ty jesteś wiedźmą, ty odpowiadasz za wszystkie nieszczęścia w Dolinie. Ty kazałaś mi pochwycić Nastkę i doprowadziłaś do tego, że spalili ją na stosie jako czarownicę. Niewinną, głupią dziewczkę. A śmierć Lutka? To też twoja sprawka. Zabiłaś go, bo może jak ja odkrył, kim naprawdę jesteś. A jesteś zabójczynią. I jesteś czarownicą!

Patrzyła wprost, zupełnie bez lęku. Dotknęła tylko brzucha i jej twarz wykrzywiła się grymasem nadchodzącego bólu.

- Pijesz zbyt wiele - zauważyła spokojnie. - Wcale nie wiem, o czym mówisz.

Ale Oset nie dał się zbyć łatwo. Odkrycie straszliwej tajemnicy poraziło go, lecz nie odebrało umiejętności myślenia.

- Zaraz to udowodnię - wycedził przez zęby. - Daj klucz do skrzyni.

Roksana spojrzała zdziwiona.

- Do skrzyni? Do jakiej skrzyni?

- Do twojej. Do tej, w której na pewno są dalsze dowody na twoje czary. Długo głowiłem się, jak twój pierścień mógł trafić do szalonej Nastki. Teraz wiem, że to ty go jej dałaś. Dałaś, bo wiedziałaś, że to będzie dowód przeciw niej.

Dowód, który oddali od ciebie jakiegokolwiek podejrzenia.

Stał nad żoną, dysząc ciężko, przygnieciony ciężarem straszliwych zbrodni i tej ponurej tajemnicy. Pani Roksana pomacała brzuch.

- Chyba nadchodzi - powiadomiła. A potem dodała:

- Tak. To ja.

Choć spodziewał się, że teraz się przyzna, był zaskoczony.

- Ostrzegali mnie - burknął. - Ostrzegali, żebym się z tobą nie wiązał. A ja, głupi, chciałem cię ochraniać i bronić. Ciebie, co jesteś może samym diabłem. Kim ty właściwie jesteś? Po co zjawiłaś się tutaj, na nieszczęście dla nas wszystkich? Za jakie grzechy Bóg pokarał mnie tobą, nie dał spokojnej niewiasty, a dał mi czarownicę do łóżka?

- Sam mnie wybrałeś - przypomniała.

Była opanowana, zimna i stanowcza. Wcale nie taka jak na co dzień - łagodna i trochę nawet nieśmiała.

- Sam wybrałeś - powtórzyła. - A kim jestem? Przecież mnie znasz.

- Tak do tej pory myślałem. Myślałem, że cię znam, bo miałem cię za dobrą istotę, nie podejrzewałem, że jesteś wcielonym diabłem i zbrodniarką, przy której nawet przebywać strach i grzech.

- Znasz mnie. Wszyscy mnie tu znacie. Może zapomnieliście, ale teraz sobie przypomnicie.

Ostowi nie podobał się zły, zawzięty uśmiech żony.

- Więc się przyznajesz? - zapytał mocno poruszony. - Przyznajesz się, że posłałaś Nastkę na stos? I może jeszcze, że zabiłaś swojego pierwszego męża?

- Tego głupka? Sam umarł. Ze strachu. I ty umrzesz, jeśli tylko zechcę.

Oset osłupiał. A potem chwycił miecz. Roześmiała się.

- No - zachęciła. - Uderz. A potem idź do sądu i powiedz, że zabiłeś mnie i swoje dziecko. Bez żadnego powodu. Albo od razu idź się powiesić!

Wstała, pokraczna, z trudem trzymając się na nogach.

- Kto ci uwierzy, głupcze, że miałaś jakikolwiek powód do takiej zbrodni? Kto uwierzy, że twoja dobra, łagodna żona zrobiła coś złego? Uznają, że jesteś szalony. Ale to nie będzie dla ciebie usprawiedliwienie i dasz głowę pod topór. A wtedy nie tylko ciebie nie będzie, ale i twojego dziecka, co się ma zaraz urodzić.

Oset odwrócił się ze wstrętem.

- Dziecko? - zasyczał z odrazą. - Ty miałabyś urodzić dziecko? Ty możesz urodzić tylko potwora.

- Twojego potwora - poprawiła. - Chciałam spędzić płód, jak to zrobiłam z poprzednim, ale załgał się we mnie i został. Zaraz przyjdzie na świat. Nie chciałam, ale przyjdzie.

A kiedy przyjdzie, odpłaci wam wszystkim. Wszystkim, na których ja nie zdążyłam się zemścić.

- O czym ty mówisz? Ty chcesz odpłacić? Za co? Kto uczynił ci taką *krzywdę*, że chcesz się mścić tak strasznie?

- Wielu, wszyscy.

- I ja? Przecież byłem dla ciebie dobry. Opiekowałem się tobą, nie pozwoliłem trwać w smutku.

- Wcześniej zabiłeś mi ojca, a mnie skazałeś na poniewierkę!

Oset wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Ja? Ja zabiłem ci ojca? Przecież go nawet nie znam.

- Zabiłeś. Bo to ty podałeś przekłębemu Mikołajowi z Lipowej, którego już pochłonęło piekło na wyprawie, ty mu podałeś urychtowaną kuszę.

- Kuszę? Mikołajowi? - Oset ciągle jeszcze nie rozumiał. Aż nagle wszystko stało się jasne. Jasne jak w dzień.

- Ostasz - wyszeptał poblądłymi wargami, bezsilnie opadając na ławę. - Ostasz z Lipowej tak zginął na wieży w Lutowcu.

- No! - uśmiechnęła się Roksana. - Wreszcie się tego domyśliłeś. To był mój ojciec, którego zabiłeś z tamym drugim przekłębikiem.

- Więc ty, więc ty jesteś... Roksana roześmiała się cicho.

- Jeszcze tego nie odgadłeś? Ja jestem Odina. Odina, córka Ostasza, prawowitego pana na Lipowej.

Nie mógł uwierzyć.

- Odina? To niemożliwe!

- To prawda. Ty jesteś jego zabójcą, a twoje dziecko jest jego wnukiem. Czy teraz odważysz się uderzyć?

Oset zacharczał i opadł na posłanie, bo inaczej zwałiłby się na podłogę. Gdzie się podziała łagodna, miła Roksana?

Kim jest ta pobrzydła nagle, wykrzywiona i straszna niewiasta?

- Ubiję cię - wychrypiął przez zaciśnięte zęby. - Ubiję i nikt nigdy się o tym wszystkim nie dowie.

Roześmiała się głośno.

- Głupi jesteś - odpowiedziała lekceważąco. - Od dawna to przygotowuję. Od dawna. Długo się uczyłam, jak ukarać was wszystkich. I już wiem. Już wszystko przygotowałam. Nikt nie uniknie swojego losu. Nikt. Ukarzę was za mojego ojca, moją matkę i za moją poniewierkę. Dawno przysięgłam sobie, że to zrobię. I tylko temu służyły wszelkie moje zabiegi. Przysięgłam i nie cofnę się przed niczym. Przed kłamstwem, przed podstępem, przed zbrodnią nawet. Takie jest moje posłannictwo i moje ziemskie zadanie. Nikt mi nie przeszkodzi, bo nikt nic mi nie może zrobić, nawet ty, który na swoje nieszczęście zbyt wcześnie odkryłeś, kim jestem...

Jęknął.

- Mogę cię ubić

- Nie możesz. Bo jest ktoś, kto się o mnie upomni. Nie tylko sąd. Upomni się o mnie ktoś, kto o tym wszystkim wie. Jest taki człowiek. On opowie ludziom, a jemu uwierzą.

- Nieprawda! - szepnął bezradnie.

- Prawda. Każdy uwierzy księdzu Franciszkowi. Jemu powiedziałam o wszystkim na spowiedzi. On jest tu nowy, nie wszystko rozumie, ale wie dość, żeby od ciebie i innych zażądać zadośćuczynienia. Tylko spróbuj mnie ukrzywdzić, a sam zobaczysz, jak ty i twoi ukochani zapłaczą. Nie popełniłam żadnego błędu. Wszystko przygotowałam. Nawet to, że kiedyś odkryjesz meją tajemnicę. Bo co z tego, że odkryłeś? Co teraz zrobisz? Co? Powiesz, że to ja jestem Wiedźmą z Biskupic? Nikt ci nie uwierzy. A gdyby nawet, to byłoby dla ciebie jeszcze gorsze. Bo ty spłodziłeś dziecko z wiedźmą. Ucieszy się z tego twój król, ucieszy się twój ukochany Mikołajek i ten wyniosły starosta. Dadzą ci nagrody i zaszczyty, że spałeś w jednym łóżu z czarownicą? Nie ukarzą za te wszystkie nieszczęścia, jakie się tu zdarzyły? Jeśli powiem, że mi pomagałeś w czarach, że cię skłoniłam do pomocy, jak się uratujesz? Wcale nie zginiesz jak bohater, jak rycerz. Zginiesz jak czarownik, na stosie. I twoje

dziecko spłonie na stosie. I cały twój, pożał się Boże, ród.

Oset siedział na podłodze, gdzie się osunął, w miarę jak mówiła, trzymał się teraz obiema rękami za głowę i jęczał.

- Płacz - powiedziała. - Tyle ci tylko zostało. Reszta już przepadła. Cokolwiek byś zrobił, będzie źle. Więc mi nie mów, co ja mam robić. Bo teraz to ja będę panowała nad tobą, a ty będziesz posłuszny.

- Nigdy! Choćby nie wiem jaki grzech spadł na moją głowę!

- Tylko spróbuj mnie ukrzywdzić! Tylko spróbuj. Ksiądz Franciszek...

Przerwała, stęknęła i skrzywiła się nagle z bólu.

- Zaczęło się - powiedziała po chwili. - Zaraz urodzi się twój syn. Jeśli chcesz cokolwiek na tym wszystkim zyskać, milcz! Milcz i słuchaj, a może dam ci jeszcze możliwość z tego wybrnąć. Tylko tobie, nikomu więcej. Nikomu; Ale milcz i bądź posłuszny.

Wróciła na łożo i przysiadła na brzegu.

- Idź po niewiasty - rozkazała. - I pamiętaj, co rzekłam. Jedno twoje słowo, a skończysz w lochu, a potem na stosie. I twój syn z tobą.

Krzyczał i groził, ale szybko przekonał się, że przegrał w tym pojedynku. Roksana miała nad nim przewagę. Co by zrobił, jak by postąpił, był w pułapce. I nie mógł nikomu wyznać prawdy.

Wybiegł z izby, przeleciał przez sień, wypadł na podwórze, dopadł konia i pognął przed siebie. Służebne myślały, że tak się przejął porodem żony, nawołującej właśnie pomocy.

- Patrzcie go - powiedziała jedna. - Mężczyźni głupieją, kiedy żony mają rodzić. Tacy niby odważni, a ani patrzeć, ani nawet czekać spokojnie nie mogą.

- Pewnie - odparła druga. - Jakiego by nie był stanu, na miejscu nie usiedzi. Pewnikiem pojechał do gospody, jakby się w domu nie mógł upić.

Oset pędził tymczasem konno po polach, bez celu, przejęty tym wszystkim, co usłyszał, przerażony tym, co się stało i tym, co miało się zdarzyć. Cały jego świat walił się w gruzy, płonął niczym pochodnia. Miała rację Roksana - nie miał żadnego wyjścia, żadnej drogi ucieczki. Cokolwiek by zrobił, jakkolwiek by postąpił, przegrał. Roksana zapowiedziała przecież wyraźnie. Roksana? Nie, nie Roksana. Odina. Odina!

Kiedy dotarł do gospody Pod Jeleniem, zgoniony, spocony, z włosiem zmierzwionym i pałającym spojrzeniem, wystraszył wszystkich.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! - zawołała na jego widok Wiesna. - Jak wyglądacie, panie! Błaziście jak jaki nieboszczyk!

Uśmiechała się, próbowała być zalotna. Oset był kiedyś dla niej dobry i choć z dawna już nie odwiedzał gospody, to przecież zapomnieć nie mogła i czekała, żeby się pojawił.

Nie odpowiedział ani słowa. Pił tego, nie mówiąc nic, a ona chodziła wokoło zatroskana i przestraszona nawet, bo czemu tak pił, czemu się nie odzywał wcale, więc go próbowała wypytywać i jakoś pocieszać.

- A żona jak? - zapytała. - Podobno na dniach rodzić ma?

- Milcz! - wrzasnęła niespodziewanie i odskoczyła jak oparzona, a potem cały czas chodziła obok, nadaśana i tylko podstawiała coraz to nowe dzbanki.

- Oto mężczyźni - westchnęła.

Wstał chwiejnie, wyszedł, podpierając się o ściany, jakoś dosiadł konia i popędził. Nie pamiętał, jak długo jechał i jakim sposobem znowu znalazł się w Dębowcu.

Nie wiedział, jak tu trafił, nie rozumiał, co do niego mówiono.

- Syn, panie - uśmiechała się służebna. - Macie pięknego chłopaczka!

Nie usłyszał tego, nie chciał zobaczyć dziecka. Pobiegł do Roksany, krzyczał i kopał w drzwi, bo te zastał zamknięte. Nie wpuściła go do izby. Tylko ostrym, drapieżnym, kaleczącym duszę szeptem wyjawiała mu swoje warunki.

- Wszystko jedno, czy mnie wypędzisz, czy zabijesz, czy podłożysz ogień - powiedziała - staniesz na sąd ludzki i na sąd boski. A ludzie ci nie uwierzą. Jeśliby nawet uwierzyli, będzie dla ciebie jeszcze gorzej, zostaniesz współwinny czarów. Bo powiem, że to wcale nie jest twoje dziecko. Powiem, że to dziecko szatana, ty głupcze. Lepiej trzymaj się od niego z daleka, jeśli nie chcesz stracić wszystkiego. Zony, dziecka, szlachectwa, życia. Możesz tylko udawać, że wszystko jest w porządku. Możesz udawać, że się pokłóciliśmy, a ty pojechałeś daleko. Jedź i najlepiej nie wracaj. Myślałeś, że mnie tak łatwo pokonasz? Niedoczekanie twoje! Za długo czekałam, żebym teraz miała się poddać. Znowu groził, krzyczał, rozbijał stołki, tłukł garnki. Niby człowiek niespełna rozumu pobiegł na dziedziniec, skąd wrócił z wielkim drewnianym kłocem. Walił nim z ogromną siłą, aż wyłamał zawiasy. Wtedy odrzucił kłoc, wbiegł do izby i porwał dziecko z kołyski.

- Przekleństwo na moją głowę! - krzyczał.

Nikt nie odważył się go zatrzymać, kiedy wybiegł na podwórzec, dosiadł konia i odjechał jak szalony.

Tajemnice Roksany

Ksiądz Franciszek Skóra przyszedł do Lipowej spocony, czerwony na twarzy. Zadyszany usiadł przy studni, z trudem łapiąc powietrze. Ktoś podał mu skopek z wodą, a duchowny zanim się napił, większość wylał na głowę.

- Co za pogoda! - westchnął. - Upały niby w lipcu, a to przecież połowa września i jesieni tylko patrzeć!

Hedwiga, powiadomiona o nadejściu gościa, wybiegła z dworu uśmiechnięta.

- Księżu Franciszku!

Duchowny podniósł się stękając, odgarnął mokre włosy z czoła.

- Witajcie, pani. Spieszyłem się, bo akurat byłem w Dębowcu...

Hedwiga załamała ręce. Znowu to samo. Ksiądz Franciszek ani myślał korzystać z ofiarowanego mu wierzchowca i najwyraźniej cały ten szmat drogi z Dębowca do Lipowej przebył pieszo. Zamierzała udzielić mu kolejnej reprimendy, kiedy ksiądz Franciszek wysapał:

- Spieszyłem się, bo chyba na panią Roksanę termin przyszedł. Dobrze, że trafili się zacni ludzie, co mnie podwieźli, bo chyba nie dałbym rady... Boję się nawet, że pani Roksana urodziła... wczoraj.

Porażona niefrasobliwością księdza, Hedwiga nie pytała o nic więcej i kazała służbie natychmiast osiodłać konia.

Obiecała przecież pani Roksanie, że będzie przy niej w czas rozwiązania, więc od razu zaczęła szykować się do drogi. Przez niechęć księdza Franciszka do koni nie zdążyła do Dębowca na czas, a to mogło wyglądać na lekceważenie złożonej obietnicy oraz samej pani Roksany. Po ubiegłorocznym poronieniu Roksana bała się porodu, często mówiła o tym

i jakby wcale nie słyszała uspokajających słów Hedwigi.

- Boję się - powtarzała. - Boję się, że nic z tego nie będzie. Śniło mi się, że dziecko urodzi się martwe albo kalekie. Jeśli to prawda, natychmiast się zabiję!

Hedwiga, choć i ona żywiła niegdyś podobne obawy, bardzo się pilnowała, żeby w obecności Roksany choćby słówkiem nie przyczynić się do pogłębienia jej lęku. Pani na Dębowcu zupełnie jak przy pierwszej ciąży zdarzyło się niespodziewane krwawienie i udany poród stał pod znakiem zapytania. Mało się to Hedwiga nasłuchiwała rozmaitych opowieści Kobiety zwykle rodziły wiele dzieci, niezależnie od stanu, ale prawdę mówiąc tylko co trzecie dożywało lat późniejszych. Roksana miała wprawdzie dobre warunki, dbała żeby się nie przemęczać, przestrzegała rozmaitych porad, ale nigdy nie wiadomo.

Hedwiga jechała więc do Dębowca pełna niepokoju, co nagle odżył mocno i nie mogła uwolnić się od złych myśli. W duchu modliła się gorąco, żeby wszystko poszło jak najlepiej. Dobrze życzyła Roksanie, podobnie jak Ostowi, ale wiadomo, że pierwsze dziecko bywa ważną wróżbą. Jeśli za pierwszym razem wszystko jest normalnie i w porządku, nie ma kłopotów z kolejnymi porodami. Tutaj jednak za pierwszym razem nie ułożyło się dobrze.

Nie było dobrze i teraz. Ledwie Hedwiga wjechała na dziedziniec dworu w Dębowcu, już wiedziała, że nie jest w porządku. Niby nic szczególnego na to nie wskazywało, tylko służba patrzyła w ziemię i uciekała, zanim Hedwiga zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie.

Zdarzyło się zatem najgorsze. Serce zaczęło walić Hedwidze głośno, ale zacisnęła zęby i postanowiła niczego po sobie nie dać poznać, w duchu układając już słowa, jakimi będzie pocieszać Roksanę.

Pani na Dębowcu leżała w łóżu blada, wymizerowana, z jasnymi włosami zlepionymi potem, poskręcany. Poród musiał być długi i bolesny.

- Spieszyłam się - powiedziała Hedwiga, wchodząc do izby. - Spieszyłam się, ale ksiądz Franciszek zawiadomił mnie późno. Mogliście wysłać umyślnego, ten pewnie byłby w Lipowej wczoraj, to i ja przyjechałabym wcześniej.

Spieczona wargi Roksanę ułożyły się w słaby uśmiech.

- Dziękuję wam, Hedwigo - szepnęła. W jej oczach był smutek.

- Nie martwcie się - pocieszyła Hedwiga, nakrywając dłonią rękę Roksanę bezwładnie leżącą na pościeli. - Wiadomo, że bywa rozmaicie. Los niewieści nie jest do pozazdroszczenia, a wszystko, co możemy zrobić, to zacisnąć zęby i nie dać się przeciwnościom.

- Jesteście moją jedyną przyjaciółką.

Łzy pokazały się w oczach Roksany i rozplakała się bezgłośnie.

- Ciiicho, cicho - szepnęła Hedwiga. - Tak to już jest. Ale to przecież nic strasznego, choć tak to może dziś wygląda. Naprawdę nic strasznego. Jesteście przecież młodą, silną niewiastą i pewnie jeszcze nieraz będziecie rodzić. A każdy następny idzie łatwiej.

- Kiedy nawet nie bolało tak bardzo - przyznała się Roksana. - Tylko trwało to tak strasznie długo...

Hedwiga pocieszała Roksana jak mogła. Tłumaczyła, pełna serdeczności i współczucia, że przecież życie jest przed nią, a dobry Bóg nie dopuści, żeby spadały na nią same nieszczęścia. Po okresie próby na pewno nadejdzie czas pomyślności, zdrowia, siły, dostatku i miłości. Przecież najważniejsze, że Oset ją miłuje i na pewno wszystko się między nimi ułoży, nawet jeśli teraz jest zawiedziony i może ma do niej żal...

W miarę jak Hedwiga mówiła, Roksana patrzyła na nią ze wzrastającym zdziwieniem.

- Wybaczcie - wyszeptała wreszcie. - Wybaczcie, ale chyba coś wam źle przekazano...

Hedwiga zamilkła spłoszona.

- Dziecko wcale nie umarło - wyjaśniła Roksana. Hedwiga zaczerwieniła się i poczuła nagle wstyd, że swoje złe myśli z drogi wzięła za prawdę. Jej smutek natychmiast uleciał.

- Och! - zwołała z radością. - Bogu niech będą dzięki! Od razu poweselała. Dziecka nie było w izbie, więc pomyślała, że teraz zajmują się rtm służebne.

- Gdzie jest? - zapytała tylko. - I czy to chłopiec?

- Chłopiec - potwierdziła Roksana i rozplakała się głośno. Hedwiga nie rozumiała tej nagłej żalości i pomyślała, że jest coś ważnego, o czym jeszcze nie wie.

- To czemu płaczecie? - zapytała. - Jakiż to powód do smutku, skoro dziecko urodziło się zdrowe i jest to syn? Oset chciał chłopca, ale przecież wie, że to nie on o tym stanowi i byłby też zadowolony, gdyby Bóg dał dziewczynkę.

- Sama chciałam dziewczynkę... - przyznała się Roksana. - Ale najgorsze jest to, że on wcale nie jest dla mnie dobry...

- Nie jest dobry? - zdziwiła się Hedwiga. - Co też mówicie, Roksano? Przecież miłuje was, wiem to na pewno.

Wybaczcie, ale niewiele z tego pojmuję. Musicie opowiedzieć po kolei. A może wolicie poczekać i odpocząć.

Roksana chciała jednak mówić natychmiast:

- Nie odchodźcie - poprosiła. - Nie odchodźcie. Muszę się komuś wyżalić i muszę kogoś zapytać o radę. A poza wami zupełnie nie mam kogo.

Płakała i urywanymi zdaniami opowiadała Hedwidze ostatnie wydarzenia w Dębowcu.

- Oset wcale mnie nie miłuje - zaczęła. - Byłam mu potrzebna po to tylko, żeby urodzić dziecko, żeby dać mu syna.

Żeby mógł powiedzieć, że ma dziedzica, więc może teraz jechać gdzie chce i załatwiać swoje sprawy.

- Ależ miłuje - przekonywała Hedwiga. - Każdy to wie, że świata za wami nie widzi...

Pani Roksana jęknęła.

- To wszystko nieprawda - chlipała. - On tylko tak udawał. Słyszałam i wcześniej, że lubił zadawać się z dziewczkami czeladnymi i miał miłośnicę, do której jeździł. Po prawdzie wtedy mi to nie przeszkadzało, bo myślałam, że po ślubie przestanie. Ale nie przestał. Zapytajcie kogo chcecie, a sama zobaczycie, jak za nim patrzę, choćby i tutaj, pod moim okiem. Kiedy mu to wyrzucałam, odpowiedział wprost, że to nie moja sprawa. Powiedziałam, że to się musi skończyć, gdy urodzę. Obiecał, że tak będzie. Ale się nagle rozmyślił. Już zaczęłam rodzić, kiedy przyszedł nagle i powiedział, że jeśli to będzie syn, odbierze mi dziecko.

- Co takiego? - zdziwiła się Hedwiga. - To chyba niemożliwe. Oset miałby tak postąpić? I dlaczego?

- Nie wiem, dlaczego. Przyszedł, o tu stanął i powiedział, że syna mi odbierze natychmiast po porodzie, a mnie... a mnie przegoni...

Hedwiga skamieniała.

- Nie - odezwała się dopiero po chwili. - To w ogóle nie jest możliwe. Ani Oset, ani żaden ojciec nie mógłby tak postąpić. Czemu miałby zabierać dziecko, na którym mu tak zależało.

- Zależało mu tylko na dziecku - smutno wyjaśniła Roksana. - Płakałam, błagałam, bo właśnie rodzic mi przyszło, a on tak mówi Pytałam, co się stało, czemu tak postępuje, zaklinałam. A on na to, że postępuje jak mu się podoba, a mnie nic do tego.

Hedwiga siedziała niczym kamień. Oset. Ten wesoły, dobrotliwy Oset ukrywał w sobie tak straszliwe zwierzę? Nie mogła wprost uwierzyć.

- Na szczęście poród się przedłużył - ciągnęła Roksana. - On czekał na rozwiązanie, kłął, krzyczał i tłukł sprzęty... I wcale nie zwracał uwagi na mnie i na to, co się ze mną dzieje. W końcu nie doczekawszy się, pojechał gdzieś, najpewniej do gospody. Wychodząc zapowiedział, że żadnego sprzeciwu nie zniesie, że muszę się mu podporządkować. Wybieraj, powiedział, wybieraj, co wolisz. Albo oddasz mi dziecko po dobrej woli, albo przepędzę cię, a syna i tak odbiorę. Co miałam robić? Co miałam robić, będąc tutaj sama wobec służby, która za mną nie przepada? Posłałam po was, ale niefortunnie wybrałam lichego posłańca, co nie dotarł na czas. Na szczęście nabrałam nagle nieco sił i sama podjęłam obronę. Bo jakże tak, pomyślałam. On mnie nie może wygonić w świat. To przecież i mój dom, nie może mnie ot tak wypędzić. I jakże oddać dziecko? W złości rzuciłam mu, żeby jechał, gdzie ma jechać, skoro nie chce swojego syna powierzyć przyrodzonej opiece. Powiedział, że już postanowił i nic nie zamierza zmieniać. Kazał mi się wynosić. Zaraz po porodzie mam się wynieść i żeby śladu po mnie nie było, tak powiedział. Żeby śladu nie zostało. Był bardzo wzburzony, zły, jakby jaki zły duch nagle w niego wstąpił...

Pani Roksana przerwała na chwilę, popłakała trochę, a potem gestem ręki wskazała skrzynię, stojącą w kącie izby.

- To mój paniński kufer - wyjaśniła. - Prawda, że kiedy mnie

Lutek brał, niewiele w nim było. Ale z czasem i tu znalazły się moje najcenniejsze rzeczy... Wszystko zmarnował.

Najbardziej zaś żał mi tych pamiątek, co to miałam po rodzicach jeszcze...

Hedwiga wstała z miejsca i podeszła do skrzyni. Kufer już wcześniej zwrócił jej uwagę, bo wydawał się dziwny, zabrudzony jakiś, wcale nie przypominał tego, co Hedwiga pamiętała z poprzedniej wizyty w Dębowcu. Pani Roksana dbała o czystość i ład we dworze, była we wszystkim staranna, dokładna.

Hedwiga odemknęła wieko. Buchnął w nią swąd spalenizny. Kufer był w środku wypalony do cna, na jego ścianach wisiała gruba na palec warstwa sadzy, na dnie znajdowała się tylko kupka popiołu.

- Spalił go - wyjaśniła Roksana. - Po prostu wrzucił tu pochodnię i poszedł.

Hedwiga zamknęła kufer i wróciła do połoźnicy. Pani Roksana leżała w łóżu z zaciśniętymi pięściami.

- Musiałam się bronić - tłumaczyła się gorączkowym szeptem. - To już przepełniło czarę goryczy. Kiedy pojechał do gospody, żeby tam pić i namyślać się, jak mnie pozbawić wszystkiego, przysięgłam się bronić.

- Słusznie - przytaknęła Hedwiga. - Skoro tak, to słusznie. Nikt nie ma prawa postępować w sposób tak haniebny.

- Powrócił dopiero na wieczór, pijany, straszny. Bałam się, że mnie ubije. Uderzył pięścią, skłął służbę, a potem pojechał jak szalony, mówiąc, że nigdy nie wróci. Pani Hedwi-go, co ja takiego uczyniłam? Co uczyniłam?

Hedwiga z Lipowej uścisnęła obie dłonie leżącej.

- Nie bójcie się - powiedziała z mocą. - O nic się nie bójcie. Nie odważy się. Przy mnie nie odważy się was ukrzywdzić.

Roksana chwyciła nagle rękę Hedwigi i przycisnęła ją do ust

- Pomóżcie mi - poprosiła. - Pomóżcie, bo inaczej ani mi żyć ani umrzeć!

Hedwiga cofnęła dłoń. Widziała, jak rozgorączkowana jest połoźnica i obawiała się, że może to jej zaszkodzić.

- Pomóżcie - powtórzyła Roksana. - Wiedziałam, że najbar-

dziej zależy mu na dziecku. Że dla niego gotów zrobić wszystko. Ale czy ja nie mam żadnego prawa do mojego synka? Rozpłakała się głośno.

- Jestem taka nieszczęśliwa! Taka nieszczęśliwa i grzeszna, ale to on zmusił mnie, żebym była nieposłuszną, bo mnie zawiódł i oszukał. Kiedy wrócił z gospody, pijany i straszny, chłopaczka mojego przy nim nie było. Ukrył go, schował, a może nawet, może nawet go...

Serce Hedwigi drżało z trwogi. Jak wiele strasznych chwil przeżyła pani Roksana! I to w dodatku z ręki kogoś, po kim czegoś takiego zupełnie się nie spodziewała. Oczekiwała od niego miłości, pomocy, obrony i opieki. Nie na- paści, obelżywych słów, pogrózek i bicia.

- Pomogę wam - obiecała Hedwiga.

Kazała raz jeszcze wszystko sobie opowiedzieć, żeby się lepiej zastanowić i poszukać rady. I postanowiła zająć się wszystkim, bo Roksana była zbyt słaba na cokolwiek.

- Czemu chciał was przepędzić? - zastanawiała się głośno. - Tego zupełnie nie rozumiem.

- Tak mówił. Wiem, że coś uczyniłam źle - płakała Roksana. - Ale nie wiem co. I nie wiem, czy mojemu maleństwu nie stała się jaka krzywda...

Hedwiga wzdygała się na możliwość tak niegodziwego postępowania.

- Nie bójcie się - uspokajała Hedwiga. - Komuś przecież musicie zaufać, a obiecałam, że wam pomogę. Dziwno mi wprawdzie, że Oset, którego wydawało mi się, znam dobrze, tak postępuje, ale szatan potrafi tego zamieszać ludziom w głowach...

Pani Roksana rozpaczała.

- Jakże mi się teraz między ludźmi pokazać? Do tej pory nie bardzo mnie lubili, teraz zaś będzie dużo gorzej.

Obgadają mnie, obśmieją, odsądzą od czci i wiary. Tylko mi do rzeki skoczyć...

- Milcz! - nakazała surowo Hedwiga. - Nie godzi się tak mówić. To może niełatwa sprawa, ale z każdej jest jakieś wyjście.

I z tej też takie wyjście znajdę. To znaczy obie znajdziemy.

- Jesteście moją jedyną przyjaciółką - pochlipywała Roksana.

Hedwiga nie wypytywała dalej, wyszła z izby, dając położnicy odpocząć. Rozpytała służbę, upewniając się, że słowa Roksany nie były czczym wymysłem.

- Pan był bardzo zagniewany - mówiła czeladź.

- Krzyczał.

- Groził.

- Tłukł, co mu w rękę wpadło.

- Potem wziął konia i pojechał jak szalony jaki.

Hedwiga słuchała uważnie, kiwała głową ze współczuciem nad losem pani Roksany. Najwięcej dowiedziała się od Chaszcz, który był w Dębowcu kimś w rodzaju przełożonego stajennych.

- Pan zanim pojechał, dał komu jakie polecenie? - zapytała.

- Polecenie? Nie, nic zupełnie nie gadał. Poszedł do pani, a jak wyszedł, od razu poleciał do konia i tyle go widzieli.

- A co krzyczał?

- No, straszne rzeczy... Aż powtórzyć strach. Że... że., panią ubije.

- I groził, że podpali dwór?

- Pewnie i groził, bo okrutnie krzyczał, wyzywał panią od najgorszych. I jeszcze powiedział, że póki ona tu będzie, jego noga w domu nie postanie.

- A czemu był taki niezadowolony?

- Nie wiemy, pani. My się trzymaliśmy z daleka, bo jak się państwo kłóca, lepiej pod rękę im nie wchodzić.

- Mówił co o dziecku?

- Tego nie słyszeliśmy.

- A był kto we dworze z obcych? Wtedy, gdy pani rodziła albo zaraz potem?

Chaszcz podrapał się po głowie.

- Z obcych?

- No, z takich, co tu nie mieszkają na co dzień. Ktoś, kto

przyszedł czy przyjechał, a zaraz potem poszedł swoją drogą. Mężczyzna jaki albo niewiasta.

Chaszcz znowu podrapał się po głowie, a potem zaczął liczyć na palcach.

- Przed porodem to był chyba tylko jeden... ksiądz Franciszek. Potem, na drugi dzień, jak już pan pojechał... pani Anna, a potem wy...

Hedwiga od razu odgadła resztę. Oczywiście, to nie mógł być nikt inny. Tylko do pani Anny mógł pojechać zły lub rozżalony Oset Do pani Anny, która była powiernicą Roksany i jej dawną opiekunką, a bardzo życzliwie odnosiła się także do Osta.

- Pani Anna ze Staropola? - upewniła się.

- Pani Anna. A potem tylko wy.

Hedwiga zostawiła stajennego i pędem puściła się do izby, gdzie leżała Roksana. Ta przysnęła i Hedwiga musiała ją lekko potrząsnąć za ramię, żeby otworzyła oczy.

Wzdrygnęła się, zobaczywszy nad sobą pochyloną twarz pani z Lipowej, jakby jej nie rozpoznała. Ale po chwili wzrok jej oprzytomniał i uniosła się nieco na posłaniu.

- Dziecko - powiedziała Hedwiga gorączkowo. - Twój syn jest najpewniej w Staropolu.

- Co? - zdziwiła się Roksana. - Czemu w Staropolu? - Myślę, że Oset zawiózł go do pani Anny. Nie mógł przecież jeździć do gospody z oseskiem. Natychmiast pojedę do Staropola.

Zatrzymała się w progu.

- A imię? - zapytała. - Jak będzie miał na imię? Roksana zdawała się zaskoczona.

- Imię? Nie wiem, nie myślałam jeszcze... - Nieważne - machnęła ręką Hedwiga, gotowa już do

drogi. - Zabiorę go stamtąd i może dowiem się, jakie szaleństwo wstąpiło w Osta. A ty leż tutaj i nabieraj sił. Sama zajmę się wszystkim. I nie bój się, nawet gdyby Oset się tutaj pokazał, służba go do ciebie nie wpuści, póki na to nie pozwolę. A nie pozwolę, aż się przede mną nie wytłumaczy.

- Marcisz - odezwała się nagle Roksana. - Będę go nazywała Marcisz, po moim dziadku.

Poweselała, uśmiechnęła się nawet do Hedwigi. Pani z Lipowej była już gotowa do drogi, a tu rozpadało się nagle i Roksana bardzo się zatroskała o to, że jej opiekunka i przyjaciółka zmoknie i przemarznie.

- To nieważne - odpowiedziała Hedwiga. - Ważne, żebyś była bezpieczna. Reszta sama się ułoży.

Hedwiga zmagala się z deszczem i wiatrem na drodze do Staropola. Przed Roksana starała się tego nie okazywać, ale była bardzo zła na Osta, do głębi oburzona i wprost wściekła. Gdyby teraz stanął przed nią, rozerwałaby go na strzępy. Spodziewała się zastać go w Staropolu i obiecała sobie, że jak go tylko spotka, nie pożałuje razów, choć nigdy nie pozwalała sobie na coś takiego nawet w stosunku do służby.

Nie rozumiała zachowania Osta, nie wiedziała, co zaszło pomiędzy nim a żoną, dziwiła się, jak mógł tak bardzo zmienić się ten wesoły, łagodny Oset. Pomyślała przez chwilę, że musiało zdarzyć się coś okropnego i podejrzewała, że Roksana nie powiedziała jej wszystkiego. Pewnie było coś, co wyjawiała Ostowi, a co powinna zachować przy sobie. Bywa przecież, że niewiasty mają swoje małe tajemnice i wcale nie ma potrzeby zaraz o wszystkim mówić mężczyznom. Takie tłumaczenie wydawało się Hedwidze prawdopodobne, choć niepokoiło ją, że jeśli ma rację, to tajemnica Roksany wcale nie była taka znowu mała, skoro wywołała tak gwałtowne zachowanie jej męża.

- Nic nie rozumiem - pomyślała Hedwiga. - Ale już ja się tego dowiem! Bo cokolwiek by to było, nic nie usprawiedliwia takiego traktowania niewiasty!

Hedwiga miała rację, podejrzewając, że Roksana nie powiedziała jej wszystkiego. Ale myliła się, sądząc, że łatwo dowie się reszty. Cóż by jej bowiem przyszło z tego, że w tej

chwili zamiast na drodze znalazłaby się w Dębowcu? Co zrozumiałaby z zachowania Roksany?

Oto bowiem krótko po wyjeździe Hedwigi pani Roksana podniosła się z posłania i podeszła do swojej skrzyni.

Otworzyła ją, zanurzyła ręce w jej wnętrzu.

- Widzisz - powiedziała, nie wiadomo do kogo adresując te słowa - widzisz, że jednak nie zostałam pokonana?

Kiedy wyjęła dłonie, były czarne od sadzy.

- Szkoda mojego kufra - mruknęła półgłosem. - Ale to nic, niedługo każę zrobić nowy.

Uśmiechając się, pani Roksana przyłożyła dłonie do twarzy i powoli zaczęła rozmazywać po niej sadzę.

- To nic - mówiła. - To wcale nie zmienia moich planów. Hedwiga, ta przemądrzała i łatwowierna Hedwiga sama przywiezie mojego synka. A potem zrobi to wszystko, o co ją poproszę. Bo jestem sprytna i mam cel w życiu. Tak będzie, jak sobie postanowiłam. Swój zamiar doprowadzę do końca. Do samego końca. Każdego, kto stanie mi na drodze, usunę podstępem albo siłą, bo nic, ani boskie ani diabelskie moce, nic na tym i na tamtym świecie, nie powstrzyma mnie, póki nie wypełnię swoich ślubów!

Hedwiga dojechała do Staropola już o zmroku, przemoczona do ostatniej nitki.

Przed dworem nie wyszedł jej nikt na spotkanie, zmarznięta, trzęsąca się w mokrym ubraniu, sama musiała uwiązać konia, choć drzwi dworu stały otworem i mieszkańcy musieli słyszeć, jak nadjeżdża.

We dworze paliło się światło. Nawet zadziwiająco dużo światła, jeśli wziąć pod uwagę sknerstwo pani Anny.

Dopiero w sieni Hedwiga napotkała służbę i już zamierzała skrzyczeć parobka za zaniedbywanie obowiązków, gdy nagle poczuła znowu ten sam mróz w krzyżu, jakiego doświadczyła niedawno, przyjeżdżając do Dębowca. Ale tu było jeszcze gorzej. Bo w Staropolu czuć było w powietrzu

nie tylko chorobę i smutek, tutaj unosiło się w powietrzu nieszczęście.

Pani Anna leżała w swojej komorze, na prawo od sieni. W czarnej sukni, pozbawionej jakichkolwiek ozdób, wyglądała gorzej niż zwykle. Tym gorzej, że chude, suche dłonie trzymała zaplecione na piersiach. W dłoniach tkwiła zapalona gromnica.

- Umarła rano - wyjaśniła Czunka, zaufana służąca. - Przyjechała wczoraj wieczorem, późno i zaraz położyła się spać. Kazała mi przyjść rano, żebym rozczesała jej włosy. Poszłam po grzebień, a ona umarła.

- Był tu pan Oset? - zapytała Hedwiga.

- Był - potwierdziła służąca. - Wczoraj. Ale zaraz odjechał.

- Przywiózł dziecko? Służąca spojrzała zdziwiona.

- Dziecko, pani? Nic o tym nie wiem. Czyje dziecko? Hedwiga wzięła służebną na bok, by dokładnie ją wypytać, dowiedziała się jednak niewiele więcej.

- Nie wiem - tłumaczyła się Czunka. - Pan Oset był i pojechał. A zaraz potem pojechała pani Anna. Nie mówiła, dokąd się udaje i w jakiej sprawie. Wyjechała, a potem wróciła. Chciałam jechać z nią, bo nie czuła się najlepiej, ale zabroniła.

- Na pewno nie mówiła, dokąd jedzie?

- Na pewno, pani.

- Ani słowem?

- Zupełnie nie. Rzadko wyjeżdżała sama, bo przeważnie brała mnie ze sobą do posługi. Tylko gdy czasem jeździła sama, nic nie mówiła. Teraz też nie powiedziała.

- Miała co z sobą?

- Z sobą? - zdziwiła się służąca. - Co niby miała mieć?

- Zawiniątko dość spore albo...

Czunka popatrzyła na Hedwigę uważnie, a ta uciekła wzrokiem.

- Albo koszyk może - podpowiedziała Hedwiga. Czunka zastanowiła się.

- Zawiniątko? - zapytała. - Albo koszyk? Nie, nie widziałam.
- A może kto inny widział, jak wyjeżdżała i mógłby...
- Widzieli wszyscy - stwierdziła Czunka stanowczo. - I ja bym widziała, gdyby co zabierała ze sobą. Chyba, że...
- Chyba, że co? - niecierpliwiła się Hedwiga.
- Wzięła płaszcz - wyjaśniła niepewnie służąca. - Stary płaszcz, szeroki taki, co go nosiła dawno, kiedy nie była jeszcze taka sucha...
- Mogła pod nim coś ukryć?
- Czemu miałyby ukrywać? - dziwowała się Czunka. Hedwiga syknęła ze złością.
- Żebyś niczego nie widziała, głupia!
- No, mogła ukryć - przyznała służąca. - To bardzo obszerny płaszcz...

Hedwiga była przerażona. Pani Anna zabrała dziecko Roksany i gdzieś je wywiozła. Najpewniej zrobiła to na prośbę Osta. Ale dlaczego? Żeby ukryć przed Roksana? Czemu przed nią ukryć? I dokąd został wywieziony mały Marcisz Roksany? Jak się tego dowiedzieć? Jak go rozpoznać teraz? Trzeba wrócić do Dębowca i zapytać Roksane, czy rozpozna swoje dziecko. Na pewno rozpozna, bo pewnie dobrze je obejrzała. Gdyby potem przepytała wszystkich po wsiach, może dałoby się je odnaleźć. A jeśli Roksana nie będzie umiała poznać syna? Jeśli dziecko nie ma żadnego znaku?

- Mikołaju! - jęknęła Hedwiga. - Gdzie jesteś, Mikołaju? Czemu mnie zostawiłeś w tak trudnej chwili? Mimo późnej pory i zmęczenia porodem pani Roksana nie spała i czekała na powrót Hedwigi z wielką niecierpliwością.

- A mój Marcisz? - zapytała. - Przywiozłaś mojego synka? Chcę go zaraz zobaczyć i sprawdzić, czy nic mu się złego nie stało.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami i nie odzywała się, gdy Hedwiga opowiadała jej o drodze do Staropola i o tym, co tam zastała. Nie odzywała się, patrzyła jakby nie bardzo

rozumiała, co znaczą wyjaśnienia zdenerwowanej i prawie szlochającej Hedwigi.

Ale wreszcie to do niej dotarło.

- Zginęłam! - jęknęła i bezwładnie opadła na poduszki.

- Wody! - krzyknęła Hedwiga.

Pani Roksana straciła przytomność i mimo wysiłków Hedwigi nie powróciła do świadomości. Rzuciła się na posłaniu, wymachiwała rękami, krzyczała lub nagle przechodziła w szept Wymieniała imiona i nazwy, pytała i oskarżała, mówiła rzeczy straszne i Hedwidze zimny pot wystąpił na czoło, kiedy zdała sobie sprawę, że objawy te mogą oznaczać szaleństwo. Bo Roksanie myliło się najwyraźniej to, co rzeczywiste, z tym, co słyszała z ust innych. Bez ładu i składu wykrzykiwała imiona osób znanych w Dolinie, dawno już nie żyjących lub takich, których nie mogła znać i nigdy nie spotkała.

- Bredzi - szepnęła Hedwiga, przerażona i zupełnie bezradna. - Wszystko się jej pomieszało.

Wiedziała, że czasem zdarza się to niewiastom bezpośrednio po porodzie i uznała, że ma właśnie do czynienia z takim przypadkiem.

Roksana wykrzykiwała imiona osób, które być może знаła, o których słyszała od Hedwigi oraz tych, o których musiała słyszeć od innych. Nie wszystkie te imiona mówiły coś Hedwidze, ale większość była jej dobrze znana.

- Witajcie matko Floro - szeptała Roksana. - Jestem żoną Lutka. Czy pan Henryk też przyjechał z wami? Powinien już nadjechać, bo długo na niego czekałam. I pani Anna czekała. Napoju na pewno wystarczy, przygotowałam cały dzbanek. Wybaczcie, że chłopców tu nie ma, bo poszli szukać skarbów po jaskiniach.

Hedwiga robiła chorej zimne okłady na rozpaloną głowę i modliła się o radę.

- Co robić? - powtarzała głośno. - Co robić?

Nie wyglądało na to, żeby pani Roksana miała szybko odzyskać świadomość.

- Tak - śmiała się. - Chętnie wezmę tę sztukę zielonego muślinu, ale tylko jedną. Nie, nigdy nie byłam we Lwowie, w Łucku też nie byłam. Pojadę do Wizny, gdzie jest mój mąż. Który? Jak to który? Pan Henryk, oczywiście. Mówią, że umarł, nie, to nieprawda. Wiem, że to nieprawda. Nie biczcie mnie, matko Aniceto, to prawda. Przysięgam, że prawda. I posadzki tak pięknie pozmywałam. Przecież sama królowa Jadwiga tak powiedziała. Sama królowa!...

Hedwiga zerwała się z miejsca, pobiegła do sieni i zaczęła zwoływać służbę.

- Wyszykować mi wóz - rozkazała. - Wymościć dobrze i zaprząć konie, tylko spokojne, nie narowiste. Ruszać się, niedojdy! Zabieram panią Roksanę do Lipowej.

Postanowiła o tym nagle. Rozstrzygnęła o wszystkim potrzeba zapewnienia opieki Roksanie, której przecież obiecała pomoc, nie mogła jej teraz zostawić w takim stanie. Nie mogła też tutaj zostać, bo pilno jej było do domu, gdzie czekali bliźniacy i codzienne liczne obowiązki. A może sprawiło to przypomnienie królowej Jadwigi...

- Boję się - szeptała suchymi wargami Roksana. - Boję się, że mój mąż wszystko wie. O dziecku, o włosach, o farbie. Nawet o tym sztylcie, który ukradłam w gospodzie.. Czy mi pomożecie? Pomóżcie, a dobrze wam zapłacę, bo mam taki piękny bursztynowy naszyjnik. Co, już go nie mam? Dałam go Zeltyne? Ech, nie, na pewno mam go w skrzyni. Leży koło jej ucha...

Hedwiga biegła za służbą, kierując odpowiednim przygotowaniem wozu, a następnie przenoszeniem chorej, owiniętej w skóry.

- Biedactwo - myślała. - Ale przecież- jest młoda i silna, może uda się jej pokonać chorobę. Tak wiele na nią spadło. Biedactwo. Mąż umarł, drugi okazał się niedobry jedno dziecko straciła, zaginęło drugie. I jeszcze umarła pani Anna, jej opiekunka i powiernica. Kto by wytrzymał tyle ciosów? Kto by wytrzymał!

Usiadła na wóz, obok powożącego pachółka, każąc mu jechać powoli i ostrożnie.

W domu, w Lipowej, będzie mogła poświęcić Roksanie więcej czasu. I poprosić teścia, może zgodziłby się podpowiedzieć jakieś lekarstwo. A dziecko na pewno się znajdzie. Nie wiadomo, jeszcze w jaki sposób, bo pani Anna ze Staropola nie zostawiła żadnego znaku, w jaką stronę je odwiozła i komu oddała. Ale na pewno się odnajdzie, bo przecież nie może tak być, żeby wszystkie nieszczęścia skupiały się na jednej osobie. Nie może tak być! Trzeba wykrzesać w sobie siły i stawić czoło przeciwnościom. Czasami Bóg zsyła bardzo trudne próby. Ale przecież i one się kończą.

Wokoło było ciemno i wilgotno po deszczu, więc gdy Hedwiga poczuła nagle, że ma mokre oczy, mogła udawać nawet przed sobą, że to nie są łzy.

- Mikołaju! - szepnęła. - Wiem, że dopiero niedawno wyjechałeś i nie wypada mi pytać, kiedy wreszcie wrócisz. Ale kto mnie pocieszy i przytuli w dzień tak straszny, jak dzisiaj? Kto mnie przytuli?

Krzyżowcy

Wrzesień 1396

Nicopolis była przed nimi. Wielka twierdza na skale, a w, jej wnętrzu jakby dwa miasta, jedno nad drugim, białe domy pokryte czerwonymi dachówkami. Skała, wysokie mury, za którymi czaili się wytrawni strzelcy i miotacze. Krzyżowcy nie mieli żadnych machin. Rozłożyli się więc szerokim obozem, rozrzutnie, daleko, odcinając wszelkie drogi i ścieżki, którymi mogłoby iść zaopatrzenia dla obleżonych. Ale nikt nie wiedział, jak wielkie zapasy zgromadzono

w twierdzy i na jak długo wystarczą. Oni sami, choć dokonywali rekwizycji, choć weneckimi statkami nadal dowożono jadło i paszę, nie byli w najlepszej sytuacji. Brakowało żywności, a za furazem pachołkowie musieli jeździć coraz dalej.

Pierwszego dnia dowódca oblezionej załogi, Dagon Bej, przysłał poselstwo, ale chrześcijańscy wodzowie odrzucili je ze wzgardą i kazali powiedzieć, żeby uciekał czym prędzej, jeśli nie chce natychmiast postradać życia.

Czekali pod murami, ufni w swoją siłę i opiekę boską. Tak ufni, że za bardzo nie przejmowali się wypełnianiem wojennych obowiązków. Dagon Bej prawie bez przeszkód wysyłał gońców do sułtana i sam odbierał wieści.

Oni tymczasem czekali, bo obleżenie wydawało się tu jedynym możliwym rozwiązaniem. Czekanie dłużyło się, więc nie zapominali o rozrywkach.

Od francuskich namiotów niosły się dźwięki muzyki, chóralne śpiewanie i pijackie okrzyki wesołych kompanów hrabiego de Nevers.

- Znowu to samo - warczał z niezadowoleniem Jan z Tymbarku.

Po całym obozie włóczyli się pijani rycerze i żołnierze spod różnych znaków. Wielu z nich miało na sobie nie tylko kosztowności, które zdarto z pokonanych wcześniej Turków. Nosili przy pasach, na rękawach, na hełmach strzępy szat tureckich, tureckie buty albo drobne części ich oręża. Rzucając je w błoto i deptając na miazgę, wzbudzali w sobie odwagę, a śmiech i radość w towarzyszach.

- Tak zrobimy ze wszystkimi Saracenami! - przechwalali się.

Od namiotów francuskich dał się słyszeć nagły pisk i wybiegło zza nich kilka niewiast, ściganych przez rozochoconych giermków. Stary Jan z Kamieniowej, który służył jeszcze królowi Kazimierzowi, splunął na ten widok z pogardą.

- Obraza boska! - powiedział do Mikołaja. - Nie tak by-

wało za moich młodych lat, choć i my nie ślubowaliśmy życia w czystości.

Jan z Tymbarku przysłonił twarz dłonią.

- Lękam się - szepnął. - Lękam się o ten spokój, co panuje wokoło. Nasze podjazdy donoszą, że ponoć sułtan osobiście wyruszył ze swojej stolicy na czele wielkiej armii. Nie próżno zwać go Błyskawicą, lada chwila tu będzie.

Niektórzy rycerze polscy, węgierscy i inni, co stali daleko za głównym obozem, sarkali na niewygody wojskowego życia. Innym, co nigdy jeszcze nie byli w boju, zdawało się, że tak być powinno, a jeszcze inni, rozmaici maruderzy i poszukiwacze przygód, obnosili beztrosko swoje zadowolone oblicza, bo potrzebowali tylko zapachu krwi, wina i kobiet. Ci zaś, którzy z początku spodziewali się modlitewnego nastroju, mszy świętych, skupienia, po pierwszych rozczarowaniach na zawsze pozbyli się złudzeń.

- Każdy z nas jest już przecież z dawna rozgrzeszony - przypomniał pan Świętosław. - Dostaliśmy absolicję i czekać nas może tylko wieczna szczęśliwość w niebie. Go się tedy dziwić, że ludzie pragną trochę zabawy. Wy, panie Miłkołaju, taką macie minę, jakbyście kiedyś mnichem woleli zostać, nie rycerzem.

- Prawda - przyznał pan z Lipowej. - I im dłużej tu jestem, tym bardziej żałuję, że zmieniłem zamiar.

Tymczasem sułtan turecki ruszył już ze stolicy w Edirne, zwanej do niedawna Adrianopolem, na czele trzydziestu tysięcy wojowników i szybkim marszem zmierzał na spotkanie nieprzyjaciela. Po drodze zbierał załogi z rozrzuconych garnizonów i jego armia rosła szybko. Nie byli to ludzie najlepiej wyekwipowani i uzbrojeni, ale niosła ich naprzód nie tylko wola sułtana, ale i potrzeba świętej wojny z chrześcijanami.

Podobnie jak inni dowódcy sułtan Bajazyt jechał konno, dzieląc ze wszystkimi trudy marszu niczym prosty żołnierz.

- Synu mojej siostry - zwrócił się do jadącego obok le-

karza.. - Jeśli nadal będą potwierdzały się meldunki zwiadowców o chrześcijańskiej armii, nie będziemy mieli trudnego zadania. A dla zwiadowców przyjdzie mi chyba wymyślić jakąś nagrodę za dobre wieści, jakie przynoszą.

- Najlepszą nagrodą będzie dla nich świadomość, że dobrze ci się przysłużyli, wielki sułtanie - odpowiedział Misa-ni al-Rifad. - Co zaś do armii chrześcijańskiej, jesteś zbyt wytrawnym wodzem, żeby ich lekceważyć. Genuńczycy, którzy dostarczają nam wiadomości, robią to z zawiści, bo zależy im na pogwałceniu Wenecjan. Szczęśliwy to dla nas zbieg okoliczności. Dzięki temu wiemy wszystko o ich pochodzie, obozach i planach. Ale nie jest wykluczone, że informują nas niedokładnie albo i rozmyślnie wprowadzają w błąd. Kiedy zaś dojdzie do walki, żelazo spotka się z żelazem i wygra silniejszy, sprawniejszy w polu. To znaczy -poprawił się - zwycięstwo przypadnie tobie, wielki sułtanie.

- Och, nie zamierzam ich wszystkich zabijać - łaskawie roześmiał się sułtan. - Damy im tylko porządną nauczkę, żeby trzymali się swoich zamków i tych tam... jak ty to nazywasz?

- Kaszteli, wielki sułtanie.

- I kaszteli. Niech wracają do swoich ziem i nie próbują przeszkadzać mi w zajmowaniu tego, co należy do Islamu.

- Oni chcą zająć Nicopolis.

- Tego im oddać nie mogę. Rzeczywiście, ich wodzowie nie są najmądrzejsi, skoro tak trzymają się twierdzy i tam zamierzają czekać na moje wojska. Damy im nauczkę, synu mojej siostry, i niech wracają do siebie. Moi dowódcy wiele sobie obiecują po wzięciu do niewoli chrześcijańskich książąt. Obiecałem im nie tylko łupy, ale i niewolników. Niech wyznaczą okupy jak najwyższe, bejowie lubią spać na drogich kamieniach i złocie, niechaj więc kosztowności te pochodzą ze skarbców chrześcijańskich książąt.

- I królów - przypomniał Misani. - Wiem na pewno, że król węgierski Zygmunt...

Bajazyt zatrzymał konia.

- Moim dowódcom obiecałem książąt i hrabiów. Króla Zygmunta chcę mieć dla siebie.
- Będzie, jak sobie życzysz, władco świata.
- Wojna ma swoje prawa, więc nie unikniemy rozlewu krwi. Ale chcę jak najwięcej żywych niewolników, szczególnie spośród ich najważniejszych panów i wodzów. Pamiętaj, synu mojej siostry, chcę ich żywych.

Odwrócił się w lewo, gdzie jechał w milczeniu dowódca jego straży.

- Słyszałeś, Arsan? Chrześcijańskich dowódców chcę mieć żywych.

Ponury Arsan pochylił głowę.

- Allah jest wielki. Będzie, jak sobie życzysz, władco świata.

Po kilku dniach nastroje w chrześcijańskim obozie otaczającym tureckie Nicopolis wyraźnie się poprawiły. Stary pan de Coucy, nie mogąc znieść niepewności i bezruchu, a pokłóciwszy się znowu z marszałkiem Boucicaudem i hrabią de Nevers - dla których miał być wojskowym doradcą i opiekunem, a był kimś, z kim zupełnie się nie liczyli - postanowił nie czekać dłużej i sam poszukać nieprzyjaciela.

o świcie stanął na czele silnego oddziału i ruszył na południe. Prowadził pół tysiąca kopii i tyluż konnych łuczników. Jak przewidywał, rychło natknęli się na turecką jazdę. Kiedy mu tylko o tym doniesiono, stary wódz natychmiast postanowił zaatakować. Plan był prosty, choć przemyślany i przyniósł bardzo dobry skutek.

Pan de Coucy wydzielił dwustu jeźdźców i posłał ich naprzód. Mieli iść odważnie, a napotkawszy Turków, zawrócić i udawać ucieczkę. Resztę ludzi rozstawił wzdłuż parowów, w dogodnej dla siebie okolicy, każąc czekać w ciszy i skupieniu.

Nie zawiódł się. Gdy tylko Turcy zobaczyli nadjeżdżających chrześcijan, natychmiast skoczyli w pogoń, w pędzie minęli przyczajonych zbrojnych pana de Coucy, zupełnie nie spodziewając się zasadzki. Wtedy padł sygnał do ataku.

Chrześcijańska konnica uderzyła z dwóch stron jednocześnie, gradem sypnęły się strzały na stłoczone szeregi. Zaskoczeni Turcy nie mieli dokąd uciekać, bo od czoła zagrodzili im drogę ci, którzy niby umykali w popłochu. Kiedy pan de Coucy powrócił wieczorem jako zwycięzca, w chrześcijańskim obozie zapanowała euforia.

- To boży znak - powtarzano. - Znak, że nie ma już przeszkód przed nami.

Młodzi dowódcy wyprawy, zazdrośni o sukces pana de Coucy, chcieli natychmiast coś zrobić, żeby przewyższyć zasługi starego rycerza, ale jak zwykle nie mogli się między sobą porozumieć. Hrabia de Nevers tupał nogami i pomstował, bo z jego wyliczeń wynikało, że ledwie kilka setek Saracenów zostało do pokonania, więc jakże w takiej sytuacji dokonać bohaterskich czynów. Na szczęście było jeszcze kilka innych powodów do chwały, chociażby odbicie Konstantynopola i oswobodzenie Grobu Świętego.

Właśnie trębacze hrabiego Nevérsa dali sygnał do zebrania kolejnej rady wojennej. Jan z Tymbarku, którego także proszono jako przybocznego króla Zygmunta, obiecał dokładnie powtórzyć Mikołajowi, co będzie tam mówione. Czekali więc w kilku przed namiotem pana z Lipowej -Mikołaj, Jordan z Wojcieszowa, Świętosław Łada, Niemiec Gottfryd, który się pisał z Bad Kissingen, Wawrzyniec Buk z bratem Firlejem, a także kasztelan wyszogrodzki Sasin i jego syn, Roland.

Noc była pogodna, niebo bardzo gwiazdziste, łagodny, ciepły wiatr niósł przyjemne zapachy nieznanego zioła. Czasem tylko od strony niedalekiej twierdzy wzbijał się w górę radosny dźwięk bębnów i piszczałek, którym towarzyszyły okrzyki.

- Radują się, psubraty - warczał pan Świętosław. - Ale już niedługo tej ich pogańskiej radości!

- To tylko potwierdza, że wojska sułtana nadchodzą - za-

uważał Mikołaj. - Najwyraźniej do miasta doszły wiadomości o odsieczy.

Obecni pokiwali głowami.

- Może tak być - zgodził się kasztelan Sasin. - Nasze podjazdy, co przysły od Tyrnowa, słyszały o wielkiej armii. Ponoć może tu być już jutro.

- Jutro? - wykrzywił usta pan Świętosław. - Owszem, nazywają tego pogańskiego diabła Błyskawicą, ale nawet on nie potrafi tak szybko maszerować. My na ten przykład...

- Nas do nich nie porównujcie - zauważył Mikołaj. - Oni nie ciągną ze sobą ani wozów, ani beczek z winem, ani niewiast. Oni mają tylko broń.

- Boże, miej nas w swojej opiece - westchnął Jordan z Wojcieszowa.

Pan Jan z Tymbarku wrócił z rady wojennej późno, pochmurny i rozdrażniony.

- I co? - pytano od ogniska, gdzie wszyscy czekali na jego powrót. - Jakie wieści?

- Niedobre. Nieprzyjaciel jest niedaleko.

- Niedobre? - zdziwił się Świętosław Łada. - Przecież dla walki tu przyszliśmy. Trzeba się cieszyć.

- Podjazdy twierdzą, że idący od Tyrnowa Saraceni to tylko przednia straż sułtana - tłumaczył Jan z Tymbarku.

- Tymczasem nasi dowódcy uważają, że to już cała armia. I zamierzają pierwsi zaatakować.

- Słusznie! - gorączkował się Świętosław. - Trzeba atakować!

- Niedobrze - powtórzył Jan z Tymbarku. - Niedobrze, bo dalej nie ma zgody między panami dowódcami. Doszło do scen wprost gorszących. Miłościwemu królowi Zygmuntovi zarzucono tchórzostwo i chęć chronienia niewiernych.

- Tchórzostwo? - zdziwił się pan Jordan. - To niepodobna. Byliście przy tym?

- Byłem. Ponieważ sytuacja jest niejasna, miłościwy król Zygmunt przedstawił taki plan. Puścić przodem wołoską pie-

chęć, niech w walce sprawdzą, kto na nich uderzy, z której strony i jakimi siłami. Ale prawie wszyscy panowie natychmiast się sprzeciwili. Konetabl Francji, hrabia d'Eu, poderwał się z miejsca i oświadczył dumnie, że on nigdy nie będzie chronił się za plecami służby i pachołków. Zapowiedział, że rozwali łeb każdemu, kto w ataku chciałby się przed niego wysunąć choćby o pół końskiej długości. Natychmiast poparł go marszałek Boucicaut i inni hrabiowie. Nawet pan de Coucy w końcu musiał uznać te racje, choć początkowo stał za królem.

- To chyba słuszne - wtrącił starosta Sasin. - Nie ma prawa byle ciura wyprzedzać nas do sławy i do zasługi przed Bogiem.

Zaczęli roztrząsać przewagi wynikające ze szlacheckiej krwi, a tylko Mikołaj z Lipowej milczał.

- Cóż to? - zapytał Świętosław. - Wy znowu myślicie inaczej?

- Moim zdaniem rację ma król Zygmunt, - odpowiedział zapytany. - Bywałem ja w atakach, obleganiu i obronie. Każdy dobry dowódca wie, że łatwo w zapale bitewnym zapędzić się za głęboko w szyki nieprzyjacielskie, skąd potem trudno powrócić. Póki nie wiadomo, ilu przed nami i jak zbrojni, lepiej zachować ostrożność.

Niektórzy przyklasnęli jego słowom, ale większość była odmiennego zdania.

-To nie walka wedle dobrych rycerskich obyczajów -upierał się Świętosław Łada. - A przeciwnik to tylko poganie, co nie mają pojęcia o waleczności naszego rycerstwa.

Jan z Tymbarku gestem dał znak, że jeszcze nie skończył relacji.

- Król Zygmunt powiedział mniej więcej tak jak pan Mikołaj. Ale panowie nie chcieli go słuchać. Powiadali, że przyjechali tutaj się bić, a nie ukrywać. Postanowiono w końcu, że będzie tak, jak chce hrabia d'Eu. W pierwszych szeregach staną najznacniejsi rycerze, wedle ściśle określonego porządku. W tej sytuacji królowi Zygmuntowi przypadła rola tylnej straży. Miłośnicy pan moimi ustami prosi was, panowie, byście zechcieli zostać przy nim, jeśli łaska.

Bitwa

25 września 1396

Po nocnych naradach, zakończonych zwykłymi rozrywkami, obóz krzyżowców tego ranka obudził się późno. I było jak zwykle, jak od tygodni. Sennie, powoli, w zamieszaniu i bałaganie, z głowami ciężkimi od trunków rycerze wychodzili z namiotów.

Ale wieści o zbliżaniu się Turków nie budziły już teraz wątpliwości i nakazano trąbić wsiadanego. W rozgardiaszu, potykając się, mieszając i wzajemnie na siebie pokrzykując, wszyscy naraz ruszyli na swoje miejsca, a dowódcy, drąc gardła do chrypki, wzięli się do ustawiania chorągwi na polu.

Stary pan de Coucy próbował powstrzymać natychmiastową gotowość, bo nadal upierał się, że zauważone oddziały to tylko przednia straż wojsk sułtańskich i rycerstwo stojące w pełnym rynsztunku zmęczy się przed czasem, ale inni dowódcy, zazdrośni o jego sławę i dotychczasowe zasługi, parli do natychmiastowego boju.

Stały więc długie linie rycerzy, błyszczące od zbroi, ostrzy i pióropuszy. W centrum, wysunięte nieco naprzód oddziały hrabiego Neversa i on sam, który miał być głównodowodzącym w nadchodzącej bitwie. Otaczało go trzystu jego najbliższych kompanów w zielonych strojach, młodych, spragnionych walki, łupów i sławy. Powiewała nad nimi największa z chrześcijańskich chorągwi, z herbem Burgundii, a z wizerunkiem Najświętszej Maryi Panny po drugiej stronie.

Nieco z tyłu, bokiem do Francuzów, został król węgierski Zygmunt ze swoimi. Ten w pierwszej linii kazał ustawić lekkie

pułki wołoskie i rumelskie, słabo uzbrojone i nie cieszące się jego pełnym zaufaniem. Dopiero za nimi stanęli rycerze węgierscy' Niemcy i ochotnicy z innych krajów. Wielu nie miało ani tak dobrych koni, ani tak mocnych zbroi jak jazda francuska, ale nikomu nie brakowało odwagi ani ochoty do starcia.

Stali w dwa szeregi, uformowani w płot, za plecami mając giermków, którzy dzierżyli kopie, żeby je podać na znak. Na prawo od Polaków uformowali się Krzyżacy, a jeszcze bliżej króla oddział Szpitalników z Rodos, z wielkim mistrzem ich rycerskiego zakonu, panem Filibertem z Naillac.

- W imię Boże - powiedział pan Świętosław Łada, stojący po prawej stronie Mikołaja z Lipowej.

- Niech nas ochroni Najświętsza Panna z Jasnej Góry i da nam zwycięstwo - zawtórował Mikołaj.

Po jego lewej ręce, za Jordanem z Wojcieszowa i Gottfrydem z Bad Kissingen stał starosta Sasin z synem. Młody Roland kręcił się niespokojnie w siodle, unosił się na nim i z natężeniem wpatrywał przed siebie, ku błyszczącym linom francuskim.

- Co tak dziwnie pachnie? - zapytał nagle, pociągając nosem

- To krew - odpowiedział pan Jordan. - Krew tak pachnie. Na razie tylko pogańska, ale poczujesz dzisiaj i zapach chrześcijańskiej.

Mikołaj, który słyszał tę rozmowę, wzdrygnął się z odrazą. Tuż za ich plecami, ledwie o dwieście kroków, leżały stosy tureckich trupów. Ostatniej nocy, spodziewając się rychło rozstrzygającej bitwy, dowódcy wyprawy kazali wyciąć wszystkich jeńców wziętych pod Oriachowem. Tysiąc głów poleciało na ziemię, bo panowie nie chcieli już za nie okupu. Okupu spodziewali się teraz po wziętym do niewoli Ba-jazycie, jego dowódcach i wszystkich ważniejszych agach, bejach i wojownikach sułtana.

- Żeby wreszcie zaczęli! - niecierpliwił się młody pan Roland, a po chwili zawołał: - Ruszyli!

Ale i inni dostrzegli, jak stojące w oddali szeregi francuskie zafalowały, podniósł się od ich strony krzyk i walenie żelazami po tarczach. Nieprzyjaciel musiał być blisko.

Czekali.

Turcy wyszli naprzeciw. Pojawili się nagle na grzbiecie niewielkiego pagórka, na wprost linii francuskich i bur-gundzkich. Nie stanęli na widok przeszkody, a może się jej spodziewali, bo nie zatrzymując się, zaczęli schodzić w milczeniu, liczni, kolorowi i błyszczący od grotów i ostrzy.

Ale już rozpędzała się francuska kawaleria, już runęła na szeregi pogan i w oka mgnieniu zmiotła je z pola niczym pajęczynę.

Wśród chrześcijan rozległ się krzyk radości i zwycięstwa. Pole było wolne od nieprzyjaciół.

Pan de Coucy chciał poczekać, aż dołączy król Zygmunt, po którego teraz posłano, na jego oddziały Niemców, Węgrów i ochotników, przegrupować się, rozpoznać teren i dopiero wtedy iść dalej. Ale dowódcy, upojeni łatwym pierwszym sukcesem, nie zamierzali dzielić się sławą. Zwycięstwo wydawało się im tak wielkie, że nie podejrzewali, by zostało jeszcze wiele do roboty. Jeśli na pagórku byli jeszcze jacy Turcy, to zapewne niewielu i należało jak najszybciej zabić ich wszystkich.

- Naprzód! - zawołał hrabia de Nevers. - W imię Najświętszej Panny!

- Naprzód! - odpowiedział hrabia d'Eu.

- Naprzód! - zawtórował marszałek Boucicaut

Nie bacząc zatem na zmęczenie, na straty i zamieszanie we własnych szeregach, krzyżowcy parli dalej, do przodu, do przodu. Wielu już pieszo, bo u szczytu pagórka czekały na nich wbite w ziemię, zaostrzone pale, gdzie jedni tracili konie, a niektórzy życie. Wielu odrzuciło strzaskane kopie, a tylko z mieczami w dłoniach wbiegało na pagórek.

Szli zaś jak żniwiarze, od niechcienia tylko machając żelazem pomiędzy rzadkimi już szeregami niewiernych, wa-

łąc korbaczami, toporami, buławami, wbijając miecze i sztylety. Szczyt był tuż tuż.

Kiedy się tam dostali, zobaczyli, że wcale nie przeszli morza, bo morze było dopiero przed nimi. Na pagórku, w miejscu z linii chrześcijańskich niewidocznym, stały nowe oddziały tureckiej piechoty, a gdzieś z oddali zbliżała się nieprzebrana chmara jeźdźców.

Teraz to Turcy runęli falą, która nakryła chrześcijan, pochłaniając wielu, a innych odrzucając do tyłu, o krok, o dziesięć, o sto kroków.

Ale krzyżowcy nie uciekli. Odbijali, cięli, kłuli i tłukli z ogromną siłą. Zapachniało krwią. Mieszającą się krwią chrześcijan, muzułmanów, Bułgarów.

- Zginęli! - zawołał ktoś ze zgrozą w otoczeniu króla Zygmunta.

Lekkozbrojne hufce wołoskie i rumelskie, przygnane tu pod przymusem, zrozumiały, że bitwa jest przegrana, porzuciły broń i czym prędzej umykały na boki, zostawiając sojuszników bez pomocy.

Ale już odezwały się bębny i stojący w środku linii król węgierski poprowadził na krwawe pole wszystkich, którzy byli przy nim, tę resztę chrześcijan, jaka jeszcze nie uczestniczyła w boju.

- Panie - Mikołaj z Lipowej odwrócił się do Świętosła-wa. - Przysięgnijcie, że jeśli padnę, a wy przeżyjecie, udacie się do mojej żony i opowiecie jej, jak się to stało.

Świętosław Łada brał właśnie kopię od giermka, więc przeżegnał się lewą ręką.

- Przysięgam. A was proszę o to 'samo.

- Przysięgam - odpowiedział Mikołaj. - Bóg nam pomagaj! Szczęknęły zamykane żelazne kratownice i zasłony hełmów, pochyliły się kopie, konie nabierały rozpędu.

Mimo znacznej przewagi Turków i wygodniejszej dla nich pozycji, bitwa wcale nie była jeszcze wygrana, bo chrześcijanie odbijali się z wielką dzielnością. Dokonywali wprost cudów waleczności. Teraz dopiero widać było, że nie przesadzali ci, którzy wysławiali męstwo rycerzy i ich umiejętności w sztuce robienia bronią. Trzydziestoletni marszałek Boucicaut był niby heros i każdy, kto się z nim ścierał, musiał uwierzyć, że Boucicaut z łatwością walczył i zwyciężał w turniejach przez trzydzieści dni z rzędu. Ale teraz to nie był turniej, tylko walka na śmierć, więc nie podziwiał jeden drugiego, nie oszczędzał przeciwnika, a bił, żeby zabić. Wszyscy pragnęli drogo sprzedać życie i stosy trupów, znaczone krzyżem albo półksiężycem, warstwami zaścielały trawiaste pole.

Walczyli dzielnie hrabiowie d'Eu i de Nevers, panowie Odard de Chasseron i Henryk de Bar, także stary a straszny pan Enguerrand de Coucy, którego miecz nie oszczędzał nikogo.

W to krwawe kłębówisko ciał runęły oddziały króla Zygmunta. Niemcy, Węgrzy, Polacy, panowie zakonni - Szpitalnicy i Krzyżacy - a ich dobrze wyćwiczone ostrza rzeźbiły okrutne szczyby w szeregach tureckiej piechoty, twardej, odważnej i nieustępliwej.

Już walili ciężko, śmiertelnie, Mikołaj z Lipowej i Świętosław Łada. I stary Jan z Kamieniowej. I Tomasz Kalski herbu Poraj. I Jan z Tymbarku, co poprowadził szarżę na oddział okrutnych ghazi, najprzedniejszych wojsk sułtana. Już krwawił z dwunastu ran Gotard z Brzezin. Już padli kasztelan wyszogrodzki Sasin. I jego syn Roland.

Bitwa trwała. Lała się krew strumieniami, trzaskało żelazo i kości. Ale chrześcijanie nie chcieli ustąpić i nie chcieli się poddać, więc oddawali życie za wiarę.

- Chrystus! - wołali, zanim padli.

Mikołajowi z Lipowej wydawało się, że ze swojego miejsca widzi samego sułtana Bajazyta. Bo daleko, za szeregami

janczarów, gęstymi od długich mocnych pik, zobaczył nagle jeźdźca na białym koniu. Mały tęgi człowiek wskazywał coś obiema rękoma, a Mikołaj uznał, że to dowódcą Saracenów. Jeździec był daleko, tak daleko, że nie można było rozpoznać ludzi znacznie bliższych, a jednak Mikołaj wiedział na pewno, że zobaczył samego sułtana. Sułtan Bajazyt, niski człowiek w czerwonych butach, siedzący na złoconym siodle białego araba, sam dowodził bitwą.

- Janczarzy w lewo! Uderzać! Uderzać!

- Znaki! Najpierw zdobyć znaki niewiernych!

Trzeszczała już pękająca chrześcijańska potęga, kiedy natarła jazda serbskiego despoty Stefana. Tysiąc pięciuset jeźdźców, wypoczętych, dotąd nie użytych w boju, a spragnionych walki, wpadło śmiertelnymi zagonami w to wszystko, co było jeszcze krzyżową armią. Już zachwiała się wielka chorągiew burgundzka z wizerunkiem Najświętszej Panny, już tylko sam jeden pan de Vienne, francuski admirał, jej bronił. Ale i on skończył pod ciosami.

- Allah akbar! - wołali zwycięzcy.

Bitwa była przegrana.

Już wygasły ogniska oporu. Już spadły głowy najdzielniejszych chrześcijan, rycerzy, ochotników, zabijaków, poszukiwaczy przygód. Już skrwawiły się i zginęły zielone stroje rycerzy otaczających pana de Nevers. Ich niedobitki padały na kolana przed tureckimi dziesiętnikami i błagały niewiernych o zmiłowanie.

Bronili się jeszcze tylko Węgrzy i garść ochotników, ale wszędzie ustępowali pod przewagą i choć bili się ze wszystkich sił, coraz bardziej spychano ich w kierunku rzeki. Ktoś, kto w pędzie potrafił Mikołaja z Lipowej, okazał się samym królem Zygmuntem, co w dwa tylko konie biegł wprost ku Dunajowi. Na brzegu stało bowiem kilka łodzi i żywi jesz-

cze chrześcijanie zobaczyli w nich ocalenie. Konni i piesi, ranni i zdrowi, rycerze i giermkowie, wszyscy rzucili się ku wodzie, mając tuż za plecami okrutnych wojowników tureckich.

Dosięgną! Łodzi król Zygmunt, dosięgną! wielki mistrz Szpitalników, otoczeni przez grupkę wiernych sobie ludzi, osłaniających ich tarczami, bo nagle sypnęły się gęsto na uciekających krótkie saraceńskie strzały.

Łodzie odplynęły, ale rzeka mogła być zbawieniem i dla innych, więc nie zaprzestali ucieczki. Jedni ginęli ledwie o kilka kroków przed brzegiem, inni marli dopiero w wodzie.

Pod Świętosławem Ładą koń padł już w Dunaju. Ale Świętosław uwolnił się ze strzemion i skoczył w głębinę, w pełnej zbroi. Bitwa zamarła nagle, bo patrzyli, co się stanie wszyscy - i chrześcijanie, i Turcy.

Schował się w odmetach, ale wypłynął. I choć był zapięty w ciężkie żelazo, rozgarnia! wodę ramionami i par! do przodu. Strzelcy dopiero teraz jakby się ocknęli, napięli łuki, ale wypuszczone strzały nie dosięgły pływającego, był już zbyt daleko.

- Ocalał! - nie mógł uwierzyć Mikołaj, który widział to zdarzenie.

Natychmiast inni rzucili się śladem Świętosława, ale padali dziesiątkami, ubici strzałami albo topili się, ubrani w żelazne kolczugi, w kaftany naszywane żelaznymi guzami lub płytami, w ciężkie buty i pasy.

Tymczasem poddawały się resztki głównej armii krzyżowców. Już nie walczone. Już tylko Turcy dobijali od niechcenia tych, którzy nie zamierzali się poddawać. Już padł Gottfryd von Bad Kissingen i Jan z Tymbarku, co skupił wokoło siebie po raz kolejny grupę jeźdźców i powiódł ich wprost na saraceńskie piki.

Już wiązano jeńców, po stroju, po zbroi, po koniu oceniając, czy warto takiego zachować dla chwały, dla okupu, dla zabawy.

Ale Mikołaj z Lipowej i inni bili się nadal.

Jeszcze ich było dwudziestu.

Siekli wokoło, a choć miecze wyslizgiwały się im z rąk ubroczonych krwią, nie myśleli o poddaniu. Jeszcze ich było ośmiu.

Leżeli wokoło wojownicy sułtana, jeden na drugim, niczym wał wokół twierdzy. Tureccy dziesiętnicy, przerażeni widokiem takiego pogromu, wołali ku chrześcijanom, żeby zaprzestali rzezi i opuścili miecze.

Jeszcze ich było dwóch.

Stali plecami do siebie, osłaniając się wzajemnie. Wysoki jasnowłosy rycerz bez hełmu i człowiek z końskim wędzidłem w ustach.

Mikołaj z Lipowej. Albert von Neuburg.

Czerwone pole

Pod wieczór sułtan Bajazyt, zwany Błyskawicą, tylko w towarzystwie przybocznej straży objeżdżał pobojuwisko. Wojsko krzyczało z radości, wysławiało jego dzielność i jego szczęście, któremu najwyraźniej sprzyjał sam wielki miłosierny Allah.

Ale sułtan jechał milczący, bo choć zwycięstwo było całkowitej zupełne, ogromna była liczba zabitych i ciężko rannych synów Islamu. Przynajmniej tylu ich zginęło co żołnierzy przeciwnika, a liczbę zabitych chrześcijan szacowano na tysiące.

- Znajdźcie mi ciało króla Zygmunta - polecił władca.

Dowódca jego straży, Arsan, aż ochrypl od okrzyków na cześć zwycięzcy i nawet łaskawie patrzył tego dnia na sułtańskiego faworyta. Misani al -Rifad jechał obok władcy, skupiony, rozglądając się uważnie. Patrzył na ciała leżące wokoło, wyprostowane bądź skrzycone, pokryte krwią, w poszarpanym odzieniu, młode i stare, ubłocone i kolorowe, chrześcijańskie i muzułmańskie, a wszystkie poległe i martwe.

Jeśli rozpoznał kogoś, opowiadał sułtanowi, kim był rycerz lub wojownik, skąd pochodził, czy był znany, sławny i dzielny.

Pokazał sułtanowi burgundzką chorągiew z chrześcijańską Przenajświętszą Panną i leżące obok ciało starego admirała Jeana de Vienne, wysławiając jego męstwo, a także objaśnił inne chorągwie i znaki.

Po jakimś czasie nadeszły do sułtańskiego orszaku wiadomości o losie króla węgierskiego Zygmunta.

- Gdzie ciało? - ożywił się Bajazyt. - Chcę je zobaczyć.

- Nie ma ciała, wielki sułtanie - wyjaśnił lekarz. - Uciekł łodzią na drugą stronę Dunaju z resztkami swoich wiernych rycerzy.

- To tak pilnowaliście, nieudolni?! - grzmiał sułtan.

- Słabo pilnowaliśmy. Ale król Zygmunt ukrył się i opuścił szeregi jeszcze przed końcem walki. Dzielnych ludzi miał z sobą i dlatego mu się udało. Jeden z nich przepłynął rzekę, choć był w pełnej zbroi. Trudno w to uwierzyć, władco świata, ale widziałem to na własne oczy.

Bajazyt zmarszczył brwi.

- Tylu prawowiernych muzułmanów poległo na tym polu, a ty chwalisz wroga, synu mojej siostry? - zapytał cierpko. Al-Rifad nie zmieszał się pod uważnym spojrzeniem władcy.

- Kiedy wychwalam męstwo wroga, powiększam twoje zwycięstwo, wielki sułtanie. Król Zygmunt umknął wprawdzie, ale w twoje ręce dostali się wszyscy dowódcy armii krzyżowej i najslawniejsi rycerze chrześcijaństwa. W połowie stoku łagodnego pagórka, schodzącego ku Dunajowi, bardzo już blisko rzeki, sułtan Bajazyt zatrzymał konia.

Pod jego nogami leżeli na ziemi dwaj chrześcijańscy wojownicy. Na plecach człowiek w skórzanym kaftanie, trzymający w zaciśniętej garści wielki topór na długim trzonku. Obok, twarzą do ziemi, jasnowłosy człowiek bez hełmu. Wokół piętrzyła się barykada trupów. Wyglądało na to,

że obaj wojownicy stawali tu przeciw licznym nieprzyjaciołom długi czas i bardzo długo nie pozwalali się zbliżyć do siebie tureckim żołnierzom. A kto się zbliżył, ten padał od miecza albo od topora. Bajazyt wyciągnął palec.

- Kto to? - zapytał. - Czemu ma w ustach wędzidło niczym koń?

Misani al-Rifad zeskoczył z siodła i podszedł do leżącego. Pochylił się nad nim, a potem gestem pokazał stosy zabitych wokół.

- To tylko dzielny człowiek - wyjaśnił. - Ale wygląda zwyczajnie, wielki sułtanie, to zapewne nikt ważny.

- Domyślam się - zgodził się Bajazyt. - Ale chciałbym się dowiedzieć, kim był i czemu nosił to żelazo w taki sposób.

Al-Rifad bezradnie rozłożył ręce.

- On nie może odpowiedzieć, władco świata.

- A ten drugi? Walczyli tu razem, zatem pewnie wiedział coś o swoim towarzyszu.

Lekarz pochylił się nad drugim z leżących, obrócił ku światłu jego zakrwawioną twarz, dotknął szyi końcami palców.

- Żyje - powiedział po chwili.

- Zadbaj o niego - nakazał sułtan. - Może będzie wiedział coś o tym pierwszym, skoro walczyli tu razem i obaj napsu-li nam tak wielu ludzi.

Misani skłonił się z szacunkiem, pomiędzy palcami rozcierając krew, którą ubrudził się, dotykając twarzy chrześcijanina.

- To szlachcic - wyjaśnił. - Podkowy to jego znak Ale nie wiem, kto to jest, wielki sułtanie. Jeśli taka jest twoją wola, każę go zabrać z pola. Może Allah zachowa go przy życiu.

- Postaraj się, synu mojej siostry - polecił Bajazyt. - Bardzo chciałbym dowiedzieć się, kim byli ci dzielni wojownicy.

Sułtan kazał podzielić łupy uzyskane w zdobytym obozie chrześcijańskim pomiędzy wszystkie walczące W bitwie

oddziały. Pozwolił też, żeby zdarto złocone szaty z zachodnich rycerzy, żeby odebrano poległym ich konie, broń i wszystkie cenne przedmioty, jakie posiadali, butów nie wyłączając. Nawet wielkim panom chrześcijańskim, których wziął do niewoli i których zamierzał puścić dopiero za wysokim okupem, nakazał odebrać wszystko, co mieli przy sobie wartościowego i wszystkich wziął na sznur z odkrytymi głowami niczym prostych parobków.

Polecił również, żeby starannie pozbierano z pola wszystkie chrześcijańskie znaki, które zamierzał rzucić na ulice Edirne, aby deptały po nich konie prawowiernych. Tylko chorągwie z wizerunkami kazał zachować.

- Chorągwie z wizerunkami? - zdumiał się Misani al-Rifad, któremu powierzono to zadanie. - Te, co wbrew świętemu Koranowi zawierają szatańskie malunki? Przecież nie wolno czynić takich wizerunków, bo one obrażają Boga.

- Zbierzesz je wszystkie - rozkazał Bajazyt - i umieścisz w Komnacie Mądrości. Tam zaś zamkniesz je, żeby nawet przypadkiem nie padło na nie oko prawowiernego muzułmanina. Jeśli jest moc jaka w tych znakach, jeśli mają, jak twierdziłeś, wybitne znaczenie, kiedyś chrześcijanie zechcą się o nie upomnieć. A w każdym razie będzie ich bolała ta strata. Takie są moje zamierzenia.

O zachodzie słońca sułtan Bajazyt modlił się, klęcząc na dywaniku rozłożonym przed namiotem i bijąc czołem w kierunku Mekki. Potem udał się na odpoczynek po całym długim dniu, który okazał się dniem wielkiego zwycięstwa i chwały.

Arsan, dowódca sułtańskiej straży, przekazywał mu właśnie, głosem ochrypłym od niedawnych radosnych okrzyków, wyniki spisywania jeńców. Wśród wziętych w niewolę znalazł się bowiem dostojny pan Jacques de Helley, sławny rycerz, niegdyś służący wielkiemu sułtanowi Muradowi, ojcu obecnego władcy. On pomógł Arsanowi i innym nie tyl-

ko spisać imiona tych wszystkich jeńców, którzy mogli zapłacić okup, ale określił też, ile mogą dać.

- To bogactwo, najwaleczniejszy przywódco wiernych - powtarzał Arsan. - Zdobyłeś wielkie bogactwo przez tych ludzi

Sułtan rozkazał trzymać dostojnych jeńców oddzielnie, z reszty zaś część przeznaczył na niewolników dla swoich dowódców, a część polecił zesłać do kopalń i innych miejsc ciężkich robót.

Nagle dano władcy znać, że o pilne posłuchanie prosi Mi-sani al-Rifad i zaraz potem on sam wbiegł do namiotu i padł na twarz przed Bajazytem, jakby nie widział, że sułtan zajęty jest rozmową z Arsanem.

Sułtan gestem uciszył dowódcę straży. Gwałtowne wejście lekarza było wydarzeniem niezwykłym, na taką bezczelność nie pozwolił sobie nikt i nigdy, więc Bajazyt był ciekaw, czym kierował się jego faworyt.

Misani jednym gestem rozdarł na piersi swoją piękną jedwabną szatę i rozkrzyżował ramiona.

- Każ mi wyrwać mój plugawy język, władco świata - zawołał strasznym głosem. - Każ mi go wyrwać, bo w twojej obecności ośmieliłem się wypowiedzieć pochwałę męstwa giaurów, którzy niechaj będą przekłęci do siódmego pokolenia. Kłamałem niczym bezrozumny pies!

Sułtanowi zaczęła drgać prawa brew, zrozumiał, że medyk przynosi najgorsze z nowin. Polecił mu niedawno odszukać miejsce, gdzie chrześcijanie trzymali jeńców wziętych po bitwie pod Oriachowem. Teraz domyślił się wszystkiego.

- Mów - rozkazał, z trudem przełykając ślinę w suchych nagle ustach.

- Znalazłem ich, wielki sułtanie - Misani nie odważył się spojrzeć na twarz władcy. - Twoich urzędników i twoich wojowników, wziętych do niewoli po poddaniu Oriachowa. Choć im król Zygmunt gwarantował bezpieczeństwo, chrześcijanie nie oszczędzili nikogo. Nikogo, władco świata. Ani jednego człowieka.

Bajazyt zerwał się z miejsca, stopami w czerwonych butach bił w ziemię.

- Na brodę Proroka! - krzyczał. - A ja chciałem być szlachetny wobec tych piekielnych gaurów! Ja chciałem być wspaniałomyślny! Przekleństwo na moją głowę!

Podbiegł do Arsana i zaczął okładać dowódcę straży pięściami.

- Zabij ich! - rozkazał. - Zabij ich wszystkich! Arsan odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Wszystkich, władco świata? - upewnił się. Bajazyt zatupał.

- Wszystkich, Arsan! Tylko najwyższych dowódców oszczędź, ale i ich wyprowadź na pole. Niech patrzą, jak będziesz ścinał parszywe chrześcijańskie łby! Niech patrzą!

Dowódca straży uklonił się i chciał się wycofać, ale zatrzymał się jeszcze w wejściu do namiotu.

- A rannych i chorych, sułtanie?

- Wszystkich, Arsan. Wszystkich!

Rankiem następnego dnia wyprowadzono na pole jeńców chrześcijańskich, tylko w koszulach, poobdzieranych z odzienia i klejnotów, bosych i z odkrytymi głowami.

Prowadzono ich powiązanych po trzech i czterech na miejsce kaźni, gdzie czekali też i ich niedawni dowódcy ze sznurami na rękach.

- Który zamknie oczy choć na chwilę, z rozkazu wielkiego sułtana sam zostanie natychmiast stracony - zapowiedział surowo Arsan.

Patrzyli więc hrabiowie d'Eu, de Nevers, de Coucy i wszyscy inni dostojni panowie, jak przystępują do krwawego zadania kaci sułtana i jak po ziemi toczą się głowy bezbronnych krzyżowców.

Sam sułtan nie czekał do końca egzekucji. Zawrócił konia i odjechał ze swoim najbliższym orszakiem. Na polu został Arsan i jego siepacze.

Trzy tysiące dusz otrzymał chrześcijański Bóg tego dnia spod Nicopolis.

Bajazyt Błyskawica opuścił krwawe pole i długo jechał przed siebie. Nikt z towarzyszących mu dostojników nie odważył się przerwać jego chmurnego milczenia.

Dopiero pół mili dalej sułtan zwolnił i niespodziewanie przypomniawszy sobie dawną rozmowę, zapytał medyka:

- A człowiek z wędzidłem?

- Już się nim, jak innymi, zajęły kruki.

- A ten drugi, który był przy nim? Misani al-Rifad pobladł.

- Żyje, władco świata. Przyszedł po niego sam dostojny Ar-san, ale zasłoniłem go twoim wcześniejszym rozkazem. Życzyłeś sobie dowiedzieć się więcej o tych dwóch i dlatego odmówiłem wydania tego giaura na śmierć. Jeśli jednak źle postąpiłem...

- Nie, synu mojej siostry - powiedział sułtan zmęczonym głosem. - Uczyniłeś bardzo dobrze. Ty wiesz najlepiej, że wcale nie zamierzałem przemienić tego pola w jezioro krwi. Dziękuję, że ocaliłeś choć tego jednego.

- Jest nieprzytomny, władco świata. Może jednak miłosierny Allah zechce przywrócić go życiu, żeby mógł zaspokoić twoją ciekawość.

Niepewne wieści

Jesień 1396

W Lipowej szykowano się już do Godów.

Po świętym Marcinie rozliczano się ze służbą, a na święta obdarowywano służbę podarunkami. Był to także czas honorowania krewnych i tego dnia Hedwiga przygotowy-

wała upominki nie tylko dla swoich synów oraz pani Roksany, ale i dla przyrodnic siostr swojego męża Mikołaja.

Było ich trzy, urodziły się prawie rok po roku z różnych matek, wybranych niegdyś przez Ostasza spośród dziewczek służebnych w Lipowej. Była jeszcze jedna, ale zmarła niedługo po urodzeniu. Z trzech pozostałych jedna odeszła. Z matką nie wiadomo dokąd, dwie zostały w majątku. Teraz miały po około piętnaście lat, obie pracowały we dworze i obu obiecał niegdyś Mikołaj, że kiedy będą chciały wyjść za mąż, pomoże im w uskładaniu posagu. Obiecał tak, a Hedwiga nie sprzeciwiła się wcale, bo rzadko sprzeciwiała się pomysłom Mikołaja, który był człowiekiem gotowym każdemu służyć pomocą. Obietnice dopomożenia dziewczynom złożył sam, w żaden sposób nie przymuszany. Ich matki nie miały o nic pretensji, niczego się nie spodziewały, może także dlatego, że nie mogły narzekać na traktowanie w Lipowej, gdzie miały pełną miskę zapewnioną dożywnością. I chyba tylko Hedwiga wiedziała, czemu Mikołaj jest taki wspaniałomyślny.

Mikołajowi ciężarem leżała na sercu wina, jakiej się dopuścił wobec ojca dziewczyn. To przecież on celnymi strzałami z kuszy strącił Ostasza z wieży w Lutowcu. Ostasz był jego wujem, synem jego dziadka Jakuba, przyrodnim bratem jego matki. Mikołaj odpokutował za ten czyn wedle kościelnych przykazań, choć zdaniem wielu niczego takiego robić nie musiał, bo Ostasz był złym człowiekiem i niegdyś powszechnie modlono się w Dolinie, żeby przydarzyło mu się nieszczęście.

Starszą, Nelkę, wydano za mąż do sąsiedniego majątku, młodsza Dochna nadal mieszkała w Lipowej. Była to dziewczyna jasnowłosa, dorodna, choć cicha i nieco nieśmiała. Uchodziła za pracowitą, kiedy nie było roboty w polu, sama przychodziła do dworu, gdzie prała, reperowała odzienie, pomagała w kuchni. Na każde Gody Hedwiga posyłała jej podarek, jak posyłała zamężnej już Nelce, a także własnej siostrze do Potoka oraz licznym innym osobom, bo dobre traktowanie krewnych, choćby i dalekich, należało do obowiązków.

Hedwiga wybrała dwa jednakowe płaty materii, ale jeden większy, bo ten był przeznaczony dla niezamężnej Dochny;

- Po cóż taka rozrzutność? - dziwiła się Roksana.

- To rtie rozrzutność, lecz obowiązek - tłumaczyła Hedwiga. - Wprawdzie są plebejskiej krwi i każda od innej matki, ale to jakby rodzina.

Zdaniem Roksany nie było potrzeby honorować kogoś o tak wątpliwym pokrewieństwie. Przecież Ostasz był tylko przyrodnim wujem Mikołaja, więc dla jego żony dziewczyny te powinny być właściwie obce. Szczególnie, że plony tego roku były daleko gorsze od spodziewanych i dwór nie miał z czego płacić.

Pani Roksana zadomowiła się w Lipowej. Kiedy jesienią Hedwiga przywiozła ją do siebie, chciała przede wszystkim ochronić ją od gniewu Osta i złagodzić ból po stracie syna. Dziecko Roksany zaginęło bezpowrotnie. Pani Anna umarła, nie zdążywszy nikogo powiadomić, gdzie dała je pod opiekę. Hedwiga przepytywała wszystkich w okolicy, pp dworach i siołach. Kamień w wodę.

Pani Roksana długo chorowała. Tygodniami leżała w łóżu, nie wychodziła na zewnątrz. Ale kiedyś przyjść musiał dzień, w którym wstanie, i taki dzień nadszedł.

Oset nie pojawił się i zatarł za sobą wszelkie ślady. Nie pojawił się ani w Dębowcu, ani nigdzie indziej w Dolinie. Od owej jesieni nikt go nie widział.

Z końcem zimy zaczęto uważać powszechnie, że Oset nie powróci prędko, skoro nie zjawił się do tej pory, a może i nie wróci wcale. Ludzie rozmaicie o tym gadali, bo nie wiadomo było, co naprawdę stało się przyczyną jego tak dziwnego zachowania.

Hedwiga także podejrzewała, że Oset nie wróci.

- Pojechał na koniec świata - powiedziała do Roksany. - Nieprędko przyjedzie. Kto wie, czy nie wybrał się na Litwę.

- Na Litwę? - zdumiała się Roksana. - Czemu na Litwę i co on ma tam do szukania?

Hedwiga uznała, że może jej objaśnić od dawna Żywione zamiary Osta.

- Wspominałam wam kiedyś o ślubowaniu, jakie złożył -przypomniała. - Wam może wcale o tym nie mówił, żebyście nie byli przeciwna jego planom. A słyszałam od męża, że ślubował to samemu królowi. Ale król życzył sobie, żeby Oset nie jechał wcześniej, jak tylko gdy będzie już miał potomka. Teraz ma Marcisza, a przypominam sobie, jak niedawno mówił, że bardzo już chciałby wypełnić przyrzeczenie dane królowi.

- Cóż to za sprawa? - marszczyła brwi Roksana. - I czemu nic mi o tym nie wspominał?

- Nie wiem tego na pewno - zastrzegła się Hedwiga. -Wiem tylko, że miał jechać, bo słyszałam przed jakimś czasem, jak z moim mężem omawiali drogę. Obaj bywali w tamtych stronach. Słyszałam, że planował przejechać Mazowsze i w Wiźnie przejść bród graniczny...

- W Wiźnie? - zaciekawiła się Roksana. - Na pewno dobrze słyszeliście? A gdzie jest ta Wizna?

- Wystarczająco daleko, żeby ochłonął, zanim wróci. Pytała Roksanę o powody takiego zachowania jej męża, ale ta nie umiała albo nie chciała udzielić wyjaśnień.

- Nie wiem - powtarzała tylko. - Nie wiem, jaki diabeł go opętał. Nie zrobiłam przecież nic przeciw niemu.^L

Gdy poczuła się lepiej, Hedwiga chciała ją nawet zachęcić do powrotu do siebie, ale pani z Dębowca wcale nie miała na to ochoty.

- Jakże mi wracać? - pytała zafrasowana.

Była blada, wychudzona, mizerna, a jej uroda wyraźnie przygasła. Najchętniej leżała w łóżu albo siedziała milcząca, patrząc przed siebie.

Hedwiga nie nalegała, bo nie mogła uznać rozumowania Roksany za całkowicie pozbawione sensu.

- Oset kiedyś przecież wróci - mówiła. - Pojechał w gnie-

wie, ale czas koi gniew. Pojechał, przemyśli wszystko i powróci. Wróci i upadnie ci do nóg, prosząc o wybaczenie. Roksana była innego zdania

- Boję się - skłamała. - Czasem myślę, że byłoby lepiej, żeby nie wracał.

Tylko ona wiedziała, że Oset nie wróci. Sama wyprawiła męża na koniec świata. Była pewna, że nie wróci, póki myśli, że jego syn żyje. Nie wróci, póki nie wie, że dziecko zaginęło.

Hedwiga właściwie była zadowolona, że ma przy sobie przyjaciółkę.

Bo były przyjaciółkami. Jedna uczciwa i szczerą, druga skryta i umiejętnie udająca współczucie. Roksana z uwagą wysłuchiwała zwierzeń pani na Lipowej, pocieszała ją, wpływając na Hedwigę kojąco. To Roksana podtrzymywała w Hedwidze nadzieję na powrót Mikołaja. Martwiła się tylko, czy pan z Lipowej zgodzi się na jej obecność we dworze.

-Co powie pan Mikołaj, gdy mnie tu zastanie?

- Nic nie powie - odparła Hedwiga. - Będzie zadowolony, jak ja jestem zadowolona.

Święta Bożego Narodzenia nie zapowiadały się wesoło. Hedwidze bardzo brakowało Mikołaja i ten brak nie mógł być zrównoważony niczym innym. Kazała postawić na świątecznym stole przygotowane dla męża nakrycie, jeśliby miał wrócić niespodziewanie. Było to oczywiście nieprawdopodobne, ale Hedwiga uważała, że jest bliżej męża, gdy o nim myśli, a on jest wtedy bliżej jej i ich dzieci.

O wyprawie, w której uczestniczył Mikołaj, nic właściwie nie było wiadomo. W grudniu pojawiły się niewyraźne plotki mówiące, że wielka bitwa z Turkami zakończyła się porażką chrześcijan.

Pierwszym, który przyniósł owe plotki był Żyd Natan. Myślał cały dzień, jak je przedstawić Hedwidze. Przyszedł do dworu, chrząkał, kluczył.

- To daleko niepewne wiadomości... - zaczął. - Może nie powinienem was niepokoić, szlachetna pani...

Zakłopotany przestępował z nogi na nogę i nie podnosił oczu.

- Złe wieści - powiedział. - Złe wieści, pani Hedwiga uciszyła go gestem dłoni. Przed wyjazdem męża obiecała mu, że nie będzie ufać żadnym wieściom, a szczególnie plotkom.

- Znajdę sposób na powiadomienie ciebie - obiecał Mikołaj. - Czy będę żywy czy martwy, dowiesz się tego ode mnie.

Teraz Hedwiga nakazała Natanowi:

- Odejdź. Nie zamierzam tego słuchać.

Pod koniec grudnia straszne wiadomości potwierdził ksiądz Franciszek.

Hedwiga zastała go w kościele. Stał tam, poszarzały na twarzy, bez uśmiechu, zaciskał dłonie na złożonej kartce papieru. Drżał, w świątyni było bardzo zimno.

- Nie wiem, jak to mam wyrazić...

- Prosto - odpowiedziała Hedwiga.

- Ale kiedy;..

- Chcę wiedzieć. Zacisnęła usta.

Ksiądz Franciszek zaszeleścił trzymanym w ręku papierem.

- Może to nieprawda... - szepnął niepewnie.

Potem rozwinął list i wzrokiem przeczytał go znowu.

- Była wielka bitwa z wojskami sułtana - wyjąkał po chwili. - Na polach pod twierdzą Nicopolis. Saraceni, których przybyło sto albo więcej tysięcy, po długiej i krwawej walce całkowicie pokonali armię krzyżową. Piętnaście tysięcy dobrych chrześcijańskich rycerzy padło za wiarę. Saraceni wzięli trzy tysiące jeńców. A potem... z rozkazu sułtana Bajazyta... wszystkich... wszystkich...

Hedwiga gwałtownie wyciągnęła rękę, chwyciła list, zmięła go i rzuciła na posadzkę.

- To nieprawda - powiedziała spokojnym głosem. - Nie Mikołaj. Może wszyscy inni, ale nie Mikołaj..

Odwróciła się i szybko wyszła z kościoła.

Rządca Jacek towarzyszył swojej pani do spichrzów, gdzie sprawdzali stan zapasów. Wychodzili właśnie, kiedy nadbiegła pani Roksana, tylko w płaszczu narzuconym na domową suknię i z odkrytą głową.

- Czy to prawda? - wołała z daleka.

- Co ty wyprawiasz? - ofuknęła ją Hedwiga. - Na taki mróz bez futra i z gołą głową? Znowu chcesz się pochorować?

Roksana machnęła ręką lekceważąco. - To nic - mówiła zadyszana. - Wybiegłam, bo usłyszałam o wielkiej bitwie.

Czy to prawda, że nikt nie ocalał?

- Była bitwa - potwierdziła Hedwiga. - Ale jak to w takich przypadkach bywa, długo jeszcze nie będziemy wiedzieli, co się zdarzyło naprawdę.

Pan Jacek odwrócił głowę. On sam był pełen najgorszych przeczuć, bo długie życie nauczyło go w pierwszej kolejności spodziewać się klęski i nieszczęścia.

Roksana załamywała ręce.

- Ale mówią, że wszyscy zginęli! Hedwiga pokręciła głową.

- Nie Mikołaj - powiedziała z przekonaniem. - Mikołaj obiecał, że gdyby miał zginąć, będą tacy, co mnie powiadomią. Tacy, którzy to widzieli i będą mogli opowiedzieć, jak zginął. Bo muszę to wiedzieć. A nikt taki nie trafił do Lipowej.

Pani Roksana przysła jej na pomoc.

- Jak możecie tak straszyć Hedwigę, panie Jacku? Trzeba poczekać na dokładne i pewne wieści. I chodźmy wreszcie do izby, bo wszyscy się rozchorujemy od tego mrozu!

Bliźniacy stali obok siebie, a usta obu układały się do płaczu. Pierwszy, jak zwykle, odważył się zapytać Marcin.

- Czy będziemy sierotami?

- Nie - zaprzeczyła Hedwiga.
- Ale wszyscy mówią, że pogański sułtan...
- Niech sobie mówią, a wy mnie macie słuchać. Ja zaś mówię, że wasz ojciec powróci cały i zdrowy. W plotki zakazał wierzyć.

Krawiec królowej

Styczeń 1397

Satyna była czarna, połyskująca w świetle. Belę tego materiału dwaj pomocnicy rozwijali właśnie w warsztacie krawieckim przy krakowskiej ulicy świętej Anny. Przynieśli ze składu na tyłach sklepu, gdzie leżała zawinięta dobrze w płótno, żeby nie zakurzyła się, nie doznała jakiej szkody. Teraz wydobyli ją z płóciennego worka, położyli na stół i rozwinęli na blacie.

- Będzie potrzeba dobrych dziesięć łokci - powiedział czeladnik krawiecki Nowik.

Starał się o wyzwolenie i już tylko pół roku brakowało mu do końcowego egzaminu. Był pilny, starał się, ale był nadto pewny siebie i pewności tej często dawał wyraz, szczególnie w obecności obu pomocników mistrza, którzy byli ledwie terminatorami.

- Dziesięć łokci powinno wystarczyć - powtórzył Nowik. - Rozwińcie jeszcze trochę.

W milczeniu wypełnili polecenie, wstrzymując oddechy, bo satyna kosztowała krocie i bali się, żeby nie spadła na podłogę i nie wybrudziła się. Nowik wziął drewnianą miarę, starannie odmierzył tkaninę i kawałkiem kredy zaznaczył miejsce, w którym miała być przecięta.

- Gotowe, mistrzu - powiadomił, odkładając kredę.

Ginter Fuchs, krawiecki mistrz i starszy cechu krakowskich krawców, odwrócił się od okna, przez które wyglądał na ulicę. Z jego piersi wyrwało się ciche westchnienie. Ruszył w głąb pracowni, niski, grubawy, w wyświechtanym kafetanie, którego używał do roboty. Robota wprawdzie polegała głównie na kierowaniu pomocnikami, ale mistrz lubił ubierać się w roboczy strój, żeby widzieli, że i on pracuje. Odsunął na tył głowy kapelusz, podrapał się po zarosniętym rudą szczecina podbródka.

- Gotowe, mistrzu - powtórzył Nowik - Czy mam przyciąć?

Ginter zbliżył się do stołu, małymi grubymi palcami pomacał tkaninę. Był to znakomity towar, sprowadzony za niemałe pieniądze. Leżał w magazynie dłuższy czas, ale pobyt na zapleczu wcale materii nie zaszkodził.

- Dokładnie odmierzyłeś? - zapytał. Nowik uśmiechnął się z zadowoleniem

- Oczywiście, mistrzu. Dziesięć łokci. Wziął nożyce i stał już w gotowości. Ginter zamachał rękami.

- Głupiś! Niby mistrzem chcesz zostać, a ciągle brakuje ci miary w oku. Jak w takich warunkach zamierzasz zdać egzamin, zupełnie nie wiem. Też wymyślił! Dziesięć łokci! A co zrobisz, jak ci braknie, barania głowo?

Był niezadowolony, fukał, marudził. Nie dość, że bolał go brzuch i od kilku dni czuł się marnie, to jeszcze to zamówienie. To smutne zamówienie!

- Czeladnik! - prychnął zły. - Ofiara nie czeladnik! Jakie jest pierwsze przykazanie mistrza?

- Zaoszczędzić materii, a tak wykonać robotę, żeby nic się nie zmarnowało!

- Głupi! - zrzędził mistrz. - To jest drugie przykazanie, barani łbie. Pierwsze jest jak najlepiej wykonać zamówienie.

Nie jesteś tu, żeby szyć byle co i byle jak Tu jest warsztat, który pracuje dla dworu, kpie. Dla dworu! To jest zamówienie od pani królowej!

- Ale przecież mierzyłem...

- Głupis! - powtórzył Ginter, –Mierzyłeś i figę wymierzyłeś. Bo trzeba trzynaście łokci, kpie! Trzynaście! Zapamiętaj sobie. Gdybyś to robił dla innej jakiej niewiasty, starczyłoby dziesięć. Dla mieszczki, gdybyśmy robili takie suknie, nawet i osiem. Ale nie dla pani Jadwigi. Dla pani królowej zawsze trzynaście łokci, głupku. Zapamiętaj. I gestem dał znak terminatorom, żeby rozwinęli jeszcze materiał, sam wziął miarę do ręki i dokładnie obmierzył tkaninę.

- Tyle - powiedział, kiedy postawił znak. - Możesz przecinać, ale prosto, bo ci kości porachuję.

- Będzie prosto, mistrzu - zapewnił Nowik i ochoczo wziął się do roboty.

Miał rację, bo choć nie było narysowanej kreski przez całą szerokość beli, odciął równiutko jak się patrzy.

- No - przyznał krawiec. - Przynajmniej tyle umiesz. Resztę beli, na której zostało już niewiele, kazał chłopakom na powrót zapakować do worka i zanieść na zaplecze.

- Niech tam poleży sobie, daj Boże, jak najdłużej. Nowik starał się bardzo, więc zapytał:

- Czemu tak mówicie, mistrzu? Czemu ma leżeć jak najdłużej? To nie chcecie sprzedać tak pięknego materiału?

Ginter Fuchs westchnął. Co za tępak z tego czeladnika!

- A do czego nam ta czarna satyna, barania głowo? Na bal myślisz? Nie, nie na bal. Zatem na żałobę. Miałbym się cieszyć, że przyszło mi znowu szyć żałobną suknię dla najjaśniejszej pani? Miałbym się z tego cieszyć?

To była już kolejna czarna suknia, jaką mistrz Ginter szył dla polskiej królowej. Przez minione lata wykonał ich kilka, sam już nie wiedział, jak wiele.

- Zaraz... - zastanawiał się półgłosem. - Najpierw była ta najmniejsza, dziecięca prawie, gdy pani Jadwiga nie była jeszcze pełnoletnia i płakała, bo nie pozwolili jej poślubić tego pięknego Wilhelma... Potem była następna, kiedy uduszono jej matkę Elżbietę, wdowę po królu Ludwiku. Póź-

niej ta z wysokim kołnierzem, gdy umarł książę Skirgajło, a ostatnia to była w zeszłym roku, kiedy zmarła Maria, królowa węgierska i siostra najjaśniejszej pani. No i teraz, na znak żałoby po tylu panach z chrześcijańskich krajów, co padli w bitwie z Saracenami pod Nicopolis... Mistrz Ginter westchnął ze współczuciem.

- Wiele tego. Zbyt wiele jak na tak młodą i tak dobrą osobę jak czcigodna pani Jadwiga. A to pewno nie jej ostatnia czarna suknia. Nie ostatnia. Biedna pani królowa! Tylko nieszczęścia wokoło...

W wielkiej sali Wawelu było tłoczno, od drzwi aż do samego podwyższenia, gdzie na tronach zasiedli pani Jadwiga i król Jagiełło.

Ale nie było muzykantów ni grajków. Królowa wystąpiła w obszernej sukni z czarnej satyny, bez żadnych ozdób i z włosami przykrytymi żałobnym welonem. W czerń były ubrane jej najbliższe dworki. Dworzanie mieli na rękawach czarne wstążki, podobnie wystąpili niektórzy ze zgromadzonych rycerzy, urzędników królestwa, gości na dworze.

Tomasz Kalski herbu Poraj, ubrany całkowicie na czarno, z czarnym kapeluszem w ręku, uklonił się przed monarszą parą nisko do ziemi.

- Jego dostojność król węgierski Zygmunt prosi wasze królewskie moście o pomoc w wykupieniu tych jeńców, którym Bóg ofiarował łaskę i pozwolił zachować życie.

Wiedziano powszechnie, że jeńców pozostało niewiele, większość uczestników zeszłorocznej krucjaty padła w krwawej bitwie pod Nicopolis, a wziętych do niewoli turecki sułtan kazał zabić i prawie nikt nie ocalał z wielkiej chrześcijańskiej armii.

- Jego dostojność król węgierski prosi wszystkich swoich krewnych i kuzynów, dostojnych królów, książąt, możnych i rycerzy, żeby wpłacili tyle, ile mogą na wykupienie cierpiących w niewoli. Turecki sułtan wyznaczył ogromny

okup, tak ogromy, że nikt nie mógłby zapłacić go samodzielnie. Jego dostojność król Zygmunt zrzekł się na ten cel swoich dochodów z Wenecji...

- Prawda to, że w Burgundii i Flandrii nałożono specjalne podatki? - zapytał Jagiełło.

- Prawda, miłościwy panie - potwierdził poseł. Król popatrzył na żonę.

- Wielce się troskamy p tych nielicznych naszych rycerzy, którzy dostali się do niewoli - oświadczył. - Tak jak modlimy się nieustannie za tych, co dusze oddali Bogu. Czy wiadomo, jacy rycerze ocaleli z rąk sułtana?

Pan Tomasz sięgnął w zanadrze, skąd wy dobył zwój pergaminu.

- Oto lista, najjaśniejszy panie.

Król sam wstał z miejsca i odebrał pismo z rąk posła. Wrócił na miejsce, rozwinął list, a biskup Wysz, stojący za plecami monarchy, odczytywał półgłosem zamieszczone na nim nazwiska i imiona.

- Hrabowie d'Eu, de Nevers, de Bar, panowie de Coucy, de Tremoville, de Saint-Omer... Sami Francuzi i Burgundowie, najjaśniejszy panie... Jest sporo Niemców i kilku Italczyków. Ale także i wasi poddani. Jan z Tyczyny... panowie z Bogusławie... kilka nieznanych mi nazwisk...

- Mikołaj z Lipowej? - zapytał król. Biskup raz jeszcze przejrzał listę.

- Nie ma, miłościwy panie.

- Na pewno?

- Na pewno, miłościwy panie.

Król dał znak, żeby panu Kalskiemu, który miał się udać teraz na dwór księcia mazowieckiego, oddano spis.

- Zrobimy, co w naszej mocy - zapowiedział.

Skinął na stojącego w odległym kącie żołnierza. Był to sierżant królewskiej straży, siwy, starszy, w kolczudze, na której miał czerwoną tunikę, i w stalowym hełmie, płaskim, jakie były popularne w Czechach.

- Miłościwy panie? - ukłonił się żołnierz.

Podszedł, przyklęknął na kolano przed tronem. Obliznął wargi, niepewny, czego chce władca. A ten wyciągnął rękę i zdjął żołnierzowi hełm z głowy.

A kiedy wziął go do ręki, zsunął z palca kosztowny pierścień i wrzucił do wnętrza żelaznego garnka.

- Panowie - zwrócił się do obecnych. - Nie żałujcie darów na szczytny cel!

Królowa pierwsza przyłączyła się do tej zbiórki, zdejmując z dłoni jedyny pierścionek, a król wstał ze swojego miejsca i osobiście obszedł zebranych, odbierając od nich kamienie, pierścienie, kosztowne guzy z szat, perły od dam, złote błyskotki od kapeluszy i zawojów. Nawet biskup Piotr ofiarował swój kapłański pierścień z ametystem.

- Panie Kalski - skinął król na posła. - Oto nasza odpowiedź na prośbę króla Zygmunta. Weź i użyj odpowiednio.

- Przysięgam, że na nic innego nie obrócę tego daru - odparł pan Tomasz z ukłonem, a potem ukłonił się także obecnym: - Bóg wam zapłać wszystkim.

Podobnie jak i gdzie indziej, wieściom o klęsce krzyżowców długo nikt nie chciał dać wiary. W Paryżu tych wszystkich, którzy pierwsi przynieśli plotki o przegranej, uwięziono i skazano na śmierć przez utopienie, a tylko kolejne wiarygodne świadectwa uratowały im życie. Nikomu nie chciało się pomieścić w głowie, że tak wielka armia mogła ulec Saracenom i doznać równie druzgocącej klęski, że nikt prawie nie ocalał.

Pierwsze wiadomości, jakie pojawiły się w Krakowie jeszcze przed Bożym Narodzeniem, rychło jednak znalazły potwierdzenie. O niepowodzeniu krucjaty mówili kupcy, potem przyszły na dwór listy z Wenecji i Malborka, napisał sam król węgierski, a wreszcie pojawili się ci, którzy widzieli bitwę na własne oczy.

Królowa przywdziała czarną suknię, ogłoszono żałobne nabożeństwa w kościołach i w całym Krakowie zapanował ponury nastrój.

Czas karnawału nie był więc porą radości i śpiewu. Królowa odmówiła uczestniczenia w rozrywkach, a w jej ślady poszedł cały dwór. Odwołano tańce, pląsy i zabawy. Nawet w mieście karnawał przebiegał bez zabaw i wesołości. Jedni powstrzymywali drugich przed pustym śmiechem i niestosownymi żartami, a choć pospólstwo nie zamierzało rezygnować ze zwykłych dla tej pory radości, miały one ograniczony zasięg i przebiegały spokojniej niż poprzedniego roku.

Dwór zbierał się wieczorami, żeby modlić się za poległych, rozpamiętywać dawne sławne czyny rycerzy, opowiadać o ich bohaterstwie, czytać pouczające teksty. Przyjmowano z honorami wszystkich dostojników z obcych krajów, wysłano dodatkowych posłów do króla węgierskiego, a wszystko po to, żeby o wyprawie krzyżowej i kończącej ją krwawej bitwie pod Nicopolis, dowiedzieć się jak najwięcej.

- Polegli za wiarę - pocieszano się.

Tylko królewski wieszczek Alaban nie opuścił głowy i przy każdej sposobności przypominał swoje przewidywania.

- Ostrzegałem - powtarzał. - Ostrzegałem miłościwego pana. Przepowiadałem, że nie będzie to dobra wyprawa. Mówiłem, że tylko niewielu z niej powróci. Ale nikt mnie nie chciał słuchać, nikt nie brał poważnie pod uwagę moich ostrzeżeń.

Król nie był zadowolony z pamięci Alabana. Wprawdzie znowu pytał go czasem o zdanie, ale nie pozwolił zwrócić niczego z wyposażenia komnaty wieszczka, które przed kilku laty wyniesiono. Alaban zgromadził wprawdzie to i owo od nowa, ale wszystko to razem było niczym w porównaniu z tym, co miał poprzednio.

- Oto królewska łaska - narzekał. - Nie słucha właściwych doradców, słucha takich, co mu powiadają tylko to, co udane i radosne.

Miesiącami mieli przybywać na dwór ludzie podający się za uczestników wyprawy krzyżowej oraz uczestników bitwy pod Nicopolis. Początkowo serdecznie witano wszystkich, wszyst-

kich goszczono i obdarowywano zaszczytami. Ale wiadomość o tym widać się rozeszła, bo nie brakowało i zwykłych oszustów, którzy trafiali na dwór po to tylko, żeby się objeść, otrzymać nowe szaty, dobre słowo i garść srebra na drogę.

Kiedy się to zaś wydało, kilku dostało tęgę baty, a dwaj najbardziej zuchwali trafili nawet do ciemnicy. Strażnicy na zamku otrzymali więc szczegółowe polecenia, jak mają postępować, i zanim kogokolwiek dopuszczono do rozmowy z kasztelanem czy choćby tylko z burgrabią, musiał się solidnie wypowiadać przed nimi, powołać na liczne znajomości, znane wydarzenia. Byli oczywiście i tacy sprytni, którzy dobrze przygotowali się do swojej roli, ale i ich odkryto. Kasztelan kazał dwóch takich uwięzić, miano ich nawet ściąć, ale pani Jadwiga stanowczo zabroniła takiego surowego karanía i tylko jej wstawiennictwu zawdzięczali, że po kilku tygodniach puszczono ich z więzy. Giermek Barnaba pojawił się na królewskim dworze w połowie lutego. Jak każdego, który był uczestnikiem tej strasznej bitwy z niewiernymi, przywitano go z wielkim honorem i zaciekawieniem, omal jak bohatera, a sama pani Jadwiga zażądała, żeby się stawił przed nią i opowiedział, co widziały jego oczy.

Więcej jak trzydzieści osób zebrało się w sali, kiedy przeprowadzono do niej giermka pana Janisława ze Szczepocic. Niski, mocny, czerwony na pysku, z oczami nieco rozbieganymi pod płową czupryną, o krótkich rękach i krótkich palcach u wielkich dłoni.

Kłaniał się wielokrotnie, onieśmielony osobą królowej i ogromnym zainteresowaniem zebranych. Patrzyli na niego, spijając prawie z ust jego słowa. Niewiele miał jednak do powiedzenia. Pan Janisław był tylko zwykłym rycerzem, nie należał do dowódców, jego giermek niewiele mógł wyjaśnić z tego, co się stało, bo sam niewiele widział- i może nie nazbyt wiele rozumiał.

- No, bywało ciężko - przyznał. - Najpierw mieli my Wszystko, co potrzeba, i nie brakowało niczego do jedzenia czy wypicia. Potem, jak poszliśmy w ziemie sułtańskie, było gorzej, bo brakowało paszy, a nie zawsze było co ugotować. Dla panów dowódców bywało lepiej, bo im przywozili statkami zaopatrzenie, ale my, zwykli ludzie, musielim zdobywać żywność starymi sposobami. Tak że bywało ciężko...

- Ale grzała was pewność, że walcycie w wielkiej i słusznej sprawie - zauważył któryś z młodych rycerzy.

- A tak - zgodził się giermek po chwili.

- Jaki nastrój panował w szeregach? - dopytywano się. - Czy wszyscy chcieli walczyć do ostatniej kropli krwi? Czy ludzie byli nabożni? Czy modlili się często? Pomocy jakich świętych wzywali?

Giermek spojrzał niepewnie.

- Czy byli nabożni, to nie wiem, panie. Ale na pewno wszyscy my bardzo się rwali do bitki. Długo nie było z kim się potykać, ale kiedy wreszcie nastali przed nami Saraceni, to nie żalowali my siły, oj nie żalowali!

Barnaba niewiele miał do opowiadania, lecz słuchali z przejęciem. Pewne rzeczy słyszeli już z innych ust, ale nadal brakowało im wiadomości. Nowe było to, co powiedział o drodze powrotnej spod Nicopolis.

- Jak bitwa się kończyła i usłyszeli my, że król Zygmunt umknął, duch w nas upadł i nasi dowódcy dali znak, żeby każdy się ratował na własną rękę. Udało się i mnie dostać na łódkę, potem na statek i jakoś głowę ocalić. To jednak nie od razu. Szedłem długo, kryjąc się, jadłem byle co, ścigali mnie

i raz omal nie pojмали. Widziałem po drodze wielu jeszcze naszych, ludzi szlachetnych i zwykłych żołnierzy.

Bułgarzy doścignęli wielu, ubili i obdarli ze wszystkiego, mało komu udało się, jak mnie, skorzystać z bożej opieki, oj mało komu.

Zachęcony pytaniami, które w istocie były podpowiedziami, co chcieli usłyszeć pytający, giermek szybko zorientował się, co powinien mówić i w jaki sposób.

Szczegółowo więc opisał, jak stał do końca przy swoim panu i pobiegł do rzeki dopiero, kiedy przekonał się, że pan Janisław oddał ducha Bogu. Opowiadał potem o długiej i trudnej podróży i żalu swojej pani, gdy dowiedziała się o śmierci męża.

- Była chyba bardzo szczęśliwa? - zauważył ktoś. - Bo przecież to znaczy, że jej mąż trafił wprost do raju...

Giermek pociągnął nosem. Nie był pewny, czy dobrze odczytuje wszystkie oczekiwania słuchaczy. Opowiadanie swoje zmieniał zgodnie z tymi oczekiwaniami.

Jego pan padł w bitwie przez przypadek, przebity włócznią sąsiada z szeregu, ale widzowie chcieli słuchać, jaki był dzielny i bohaterski, więc umiejętnie ubarwiał opowieść. Teraz chcieli, żeby wdowa okazała się szczęśliwa, więc starał się i tej wersji nie zaprzeczać.

- Chyba była szczęśliwa - potwierdził. - Tak, na pewno była szczęśliwa z tych wieści. Na początku krzyczała trochę i nawet płakała, ale potem uspokoiła się. Na drugi dzień zawołała mnie i oświadczyła, że postanowiła pójść do klasztoru.

Dwór pani Jadwigi komentował to rozmaicie. Ale przeważało zdanie, że wierna żona nie chciała wieść dalej swojego dotychczasowego życia, a postanowiła dorównać w pobożności sławnemu i dzielnemu mężowi.

Jeńcy sultana

Wiosna 1397

Dwanaście pięknych białozorów, przyuczonych do polowania, siedzących na kosztownych haftowanych rękawicach, dziesięć pięknych wierzchowców z bogatymi rzędami, które wysadzone były kolorowymi drogocennymi kamieniami, dziesięć pięknych psów myśliwskich ubranych w sa-

tynowe szaty zdobione kosztownościami i obrazami świecącymi od klejnotów.

- Oto jest dar chrześcijańskich królów - tłumaczył pan Jacques de Helley. - Dar królów Zachodu dla tureckiego króla, dla ciebie, wielki sułtanie.

Orszak z darami przechodził wolno już po raz drugi, żeby Bajazyt, zwany Błyskawicą, mógł dokładnie obejrzeć i należycie ocenić bogactwo francuskiego daru.

Sultan siedział na jedwabnych poduszkach przed wielkim namiotem, patrzył spod przymrużonych powiek. Nic nie mówił, choć zaprawdę wspaniałe dary przygotowali dla niego królowie i książęta Zachodu.

- Piękne ptaki - przyznał wreszcie sułtan, którego zamiłowanie do łowów z sokołami było powszechnie znane. - Ale nie widzę skrzyń z okupem.

Francuski poseł ukłonił się nisko.

- Nadejda, wielki sułtanie - obiecywał. - Nie jest łatwo zgromadzić tak wielki okup, ale po raz kolejny zapewniam w imieniu moich władców, że nasi panowie zostaną wykupieni, zgodnie z twoim słowem, że puścisz do domu pojmanych wodzów.

Bajazyt zmarszczył brwi.

- Nie spieszą się z okupem - mruknął niezadowolony. - Tymczasem wasi dowódcy narzekają na warunki w niewoli. Kto będzie odpowiadał, jeśli pomrą za kratami? Ja czy wasi nierychliwi królowie?

Pan de Helley pochylił się ponownie.

- Czy pozwolisz, wielki sułtanie, przedstawić prośbę moich chrześcijańskich królów?

Bajazyt zniecierpliwiony skinął dłonią.

- Wysłucham jej - zgodził się.

- Królowie Zachodu proszą cię, wielki sułtanie, byś ulżył doli jeńców. Wiadomo nam jest bowiem, że przebywają w trudnych warunkach, wielu z nich poważnie choruje i możliwe nawet, że mogą nie doczekać...

- Niech więc się pospieszą z okupem wasi władcy - wark-

nał sultan. - Niech się pospieszą, niech nie pozwalają swoim wodzom siedzieć w niewoli.

- Robimy co możliwe, sułtanie. Ale musi to potrwać, bo suma, jaką raczyłeś wyznaczyć, jest zaiste ogromna...

Jacques de Helley był głęboko nieszczęśliwy. Jego rady wyszły wszystkim na opak. Sułtan Bajazyt obejrzawszy dary, postanowił podwyższyć okup do dwustu tysięcy złotych florenów. A to właśnie pan de Helley namawiał władców chrześcijańskich, żeby wysłali do sułtana dar w miarę najwspanialszy. Sułtan zaś, widząc bogactwo chrześcijańskich królów, uznał, że mogą oni zapłacić znacznie większy okup, niż im wyznaczył początkowo. Teraz więc pan de Helley przeklinał w duchu dzień, kiedy poradził chrześcijańskim władcom takie bogate wystąpienie i martwił się, skąd wezmą oni tak ogromne pieniądze.

- Suma jest chyba godna waszych dowódców - zauważył sułtan spokojnie.

- To prawda, wielki sułtanie - zgodził się de Helley. - Jednakże warunki, w których przebywają więźniowie...

- Takie mają warunki, jakie im wyznaczyłem - uciał Bajazyt i dał znak, że nie zamierza ciągnąć tej rozmowy.

-Zmienia się, kiedy wpłynie okup.

Jacques de Helley wycofał się z ukłonem. Kiedy odszedł, sułtan zwrócił się w stronę stojących opodal dostojników.

- Podejź, synu mojej siostry.

Misani al-Rifad zbliżył się o trzy kroki i nisko skłonił przed władcą.

- Słucham, władco świata.

- Chcę mieć wiadomości, co się dzieje w wieży, gdzie trzymamy chrześcijan. Zdaje się, że nie bardzo mogę ufać meldunkom Arsana, bo on jako wojskowy, niewiele się na tym rozumie. Zatem pójdziesz tam, zobaczysz i ocenisz, a potem zdasz mi sprawozdanie.

- Będzie jak rozkazałeś, władco świata.

Sułtan zamachał małymi rękami.

- A teraz odejdźcie wszyscy. Chcę odpocząć. Rozmowy z tymi chrześcijańskimi wysłannikami bardzo mnie wyczerpują.

Wśród ofiarowanych sułtanowi darów była też piękna tkanina. Wykonano ją w mieście Arras, a przedstawiała jeźdźca na białym koniu z dłonią wzniesioną w rozkazującym geście, rozwianym włosiem, oczami wpatrzonymi w dal.

- Czy tak wyglądał mój przodek? - zapytał sułtan.

- Tak, wielki sułtanie - odpowiedział Saleh al-Mansur, wielki wezyr. - To jest najslawniejszy wódz dawnych czasów, Aleksander, zwany Wielkim. Tak i ciebie będą nazywali, władco świata. Już cię tak nazywają - poprawił się szybko. Sułtan długą chwilę przyglądał się obrazowi, utkanemu przez mistrzów chrześcijańskich i z podziwem potrząsał głową.

- Piękny dar - powiedział. - Piękny dar, choć przedstawia żywe istoty, co jest przecież zakazane przez Koran. Każ al-Rif adowi, żeby umieścił tę tkaninę w Komnacie Mądrości, gdzie znajdują się sztandary odebrane chrześcijanom. I niech ją zamknie, jak zamknął chorągwie giaurów z wizerunkami ich świętych. Niechaj nie zobaczą ich oczy prawowiernych.

- Jak kazałeś, władco świata - pochylił się wezyr. Sapał, był bardzo zmęczony, czuł się chory, trząsał się i gorączkował. Bajazyt zobaczył to, ale nie zapytał o samopoczucie.

- Jutro - powiedział - Jutro masz być zdrowy, al-Mansur. Inaczej przyjdzie mi mianować nowego wezyra.

- Tak, władco świata - pochylił się stary dostojnik. - Jak sobie życzysz, władco świata.

Więźniów trzymano w wielkim piętrowym, dwuskrzydłowym budynku na skraju miasta. Kiedyś był tu dom kupca i składy przy nim. Opróżniono go niedawno, czyniąc kwatery dla jeńców sułtana. Całość otaczał drewniany płot na podmurówce, wysoki i solidny. Pierwsze piętro na wprost od dziedzińca zajmowali najbardziej dostojni jeńcy,

których było kilkunastu. Na parterze pomieszczono pozostałych, prawie dwustu ludzi niższych stanów, którzy cudem uniknęli rzezi, bo zostali schwytani już po bitwie i uniknęli losu swoich towarzyszy, których ścięto na polu. Na dziedzińcu był stawik, skąd czerpano wodę dla jeńców, a oni sami siedzieli w pomieszczeniach, które dawniej były składami handlowymi i stajniami dla zwierząt. Tłoczyli się tu na słomie, obdarci, brodaci, brudni i spragnieni. Wartownicy otworzyli bramę, z szacunkiem skłaniając się przed wysłannikiem sułtana. Jeden z żołnierzy poszedł za lekarzem krok w krok jako jego ochrona.

- Czy to konieczne? - zapytał al-Rifad. Nadzorca więzienia przyłożył dłonie do piersi.

- To niezbędne, dostojny panie. Ci chrześcijanie nie umieją uszanować waszej godności, dlatego pójdzie z wami mój sługa z biczem. Oni tam siedzą i nudzą się, więc co i raz wybuchają pomiędzy nimi bójkami i zamieszanie. Biją się o wodę, biją się o jedzenie.

Poszli.

Kiedy Misani zobaczył brudne zatęchłe pomieszczenia

i gromadę obdartusów leżących ciasno na słomie, natychmiast domyślił się wszystkiego.

- Biją się? - zapytał. - Może dlatego, że dajesz im za mało jeść?

- Za mało? - zdziwił się nadzorca. - Daję tyle, ile się należy. Nie lepiej było na piętrze, gdzie umieszczono dowódców chrześcijańskiej wyprawy. I oni leżeli na słomie, ale tu pokrytej brudnymi prześcieradłami. Wyglądali nie lepiej od ludzi na dole, ale w ich postawie było coś władczego, co pozwalało zgadnąć, że uważają się za coś znacznie ważniejszego od swoich towarzyszy.

Misani al-Rifad przystanął w progu i czekał, aż wszystkie spojrzenia skierują się w jego stronę.

- Wielki sułtan przysłał mnie tutaj, żebyśmy zobaczyli, w jakich warunkach przebywacie i czy czego wam nie potrzeba.

Skoczyło ku niemu kilkanaście zarośniętych, kudłatych postaci, jeden przez drugiego mówiąc i wykrzykując, aż musiał się cofnąć, żeby nie czuć wydzielnego przez nich smrodu.

Nadzorca wysunął się przed lekarza. Spokojnym wyćwiczonym ruchem, podniósł bicz znaczącym gestem.

Uspokoił się, a kiedy lekarz na tabliczce zaczął spisywać ich prośby, zgłaszali je kolejno i w jakim takim porządku.

- Lepsze szaty - powtarzał głośno. - Lepsza żywność. Więcej powietrza. Częściej wynosić ciała zmarłych na dole, bo cuchną w upale. Pozwolić na nakrycia głowy. Dostarczyć wino.

Przerwał i spojrzał na nich z niedowierzaniem.

- Chcecie wina? Czyżbyście zapomnieli, że święty Koran zabrania picia takich napojów?

- Jesteśmy do wina przyzwyczajeni - powiedzieli. - Urąga naszej godności, że pić musimy wodę niczym jacy prostytutki.

Misani al-Rifad skrzyżował ramiona.

- Nawet nie powtórzę waszej bezczelnej prośby wielkiemu sułtanowi.

Wieczorem tego dnia sułtan Bajazyt zapytał lekarza:

- Cóż tam widziałeś, synu mojej siostry?

Siedział na jedwabnych poduszkach w tronowej sali swojego pałacu.

Misani al-Rifad pochylił głowę w ukłonie.

- Obejrzałem więzienie, jak sobie życzyłeś, władco świata. Jeśli pozwolisz mi mówić, poproszę cię o polepszenie ich losu.

- Czemu miałbym to zrobić?

- Bo są twoimi więźniami i możesz z nimi zrobić, co zechcesz. Kiedy zaś powrócą do swoich krain, będą wychwalać twoją wielkoduszność, wielki sułtanie.

Bajazyt lekceważąco wzruszył ramionami.

- Nie zależy mi na zdaniu niewiernych.

Skinął jednak na lekarza, że chce wysłuchać jego szczegółowej relacji. Ale słuchał nieuważnie, jakby zajęty innymi myślami.

- Niewiele trzeba, by poprawić los twoich jeńców, wielki sułtanie - zaproponował Misani. - Pozwól im się umyć, bo strasznie cuchną. Pozwól, żeby zdjęto łańcuchy z nóg tych, którzy je noszą, bo i tak nie mogą uciec z zamkniętego miejsca. Ośmiu ich zmarło w ostatnim tygodniu z chorób i niedożywienia. Wśród nich ów dzielny hrabia de Coucy. Czy zezwolisz, władco świata, bym wydał polecenie, żeby jego ciało przewieziono do Francji?

Bajazyt zmarszczył brwi.

- To wbrew naszemu prawu - zauważył. Misani al-Rifad skłonił głowę.

- A jeśli przypomnę ci jego męstwo, władco świata? Sułtan zgodził się natychmiast.

- Rozporządź, jak uznasz za stosowne w moim imieniu - rozkazał zniecierpliwiony. - Ale tylko w odniesieniu do rycerzy. Niech hrabiowie pocierpią jeszcze. Przynajmniej do czasu nadejścia listów w sprawie okupu. Muszą wiedzieć, że jest to niewola, a nie gościna pod moim dachem.

- Tak, wielki sułtanie.

Lekarz ukłonił się nisko i zamierzał odejść, by wypełnić otrzymane polecenia, ale Bajazyt zatrzymał go niespodziewanym pytaniem.

- Czy dałem ci upoważnienie, byś zwolnił nadzorcę tego więzienia?

- Nie, ale nie mogłem tolerować, żeby cię okradano, potomku Proroka. Nadzorca oszukiwał cię na każdym kroku. Żałował jeńcom słomy do spania i zboża do jedzenia, choć w raportach pisał, że wiele tego zużywają.

Sułtan pokiwał głową aprobująco.

- Co z nim zrobiłeś? - spytał.

- Kazałem założyć kajdany i zamknąć z chrześcijanami. Bajazyt roześmiał się rozbawiony.

- To rzeczywiście bardzo dobra kara dla złodzieja, synu mojej siostry - pochwalił.

Misani al-Rifad nie podniósł wzroku.

- Brak mi twojej znanej przenikliwości, władco świata. Kara okazała się mało odpowiednia, bo zbyt krótka. Chrześcijanie natychmiast zadusili nadzorcę.

Oczekiwanie

W Dolinie czekano na wieści o panu Mikołaju. Najpierw spokojnie, potem z rosnącą niecierpliwością, wreszcie z niepokojem. Plotki, jakie tu docierały, były coraz okropniejsze. Mówiono o wielkiej bitwie z Turkami i o tym, że Saraceni bezlitośnie wycięli wszystkich chrześcijańskich rycerzy, jacy ocaleli w boja

Pan Jenó siedział w swojej Krasawie, lecząc się z ran, które mu zadano zeszłego roku podczas oblężenia Bolesławca. Po zwycięskiej wojnie z księciem Opolczykiem podpisano pokój, a holsztyński starosta otrzymał królewskie zezwolenie, by mógł opuścić oddziały dla poratowania zdrowia.

Pan Jenó marszczył brwi i milczał. Wobec niepewnych a często sprzecznych wieści wydał rozkaz, żeby ugoszczono każdego wędrownego żołnierza, dokładnie go przy tym wypytując. W Krasawie pojawiło się ich tego roku bardzo wielu. Maruderzy spod rozmaitych sztandarów, wędrujący po kraju, trafiali także do Doliny, jak trafiali tu po każdej wojnie. Ale nikt nie umiał nic powiedzieć o Mikołaju z Lipowej.

- Żadnych wieści - biadała pani Alena. - Nikt nie widział naszego syna po bitwie. Nie było go wśród poległych ani wśród jeńców.

- Może to dobry znak - pocieszał pan Jenó. - Może dobry znak. Skoro go nie widziano zabitego, może gdzie żyje...
Pani Alena rzucała się po izbie i płakała straszliwie.

- Nie mnie, niewieście, oceniać tak straszne sprawy jak wojna. Ale wiem ja dobrze, co się dzieje tam na bitewnym polu. Jeśli go nie ma wśród poległych i nie ma wśród jeń-

ców, to gdzie jest? Gdzie jest? Może jego piękna głowa potoczyła się po ziemi, może nie została znaleziona... Wiosną tego roku, na dolnej części wielkiego kamienia stojącego przy dworze w Lipowej, na pamiątkowym kamieniu przytoczonym tu przez Mikołaja, pojawiła się cienka warstwa mchu.

- Boże - westchnęła ciężko na ten widok Hedwiga. - Czy dajesz mi kolejny znak?

Tego dnia pani Roksana powiedziała do bliźniaków:

- Jeśli wasz ojciec miałby nie wrócić, któryś z was zostanie panem na Lipowej.

- To ja - zgłosił się Marcin. - Bo jestem starszy. Pani Roksana uśmiechnęła się.

- Słusznie. A jako prawowity dziedzic roztoczysz chyba nad wszystkimi innymi opiekę. Weź mnie w opiekę, mój chłopcze.

Późną wiosną sporo już wiedziano o przebiegu krucjaty. Znano jej kolejne etapy, znano listy poległych i imiona części z tych, których ścięto z rozkazu sultana na polu bitwy. Znano także listę uwięzionych, których można było wykupić. Pieniądze zbierano w wielu chrześcijańskich krajach, a w Burgundii specjalny nałożony podatek na wykupienie księcia de Nevers musieli płacić - rzecz to niesłychana - także duchowni.

Targi z sultanem ciągle trwały, więc jeńcy nadal siedzieli w pętach, ale do chrześcijańskich miast i zamków coraz szerzej przybywali maruderzy. Ci wszyscy, którzy mieli szczęście w bitwie i udało się im umknąć z pola, po walce albo i wcześniej. Byli też tacy, którzy przepłynęli Dunaj, a wracali do domu, doświadczając licznych i przykrych często przygód. Oni przynosili wieści o innych, także o tych, co padli w odwrocie, często blisko już ojczystych granic. Latem strumień ten miał się zmniejszyć, a jesienią zaniknąć zupełnie i wszyscy oczekujący zrozumieli, że mało kto więcej powróci.

Królowa Jadwiga bardzo interesowała się losem polskich krzyżowców i bardzo dokładnie sama albo ustami kasztelana wypytywała wszystkich uczestników wyprawy o niektórych, szczególnie zaś o Mikołaja z Lipowej. Niewiele jednak dało się ustalić.

- Widziałem go w obozie - mówili jedni.

- Był przy królu Zygmuncie - powiadali inni.

Ale nie potrafili wskazać, gdzie był pan Mikołaj podczas bitwy, albo wykręcali się od rzeczowej odpowiedzi.

Kasztelan krakowski Dobiesław rozumiał to jednoznacznie.

- Niestety, miłościwa pani - powiedział do królowej. -Może to znaczyć tylko jedno. Ci ludzie uciekli pewnie z pola przed walką, więc nie mogli jej oglądać i nie widzieli, jak stawali przeciw niewiernym poszczególni rycerze. Skoro mówią, że nie widzieli pana Mikołaja, może to oznaczać tylko jedno. Nie uciekł z pola, został na nim i zapewne stawał bohatersko. Jeśli zaś wziął udział w bitwie, nie powrócił z tymi włóczęgami i nie ma go na liście jeńców...

Królowa zamachała ręką.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Tak być nie może, kasztelanie Póki nie mamy pewności, nie mamy świadka jego śmierci i nie możemy w to uwierzyć. Rozmaite bywają losy ludzkie, więc i tym razem poczekajmy na jakiś znak lub dowód.

Na jej prośbę rozpytywano wszystkich, a król Jagiełło wysyłając poselstwo na Węgry, załączył nawet własnoręczny list pani Jadwigi do króla Zygmunta. Odpowiedź, jaką po pewnym czasie przyniesiono, także nie wyjaśniała wiele. Król Zygmunt odpisał, że dzielnie stawał pan Mikołaj, walcząc nad brzegiem Dunaju, ale nie udało się ustalić jego losów. Zapewnił także, że wymieniono listy z dostojnikami tureckimi i nie ma wśród jeńców nikogo o takim imieniu. Takie ustalenia przekazała królowa Hedwidze, kiedy ta przyjechała na Wawel prosić o pomoc i ratunek.

- Może Mikołaj zaplątał się z innymi - pocieszała. - Może pomyłono imiona. Są bowiem wśród jeńców przedstawi-

ciele wielu narodów i może być, że źle zapisano jego imię. Kiedy tylko wyjaśni się wszystko, może dowiemy się więcej.

- On żyje, najjaśniejsza pani - powtarzała Hedwiga z przekonaniem. - Na pewno żyje.

Z dnia na dzień spodziewano się potwierdzenia, że sułtan przystał na wielkość oraz sposób przekazania okupu i zezwolił uwięzionym powrócić do swoich ziem i krain.

- Poczekajmy - mówiła pani Jadwiga. - Na pewno jest wśród nich i twój Mikołaj. A jeśli nie ma, oni właśnie będą może wiedzieli o nim coś pewnego.

Hedwiga została na dworze.

Zycie tymczasem toczyło się swoim torem i widmo niedawnej klęski powoli odchodziło w zapomnienie. Pamiętano raczej wspaniały orszak, jaki szedł do boju, strojny i zbrojny, a wieczorami rozmowy w komnatach wawelskich skupiały się bardziej na opowieściach o bohaterach, ich zasługach i wspaniałej postawie niż na żalu za zabytymi. W końcu wszyscy oni jak jeden mąż trafili od razu do raju i nie brakowało takich, którzy jawnie zazdrościli poległym.

- Już niedługo - pocieszała panią z Lipowej królowa Jadwiga. - To już zupełnie niedługo. Wkrótce powrócą rycerze z niewoli, a z nimi wróci nadzieja.

Hedwiga była poważna i smutna nawet, co nie wszystkim się podobało. Jedni jej współczuli, inni zaś uważali, że powinna zaprzestać wypatrywania męża i tak jawnie sprzeciwiać się woli bożej. Jeśli ma powrócić, przecież powróci, a jeśli oddał życie za wiarę, nie wolno pomniejszać tej ofiary.

Hedwiga zaś martwiła się i tym, co dzieje się w Lipowej w czas jej nieobecności, ale postanowiła zostać na Wawelu, aż będzie mogła rozmówić się z powracającymi, a potem dokładnie ich jeszcze o wszystko wypytać. Gdyby bowiem wróciła do domu, a dawni jeńcy rozjechali się po swoich ziemiach, jakże trudniej byłoby jej trafić do każdego.

- Zostań - mówiła pani Jadwiga. - To już przecież nie-

długo. A przez tych kilka tygodni nic złego stać się nie może w Lipowej. Sama mówiłaś, że masz dobrego rządcę, a owa pani Roksana też zadba o sprawy jak należy.

Królowa wiedziała dobrze o wszystkim, bo o wszystko szczegółowo wypytała, a Hedwiga opowiedziała jej wydarzenia ostatniego roku bardzo dokładnie, niczego nie ukrywając.

Hedwiga czuła się także odpowiedzialna przed chłopcami. Myślała teraz, że mogła była powstrzymać Mikołaja przed wyprawą. Przecież, gdyby zażądała, zmusiła go, żeby został, nie pojechałby. Nie pojechałby i nie przepadł, a chłopcy mieliby ojca.

Pytali o niego często, bo wiedzieli w jakim celu pojechał, słyszeli o przebiegu bitwy i o wielkich ofiarach. Wiedzieli też, że nie ma go wśród powracających.

Hedwiga nie wyobrażała sobie życia bez Mikołaja, życia samotnego. Pamiętała przecież, co mu powiedziała, kiedy odjeżdżał. Ze jeśli on zginie, ona także żyć przestanie. A przecież nie przestała, każdego ranka budziła się do nowego dnia i każdego ranka przekonywała się, że skoro ona żyje, więc i Mikołaj musi gdzieś być na tym świecie.

Postanowienie o wyjeździe na dwór królewski przyszło Hedwidze tym łatwiej, że miała kogo zostawić w majątku, kto stałby na straży jej synów.

- Oczywiście, że zostanę - powiedziała Roksana. - Możesz jechać i możesz całkowicie zdać się na mnie. Będę dla chłopców równie dobrą opiekunką jak ty sama.

Wprawdzie dotąd to raczej Hedwiga matkowała Roksanie, leczyła dawne jej rany i dbała o wszystko, ale teraz Roksana koniecznie chciała odpłacić się przyjaciółce za dobre serce i miesiące starań.

Pani Alena, teściowa Hedwigi i matka Mikołaja, nie czuła się wystarczająco dobrze, żeby mogła zająć się majątkiem i chłopcami. To musiał być ktoś, kto mieszkałby w Lipowej i miał oko na wszystko każdego dnia, przez cały czas nieobecności Hedwigi.

Marina, siostra Hedwigi, ani słyszeć nie chciała o podobnej możliwości. Miała dość swoich kłopotów z Dominikiem, z którym radziła sobie coraz trudniej, więc choć kochała siostrzeńców, nie mogła podjąć się nad nimi opieki.

- Ale przyjadę zawsze, kiedy tylko będzie trzeba - obiecywała.

W tej sytuacji, przy zapewnieniu rządcy Jacka, że nic nie grozi majątkowi, Hedwiga nie wahała się długo. Kazała się pakować, a poteni ruszyła do Krakowa.

- Nie martw się - uspokajała Roksana, gdy żegnały się przed dworem. - Nie martw się ani przez chwilę. Zadbam tutaj o wszystko. I pamiętaj tylko, żeby nje ufać plotkom i pogłoskom. Sama wiem dobrze, jak potrafią być zwodnicze. Na pewno spotkasz tam takich, którzy będą ci różności opowiadać. Nie ufaj im. Ufaj tylko swojemu rozumowi i swojemu sercu. Póki nie zdobędziesz dowodu o śmierci Mikołaja, nawet nie wolno ci myśleć, że może nie powrócić do domu.

Choć bez własnych doświadczeń rodzicielskich, Roksana była przekonana, że łatwo sobie ze wszystkim poradzi. Jej zdaniem bliźniakom nadmiernie dotąd płażano i zamierzała to ukrócić.

Od razu po wyjeździe Hedwigi ochoczo wzięła się do wypełniania swoich obowiązków. Była zaś panią na majątku i dla obu chłopców miała zastępować matkę.

Zaraz też wezwała obu przed siebie, a kiedy stanęli, zaczerwieniem od biegania i zabawy, powiedziała:

- Wasza matka pojechała szukać waszego ojca. Jak wiecie, póki ona nie wróci, ja będę waszą opiekunką. Od razu też wam zapowiadam, że hojnie będę nagradzała dobre postępowanie, a nie ujmę kary, kiedy okaże się to konieczne.

Patrzyli uważnie, z ciekawością. Matka pozwalała im na wiele i czasem tylko mówiła, że brakuje im dyscypliny.

- Nie znacie karności - ciągnęła pani Roksana. - Nieobecność waszej matki to dobra sposobność, żebyście nauczyli się

trochę posłuszeństwa i odpowiedniego szacunku dla rodziców. Bo niezależnie od tego, czy ojciec wasz wróci czy nie wróci.

- A czy wróci? - zapytał Mateusz, młodszy. Pani Roksana zmarszczyła brwi.

- Wasza matka nie powiedziała wam tego, bo wcale nie musiała. Ale obie tak się umówiłyśmy. Ona odjechała, ja zostałam. Moim zadaniem jest nauczyć was posłuszeństwa i pokory. Zamierzam poważnie wziąć się do tego zadania. Będę więc was uczyła i zapewniam, że nauczę. Zaczniemy od tego, żebyście zapamiętali, że zawsze i wszędzie macie okazywać szacunek starszym i od siebie dostojniejszym. Waszej matce przede wszystkim. A ponieważ jej tutaj nie ma, a ja ją zastępuję, więc się będziecie uczyli szacunku do mnie. Zaczniemy zaś tę ważną naukę od razu. W jej, to znaczy mojej obecności, nie będziecie odtąd śmieli się odzywać niepytani. Matka stanowczo za bardzo was rozpuściła i moim zadaniem jest ukrócić takie zachowanie. Zatem nie będziecie się odzywać niepytani, a każdy, który złamie zakaz, poniesie karę.

Patrzyli po sobie zmieszani i trochę niepewni. Zapowiedzi wyglądały na bardzo surowe. Matka tak nie postępowała, choć oczywiście narzekała czasem, że są zbyt rozpuszczeni, ale nigdy nie groziła karami tylko za samo odezwanie się.

- Zaczniemy od razu - powtórzyła pani Roksana. - Ten jeden, pierwszy raz wam daruję. To znaczy daruję Mateuszowi, że się odezwał niepytany, ale powtarzam to raz jeszcze, że jeden jedyny raz odstępimy od zasady. Od tej chwili każda przewina będzie dokładnie zapamiętana i dokładnie wyliczona różgami.

Byli zaskoczeni.

- Każda? - nie dowierzał Marcin. - Nawet mała?

- Każda - potwierdziła pani Roksana. - Żebyś zapamiętał, że masz się odzywać tylko wtedy, gdy ci pozwolę. Inaczej jakże nauczysz się czegoś pożytecznego?

- Ale przecież matka...

- Matka mnie zostawiła wasze wychowanie - surowo

przypomniała pani Roksana. - Ty zaś, Marcinie, już zasłużyłeś na trzy różgi.

Starszy z bliźniaków był wyraźnie zaskoczony. Pani Roksana odnosiła się do nich odpowiednio, do tej pory nigdy nie skarżyła się na ich psoty i zabawy. A teraz miała taką srogą minę.

- Nie odważycie się nas bić - powiedział zuchowato. Pani Roksana zacisnęła wargi. W jej oczach była stanowczość.

- Widać, że wcale mnie nie słuchacie, niepoprawni chłopcy - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Gdybyście słuchali, wiedzielibyście, że to nie są żarty a bardzo poważna sprawa. Macie nauczyć się szacunku. I nauczycie się, choćbyście mieli płakać całymi dniami.

Sługa czekał w pobliżu z pękiem różeg w garści. Roksana pokazała go gestem.

- On z polecenia waszej matki dopilnuję, żeby wszystko, co zostało zawinione, dokładnie zostało wymierzone. Za każde słowo wypowiedziane bez pozwolenia jeden raz. Za inne nieodpowiednie zachowanie, odpowiednia ilość razów.

Gestem wezwała sługę, a kiedy podszedł, kazała Marcinowi wyciągnąć dłoń i odebrać cios witką. Sługa robił to niechętnie, ale nie mógł odmówić pani. Marcin nie zapłakał, skrzywił się tylko i zaraz odbiegł.

Wtedy otrzymał drugi raz. Bo pani Roksana kazała go zatrzymać i zawrócić.

- Nie wolno ci odejść bez pozwolenia - powiedziała spokojnie. - Wystaw rękę.

I sama wymierzyła karę.

Sługa prawie płakał, gdy wieczorem znalazł okazję, żeby uskarżać się przed młodymi paniczami.

-To nie moja wina - mówił płaczącym głosem. - Pani tak kazała.

- Żebyś się nie ważył mnie tknąć - krzyczał Marcin. - Żebyś się nie ważył. Jak matka wróci, wszystko jej powtórzę,

a wtedy sam zobaczysz, jaka będzie niezadowolona. A i ja, kiedy tylko obejmę dwór, natychmiast ci za wszystko zapłacę. I to po wielokroć.

Sługa odszedł płacząc, ale następnego dnia znowu stawiał się z różgami, jak mu przykazała pani Roksana.

Był ranek, ciepły i wesoły.

Pani Roksana przywitała bliźniaków chmurnym spojrzeniem.

- Nie widziałam was rano - oznajmiła. - Odeszliście bez pytania o pozwolenie. Tak więcej nie będzie. Zawsze będziecie o to pytać. A żebyście zapamiętali polecenie, dostaniecie po dwie różgi.

Beczeli obaj z bezsilności, płakali za matką i płakali za ojcem.

- Wasza matka wkrótce powróci - powiedziała Roksana. - Niedługo może powróci też wasz ojciec. Ale może i nie wróci. Tedy mnie słuchajcie, bo ja tu jestem i jeśli nie chcecie narazić się na mój gniew, nie bądźcie krnąbrni.

Porządki wprowadzone przez panią Roksana mało się podobały mieszkańcom Lipowej. Pierwszy poczuł się urażony pan Jacek, rządca dworu. Od lat cieszył się zaufaniem Mikołaja i jego żony, a tymczasem teraz z dnia na dzień pani Roksana odsunęła go od jego obowiązków. Chodził po dworze, po gospodarstwie bez zajęcia i znieść nie mógł bezczynności. Nie dość, że ostatnie dwa lata były tak nieurodzajne, to jeszcze rozkazy nowej pani powodowały, że ziarno psuło się w spichrzach, służba się rozleniwiała, wszędzie wkradało się rozprężenie i nieład. Pan Jacek nadziei się nie mógł takim porządkom. Próbował bronić swojej dawnej pozycji, ale pani Roksana dała mu wyniośle znać, że nie potrzebuje jego rady ani pomocy.

- Sama o wszystkim będę rozstrzygać - zapowiedziała. - Wy możecie sobie znaleźć inne zajęcie.

Pan Jacek odszedł upokorzony, a wkrótce pani Roksana wpadła na pomysł, żeby pojechał pilnować porządków w Dębowcu. Panu Jackowi nie bardzo to dogadzało.

- Nie godziłem się do Dębowca - nachmurzył się. - Zgodził mnie pan Mikołaj do Lipowej i tutaj zamierzam zostać.
- A ja was posyłam do Dębowca - zmarszczyła brwi Roksana. - Hedwiga kazała mi zająć się chłopcami i majątkiem, tedy sama nie mogę doglądać mojej ziemi. Wy, skoro narzekacie na brak zajęcia, będziecie je mieli. Jutro rano chcę was zobaczyć w Dębowcu. Będziecie mi co niedziela składać dokładne sprawozdania.

Pan Jacek uległ dopiero po trzech dniach namysłów. Ale uległ i pojechał, jawnie okazując swoją niechęć i opór. Przez następne tygodnie dzielił czas pomiędzy Dębowiec i Jastrzę-bice, a że był człowiekiem pracowitym i bardzo dokładnym, mniej więcej raz na tydzień przyjeżdżał do Lipowej, żeby pani Roksanie zdać sprawę z prowadzenia jej majątku.

W następnym tygodniu pani Roksana oddaliła dziewczynę i dwóch pacholków, nie wiadomo z jakich powodów, a nie miała się przed kim tłumaczyć. Byli zdziwieni, próbowali pytać, ale kazała im tylko wypłacić, co się należało i odesłała, zakazując powrotu.

Pani Alena z Krasawy, której zadaniem było doglądanie wnuków, zapytała o to przy okazji, ale dowiedziała się tylko, że służba nie pracowała odpowiednio i straciła zaufanie Roksany.

- Jeśli chcecie popisać się dobrocią, możecie przygarnąć tych darmożjadów - zaproponowała wyniośle pani Alenie.

Pani z Krasawy uniosła się honorem, bo źle została przyjęta we dworze swojego syna i odjechała w gniewie.

- Musisz coś zrobić, mężu - mówiła do pana Jeny rozżalona, że chłopców widuje tylko w kościele. - Nie może tak przecież być, żebyśmy obcej osoby musiała prosić, by mi pozwoliła zobaczyć się z własnymi wnukami.

- Coś zrobię - obiecał pan Jeny.

Pojechał do dworu syna i odbył z panią Roksaną krótką rozmowę. Zdziwił się, bo wynikało z niej, że Roksana nie stawia przeszkód w widywaniu wnuków.

- Wprawdzie to mnie powierzyła ich Hedwiga i przed

nią za nich odpowiadam - mówiła - ale wy czy pani Alena możecie przyjeżdżać, kiedy tylko chcecie. Pan Jenó zdziwił się otwartością Roksany.

- Więc nie bronicie ich widywać? Bo moja żona...

- Zapewne coś niedokładnie usłyszała - powiedziała Roksana spokojnie. - W głowie mi nie powstało, żeby jej czy wam czegokolwiek bronić.

I rzeczywiście nie sprzeciwiała się, kiedy pan Jenó przyjeżdżał do Lipowej, gdy obserwował ćwiczenia chłopców, gdy sam ich prowadził, układał ręce na broni, wyjaśniał wszystko i nauczał rycerskich obyczajów oraz wojennego rzemiosła. Tylko na dalsze wyprawy nie pozwalała ich zabierać, twierdząc, że chwilowo są jeszcze za mali i Hedwiga zabroniła.

Po namyśle pan Jenó przyjął takie rozwiązanie. Nie mógł stale siedzieć w Lipowej, a wobec oporów Roksany nie mógł też stale mieć wnuków u siebie. Ponadto również pani Alena, która najchętniej miałaby wnuki przy boku, za bardzo w tej sprawie nie naciskała, bo musiała się zająć swoją córką Elżbietką i jej poświęcać coraz więcej czasu i uwagi.

Roksana rządziła tymczasem coraz pewniej, im bardziej przedłużała się nieobecność właściwej pani na Lipowej.

Rozdzielała prace, sprawdzała rzetelność ich wykonania, karała opornych i leniwych.

- Będziecie mnie słuchać wszyscy bez wyjątku - powtarzała. - Pani Hedwiga będzie mi wdzięczna, że przywróciłam jej ludzi do porządku i posłuszeństwa.

Burczeli pod nosem, ale stosowali się do poleceń, wyglądając jak najszybszego powrotu pani Hedwigi. Pracowali, bo trzeba było pracować dla niej, nie dla obcej, która wkrótce przecież stąd odejdzie. Pracowali, ale zapamiętywali wszystko, co działo się we dworze, żeby po powrocie Hedwigi móc jej opowiedzieć o wszystkim i na wszystko się poskarżyć. I pan Mikołaj, i pani Hedwiga byli sprawiedliwi, więc na pewno będą umieli docenić wierność i życzliwość dla rodu.

Roksana sprowadzała czasem do dworu jakichś obcych ludzi. Raz i dwa *zajeżdżali* tu jacyś zbrojni, którzy długo naradzali się z nią w świetlicy, a potem odjechali na północ. Nikt nie wiedział, skąd są ani o czym tak gadali z panią, ale wszyscy widzieli, że wyjeżdżali zadowoleni, a pacholkiwie zauważyli nawet jak jeden ze zbrojnych wyniósł z domu spory woreczek, najpewniej wyładowany srebrem.

- Nowa pani chce chyba przetracić majątek naszej pani Hedwigi - mówili ludzie chmurnie, ale nikt nie odważył się jej przeciwstawić.

W kilka tygodni pani Roksana całkowicie zapanowała nad Lipową.

Najgorzej ułożyły się stosunki między nową panią na Lipowej a Mariną z Potoka. Marina miała żal do siostry, że powierzyła opiekę nad majątkiem właśnie Roksanie, a nie jej, która była do' tego lepiej przygotowana. Hedwiga nie chciała obciążać siostry. Marina płakała za Jordanem, a Hedwiga wzięła na siebie obowiązek rozpytania nie tylko o swojego męża, ale i o kochanka siostry. Poza tym Marina miała przecież pod opieką dziesięcioletniego Dominika, syna pani Judyty, i wydawało się Hedwidze, że nie można na jedne niewieście barki złożyć zbyt wiele. Takie rozwiązanie - Marina zarządza swoim Potokiem, a Roksana rządzi w Lipowej -uznała za najlepsze. Nawet nie przypuszczała, że może to być powód do kłótni. Hedwiga znała wprawdzie siostrę i jej ustawiczne żale do całego świata, ale nie przypuszczała, że może się to obrócić w otwarty konflikt. Bo Marina szybko zapomniała, że odmówiła siostrze bezpośredniej pomocy.

Marina z Potoka pojawiła się w Lipowej zaraz po wyjeździe siostry i odbyła z panią Roksana rozmowę. Roksana była uprzejma, łagodnie i cierpliwie tłumaczyła swoją postawę i rozkazy Hedwigi.

- To z uszanowania dla was - wyjaśniała. - Wasza siostra nie chciała obarczać was dodatkowymi obowiązkami.

- Ale to brak szacunku - Marina była oburzona. - Czuję się pominięta!
- W żadnym wypadku - zapewniała Roksana. - Obiecałam waszej siostrze, że w każdej ważnej sprawie zapytam was o zdanie i liczę, że mi nie odmówicie swojej pomocy.
Marina poczuła się mile połechtana i na razie jej atak osłabł. Spodziewała się bowiem ze strony Roksany oporu i uporu, nie była przygotowana na jej ustępliwość, uprzejme słowa i łagodne spojrzenia.
- Oczywiście, że waszym prawem jest pilnować majątku siostry i zadbać o jej dzieci - mówiła Roksana. - Ja wam tego prawa ani myślę odbierać, ja was tylko jakby zastępuję, skoro jestem tu na miejscu. Ale wszystkie wasze polecenia zostaną dokładnie wykonane.
Marina odjeżdżała z Lipowej zadowolona i w pełni usatysfakcjonowana. Nie kryła też podziwu dla swojej młodszej siostry, której jak zwykle zazdrościła umiejętności postępowania z ludźmi. Hedwiga umiała tak wszystko urządzić, że wszyscy służyli jej chętnie i stale byli gotowi udzielić pomocy.

Dobre wieści

Lato 1397

Brzęknęła cięciwa, strzała wyleciała ze świstem i pomknęła ku celowi, którym była słomiana kukła, ubrana w kolorowe szmaty mające udawać turecki strój.

- Trafiony!

Dworzanie, stojący półkolem za zawodnikami, zaklaskali z uznaniem.

- Niezwykle celnie!

- Dokładnie w pierś!

- Innym się uczyć od was, najjaśniejsza pani! Królowa Jadwiga opuściła łuk i z uśmiechem wysłuchiwała pochwał.

- Nauczyłam się od Hedwigi - powiedziała. - To jej klaskajcie.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku pani z Lipowej, a ta zarumieniła się zawstydzona.

- Jesteście dla mnie zbyt łaskawa, najjaśniejsza pani.

- Ależ tak! - królowa roześmiała się głośno. - Podziwiajcie skromność mojej przyjaciółki.

Zawodników było sześciu. Królowa strzeliła tylko dla zabawy, na rozpoczęcie turnieju, walka toczyła się pomiędzy jej dworzanami, mierzącymi do celu oddalonego o pięćdziesiąt kroków. Nagrodą była czerwona jedwabna wstążka z wyhaftowanym monogramem monarchini.

Dworki w liczbie kilkunastu oklaskiwały zawodników po każdym strzale, choć bywało, że pociski leciały zupełnie w bok albo w ogóle nie dosięgały celu.

-To przez słońce - usprawiedliwiali się niektórzy. - Świeci prosto w oczy.

Chcieli przestawienia celu, ale inni, którym się wiodło lepiej, nie zgodzili się na zmiany.

- Na polu bitwy także trzeba czasem stanąć pod słońce - zauważył pan Zawisza, zwany Czerwonym.

Najlepszym strzelcem okazał się pan Sędziwoj z Ludomska, który wszystkie pięć strzał umieścił w słomianym Turku. Potem przyklęknął na kolano, kiedy pani Jadwiga wręczyła mu czerwoną wstążkę.

Wśród zebranych tu dworzan od początku był typowany na zwycięzcę. Gibki, piękny, wyćwiczony w rzemiośle wojennym, uczestniczył w turniejach i rycerskich zabawach w różnych krajach, skąd przywiózł liczne wieńce i trofea. Sam stanowił przedmiot westchnień wielu dam na dworze, bo był nieżonaty. Podobnie jak inni przepadał też za rozmaitymi dworskimi grami, nikt więc się nie zdziwił, że podjął taką i teraz.

Odebrawszy nagrodę, pan Sędziwoj ucałował wstążkę z uszanowaniem, ale jako zwycięzca miał prawo ofiarować ją wybranej damie. I wybrał Hedwigę z Lipowej.

- Zechcicie przyjąć tę nagrodę - poprosił, przyklękając. - Miłościwa pani nie chciała strzelać więcej, a gdyby chciała, na pewno zostałbym pokonany. Skoro zaś miłościwa pani nauczyła się od was, wy zwyciężyliście w tej zabawie.

Hedwiga zarumieniła się i niepewnie spojrzała na królową. Pani Jadwiga z uśmiechem kiwnęła głową przyzwalająco. Uważała, że smutek Hedwigi należy rozproszyć różnymi sposobami i to dla jej rozrywki zorganizowano tę zabawę.

Hedwiga przyjęła wstążkę i nieśmiało obracała ją w dłoniach. Miała na sobie szarą suknię i czarny welon na ramionach. Czerwona wstążka nie pasowała do jej stroju, więc nie wiedziała, co ma z nią zrobić.

- Zatrzymaj - powiedziała pani Jadwiga. - Naturalnie, że powinnaś zatrzymać ten znak od pana Sędziwoja.

- Ale przecież żałoba... - bąknęła Hedwiga niepewnie.

- Nie musisz zaraz nosić tej wstążki - zauważyła królowa. - A żałoba kiedyś przecież minie i wtedy na pewno będzie sposobność, żeby przypiąć wstążkę. Szczególnie, że jest z moim monogramem.

Hedwiga przyjęła więc podarunek i nie widziała spojrzeń dworzan. A spojrzenia te mówiły:

- Obnosi się z żałobą, jakby była jedyną wdową na świecie. Jakby ona tylko jedna straciła męża, a jej dzieci ojca.

Dworzanie klaskali dwornym Zachowaniem pana Sędziwoja i wymieniali między sobą spojrzenia, które znaczyły: gra się już rozpoczęła. Sędziwoj, znany z licznych podbojów miłosnych, najwyraźniej zamierzał teraz zbałamucić panią Hedwigę.

Tylko Zawisza Czerwony, który zajął w zawodach strzeleckich drugie miejsce, był nieco rozdrażniony i uważał, że pan Sędziwoj chce upokorzyć Hedwigę. Uważał ponadto, że jest lepszy od pana Sędziwoja, bo tylko zerwanie cięci-

wy przy ostatniej kolejce strzałów spowodowało, że uległ rycerzowi z Ludomska.

- Sam nie odważyłbym się zmierzyć z panią Hedwigą - powiedział, kierując słowa pod adresem Sędziwoja.

Królowa natychmiast podchwyciła okazję.

- Hedwiga jest prawdziwą mistrzynią - potwierdziła. - Czy wiecie, że mogłaby stanąć nawet przeciw mężczyznom? To zasługa jej męża, Mikołaja. Ale pewnie nie wiecie, że jej ojciec, pan Janosz z Orkeny, został upolowany z łuku przez swoją małżonkę?

- Upolowany? - zaciekały się dworki. - Co to znaczy upolowany?

- Że pewna dama, która miała na niego oko, w ten sposób przywiodła pana Janosza do ołtarza.

Dwór zbierał się do powrotu na zamek, wśród wesołych i zabawnych opowieści.

- Oczywiście, że wszystko opowiem - obiecywała królowa. - Opowiem tę piękną miłosną historię wieczorem. O ile, rzecz jasna, Hedwiga nie będzie miała nic przeciw temu.

- Naturalnie, że nie - uśmiechnęła się zagadnięta.

I po raz kolejny poczuła, jaka jest samotna, choć otoczona tyloma ludźmi. Nikt prawie nie rozumiał jej bólu, oczekiwania ani tej szarpiącej niepewności. Z obecnych nikt nie oczekiwał na powrót ukochanego, o którym nie było wiadomo, czy w ogóle żyje. Uczestniczyła w grach i w zabawach, wyjeżdżała na polowania, oglądała turnieje. Ale myślała tylko o jednym. I tylko o jedno prosiła Boga w wieczornych modlitwach.

- Pozwól mu powrócić, Boże - szeptała. - Pozwól powrócić Mikołajowi.

Nadzieje na powrót Mikołaja były nadziejami na cud. Ale kto zaprzeczy, że cuda się zdarzają? Trzeba się tylko modlić i trzeba wierzyć, mocno wierzyć. Mikołaja nie było na żadnej liście jeńców, ale przecież to nie przesądzało jeszcze o niczym.

W najgorszym wypadku Hedwiga spodziewała się dowie-

dzieć, gdzie i jak Zginął jej mąż. W najgorszym wypadku oczekiwała potwierdzenia tych wieści.

- Jeżeli to tylko możliwe, pozwól, miłosierny Boże, na powrót pana Mikołaja - modliła się królowa, kiedy obie z Hedwigą kłęczały wieczorem w wawelskiej sypialni.

Poza Hedwigą chyba już tylko monarchini pamiętała o zeszłorocznej wyprawie. Dwór zajmował się swoimi sprawami i niewiele pozostało z zimowego smutku i trwogi, jaka tu zapanowała po nadejściu pierwszych wieści o klęsce pod Nicopolis. Teraz było lato, świeciło słońce, po polach

i łąkach radośnie śpiewały ptaki, w zamkowych komnatach brzmiała muzyka, urządzano tańce i pląsy. Gdy czasem pojawiał się ktoś, kto uczestniczył w krucjacie, już go nie słuchano tak uważnie i pilnie. Już spowszedniały opowieści o bohaterstwie, walce i poświęceniu. Dwór zajmował się tymi relacjami mniej niż zapowiedziami nowych zaślubin, turniejów i zabaw. Życie musiało toczyć się dalej.

Niewieścia stałość Hedwigi, z niezmaconą pewnością wyglądającej powrotu swojego Mikołaja, wzbudzała w wielu podziw

i uznanie, ale u innych wywoływała tylko uśmiešky politowania. Powszechnie uważano, że im więcej upływa czasu, tym mniej pozostaje nadziei na powrót Mikołaja. I tym bardziej Hedwiga była narażona na kąśliwe uwagi, a potem drwiny.

- Niewiasty nie są aż tak wierne - dowodzili mężczyźni. - Natura ich nie wytrzyma długiej próby.

- Powinna się na coś zdecydować - mówiły niewiasty. - Gdyby od razu założyła żałobę, kiedy nadeszły pierwsze wieści, dziś byłoby już pół roku, a za pół mogłaby myśleć o powtórnym wyjściu za mąż.

Przyszłość Hedwigi omawiano z wielkim zajęciem i na jakiś czas stało się to jednym z głównych tematów plotek na dworze.

- Ho! ho! - mówili ci, którzy wraz z królewską parą bywali w Lipowej. - Jest się o co starać. Majątek wielki i za dbany, a pani Hedwiga piękna.

- I ma dwóch udanych chłopaczków - dodawali inni.

Dla jednych stanowiło to przeszkodę, bo przecież chłopcy dorosną i trzeba będzie majątek podzielić, dla innych zachętę.

- Podchowani już synkowie, rychło korzyść z nich będzie. Hedwiga, gdy wreszcie dotarły do niej te gadki, obruszyła się na samo wspomnienie takiej możliwości.

- Nadal jestem zamężna - powiedziała mocno oburzona.

Było to w komnacie królowej, w obecności jej osobistego doradcy i spowiednika, ojca Henryka Bitterfelda z Brzegu. Ten okazał zadowolenie z postawy dworki.

- Słusznie się oburzacie - pochwalił. - Bo jeśli nie nadejdą żadne wieści? Jeśli nie nadejdą ani w tym roku, ani w następnym, ani nigdy? Zostaniecie wdową czy zamężną? Wedle kościelnego prawa...

- Wszystko jedno, ile trzeba będzie czekać - odpowiedziała Hedwiga. - Zawsze będę czekała na mojego męża.

Wracali hałaśliwą gromadą ku zamkowi, gdy wybiegł im naprzeciw goniec, prosząc o pilne posłuchanie. Pani Jadwiga zatrzymała się, schylając głowę ku pochylonemu w kornej postawie żołnierzowi, a jej twarz roześmiała się już po pierwszych jego słowach.

- Wracają! - zawołała ku trzymającym się w pewnej odległości dworzanom. - Sułtan turecki zwolnił jeńców i lada chwila wracają do domu!

Hedwiga zamarła z rękami zaciśniętymi na kołnierzu sukni.

- Słyszysz, Hedwigo? - śmiała się królowa, idąc w jej kierunku. - Wracają. Wracają!

Pani z Lipowej nie mogła wypowiedzieć słowa. Wiadomość, choć tak wyczekiwana i tak upragniona, była przecież niespodziewana, krew uderzyła jej do głowy, powodując szum w uszach.

- Wracają! - cieszyła się królowa. - Jak dobrze, że cię zatrzymałam na dworze. Gdybyś pojechała do Lipowej, nie dowiedziałabyś się tak szybko tej dobrej nowiny.

Ucisk w gardle Hedwigi ustąpił i poczuła się nagle bardzo zmęczona.

- Wiedziałam - powiedziała tylko. - Wiedziałam, że Mikołaj wróci.

Królowa nakazała powrót z Niepołomic na Wawel, ale nikt nie sarknął na zmianę planów, choć przyjechali tu dopiero wczoraj.

Po powrocie okazało się jednak, że niewiele więcej wiadomo. Ludzie, którzy przyjechali z Węgier i czekali na panią Jadwigę, zostali od razu przyjęci. Wieści, jakie przywieźli, były radosne, ale i daleko niepełne. Przyjechało ich dwóch, wymizerowanych, przygaszonych i smutnych. Opowiadali o bitwie, opowiadali o niewoli. O ciężkim marszu do Bursy, o łańcuchach, jakie musieli tam nosić na nogach, o niepewności losu, głodzie i poniewierek Potwierdzili śmierć wielu spośród tych, o których było wiadomo, że uczestniczyli w bitwie.

Przywieźli adresowany do pani Jadwigi list króla węgierskiego. Zygmunt Luksemburski, odpowiadając na prośbę królowej polskiej, pisał, że wieści co do losów Mikołaja z Lipowej nie są pewne. Wielu pamiętało go z pola tuż przed bitwą. Podobno widziano go później, walczącego w małym oddziale z przewagą nieprzyjaciół, ale nikt nie wiedział, jak się zakończyło to zmaganie. Jedni powiadali, jakoby nikt nie ocalał, a polegli wszyscy jak jeden mąż. Inni, że udało się im umknąć na czas. Król podawał przy tym przykład pana Świętosława Łady, który uchronił się Bożą opieką przed strzałami Turków i bezpiecznie przepłynął Dunaj.

Hedwiga zaciskała usta, miała łzy w oczach, ale nie chciała uwierzyć w najgorsze.

Temat wyprawy krzyżowej ponownie wrócił i jakiś czas był żywo roztrząsany na dworze. Choć nadal nie wiadano, jak wielu rycerzy ocalało, każdy spodziewał się, że powróci właśnie ten jeden, wyczekiwany, wytęskniony. Listy jeńców uznawano powszechnie za niepełne i tylko dziwowano się ogromowi okupu, jaki sułtan zażyczył sobie za zwolnienie po-

konanych rycerzy chrześcijańskich. Dla wielu był to znak jego nieobycia i barbarzyństwa, bo choć sami brali jeńców w bitwach, których potem wypuszczano za okupem, panowie nie uważali, żeby i sułtan miał do tego prawo.

Niewierny nie mógł przecież zachowywać się jak prawowierni rycerze.

Wiadomości o rychłym powrocie jeńców długo grzały serca nadzieją. Zapanował śmiech i radość, w kościołach odprawiano dziękczynne modły i nabożeństwa. Po smutku zimy i wiosny, egzekwiach, mszach żałobnych, płaczu i żalu, wybuchło nagle wesele i radość.

Wyprawa krzyżowa, choć powszechnie uważano ją za raczej nieudaną, spełniła przecież swoje zadanie. Panowie chrześcijańscy zadali tak wielkie straty Saracenom, że ci nie ośmielili się swoimi zbrojnymi zastępami pójść dalej i tylko oczekiwano, aż cofną się, a potem zupełnie odstąpią. Wydawało się bowiem, że dzięki wielkiej daninie chrześcijańskiej szlacheckiej krwi całkowicie i raz na zawsze została złamana turecka potęga.

Okazało się, że czekanie na bliski już powrót jeńców jest teraz dla Hedwigi cięższe nawet niż przed kilkoma tygodniami.

- Coraz trudniej mi znieść to oczekiwanie, najjaśniejsza pani - poskarżyła się królowej. - Czy zezwolicie wrócić do Lipowej? Tam będę wypatrywać mojego męża. Albo wieści o nim.

- Dobrze - zgodziła się natychmiast pani Jadwiga. - Będzie mi ciebie brak, ale oczywiście wracaj, jeśli tak postanowiłaś. A ja ci obiecuję, że nie spocznię w poszukiwaniach i natychmiast zawiadomię o najmniejszych nawet wieściach, jeśli takie dotrą na Wawel.

Chrześcijańscy jeńcy stali już gotowi do odejścia, gdy w małej grupie jeźdźców nadjechał sułtan Bajazyt. Zatrzymał się przed nimi, obrzucił kolejno uważnym spojrzeniem.

Panowie prosili o to posłuchanie, opierał się, ale w końcu zgodził się wysłuchać. Prosił o to w ich imieniu Misani al-Rifad, którego hrabiowie francuscy musieli długo przekonywać.

- Czegóż oni chcą? - pytał sułtan niezadowolony.

- Pokłonić się tobie, władco świata, przed odejściem.

Wreszcie sułtan dał się nakłonić na spotkanie i przyjechał, kiedy stali gotowi już do drogi. Przygotowali się do niej, kazali przystrzyć i ułożyć włosy, oczyścić ubrania. Choć jednak bardzo się starali, nie mogli wyglądać jak dawniej. Drogocenne tkaniny, w jakich wyruszyli na wyprawę, dawno im odebrano i rozdano żołnierzom sułtana. Ubrani więc byli na poły po swojemu, a na poły po turecku i cierpieli z tego powodu. Przed wyjściem z wieży domagali się lepszych ubrań i Misani al-Rifad wydał na to zgodę. Przyniesiono stos ubrań i mogli wybierać dowolnie.

Tylko broni nie otrzymali na powrót, choć na to naciskali najbardziej.

- Jakże mamy chodzić bez broni? - zapytał hrabia d'Eu. - Nie godzi się to ludziom naszego stanu.

Misani al-Rifad zmarszczył brwi.

- Tutaj nie jesteście hrabiami - uciał sułtan. - Tutaj jesteście więźniami, a więźniowie nie mogą nosić broni.

- Bez broni u boku okażemy brak szacunku dla sułtana - prosili.

Ale Misani nie odstąpił od swojego rozkazu, choć wielokrotnie jeszcze zwracali się do niego z podobnymi żadaniami.

Stali więc teraz w tureckich szatach, bez broni i czekali na przybycie sułtana. A kiedy nadjechał, pokłonili się przed nim. Ale pokłonili się, ledwo schylając głowy, niczym równi mu władcy. Hrabia d'Eu wystąpił krok do przodu.

- Będiesz tłumaczyć - polecił Misaniemu. Lekarz zgodził się bez sprzeciwu.

Hrabia d'Eu ponownie skłonił się lekko przed sułtanem.

- Pomiędzy ludźmi szlachetnego pochodzenia powinny panować szlachetne zwyczaje - zaczął. - Jest w moim kraju zwyczaj, że zwyciężony składa swojemu zwycięzcy przysięgę na okoliczność swojej przegranej. W takim wypadku jest to przysięga, że w danej kampanii nie będzie zbrojnie wy-

stepował przeciw temu, który odniósł nad nim zwycięstwo. Chcąc zatem dać temu pięknemu zwyczajowi zadość uradziliśmy pomiędzy najdostojniejszymi...

Misani tłumaczył na bieżąco, zdanie po zdaniu, a sułtan słuchał uważnie, choć ze wzrastającą irytacją. Al-Rifad nie skończył przekładu, hrabia d'Eu nie skończył swojej przemowy.

Bajazyt przerwał szorstko.

- Dość! - syknął z niezadowolenia. - Przekaż im, synu mojej siostry, że nie jestem ciekaw, co mają jeszcze do powiedzenia.

Misani przetłumaczył, wywołując wśród zebranych poruszenie.

- Tylko się wam wydaje, że jesteście równi mnie i mojemu rodowi - kazał powtórzyć sułtan. - I nie doceniliście mojej łaskawości, której zawdzięczacie, że kazałem was traktować lepiej niż zwykłych jeńców. Gdyby nie moja łaska, stalibyście tutaj nadzy i bosy, bo za nic mam wasze dostojęstwo.

Odważyli się wyrazić szemraniem swoje zdumienie, a wtedy żołnierze sułtana otoczyli ich ciasnym kręgiem, gotowi ukarać zuchwalstwo.

- Powiedz im - polecił sułtan. - Powiedz, że nie chcę żadnej przysięgi. Powiedz, że nie chcę od nich obietnic. Nie wierzę w ich słowa, bo nie wierzę w ich honor. Obiecali dopełnić warunków rozejmu pod Oriachowem, a złamali słowo dla własnej wygody. Tedy nie zasługują na moje zaufanie. I nie zasługują na to, żebym ich wysłuchiwał. Poczzerwienieli, słysząc takie słowa, które były dla nich zniewagą i poniżeniem. Wpatrzeni w podróż przed nimi, na końcu której były ich ziemie i zamki, zapomnieli już prawie o czasie uwięzienia i wydawało się im, że znowu są wolnymi ludźmi.

- Powiedz im, żeby lepiej milczeli - mówił dalej sułtan pochmurnie. - Dość tych głupich chrześcijańskich obietnic. Niech niczego nie obiecują, bo lekce sobie ważę ich przysięgi i obietnice. I powiedz, że jeśli starczy im odwagi, niech

przyjdą znowu na moje ziemie ze swoimi wojskami. Powiedz, żeby zgromadzili tylu ludzi, ile zechcą, żeby przyszli, jeśli znowu chcą zostać pokonani. Ja tu będę zawsze i zawsze stanę przeciw nim, a dzięki pomocy Allaha pokonam ich w każdym miejscu i czasie.

I zanim Misani skończył tłumaczenie, sułtan wzgardziwszy ich uwagą, odjechał. A oni stali sponiewierani i oburzeni.

- To nie jest rycerskie zachowanie - powiedział ktoś. -Czegoś więcej spodziewaliśmy się po tak wielkim władcy. Byli rozdrażnieni, bo z rozkazu sułtana nie mogli odjechać już tego dnia. Nie odjechali, bo musieli zostać i oglądać wyjazd Bajazyta na polowanie. A wyruszył na łowy wielki orszak myśliwych i sług. Samych sokolników było sześć tysięcy. I sześć tysięcy łowczych psów, z obrożami zdobionymi drogocennymi kamieniami.

Dostojni jeńcy zaciskali wargi, patrząc na ten pokaz i gorzko łykając poniżenie.

- Chce nas upokorzyć - mówili. - Rozmyślnie nas zatrzymał, byśmy zobaczyli to bogactwo.

- Psy ubrali z naszych kosztowności! To na to przeznaczył okup!

Mogli wyruszyć dopiero następnego dnia.

Wtedy też mogli opuścić miejsce uwięzienia pozostali jeńcy. Tym nie dano koni. Uformowano ich tylko w kolumnę i pod strażą uzbrojonych ludzi sułtana odprowadzono do miejsca, skąd mogli skierować się ku swoim ziemiom.

I oni byli ubrani w tureckie stroje, a chyba tylko po włosach, po wąsach i po niebieskich oczach poznać można było, że nie są tutejsi.

Ludzie stojący po obu stronach drogi, jaką szli, zatrzymywali się, rzucając ku chrześcijanom nieprzyjazne okrzyki. Nie chcieli ich karmić po drodze, odmawiali nawet wody i dawni jeńcy ciężką pracą w posiadłościach, w wiejskich obejściach, a potem w portach musieli zarabiać na jedło i napitek. Dla większości droga do domu trwać miała całe miesiące, a bywało, że i lata.

Powrót Jordana

Jesień 1397

Hedwiga nie wyjechała od razu. Zwlekała, licząc, że po pierwszych wiadomościach nadejdą inne, bardziej dokładne. Czas jednak płynął i nie było żadnych nowych wieści. Nadeszło jedynie potwierdzenie, że sułtan zgodził się przyjąć część okupu i poczekać na resztę, a ludzi pojmanych wypuścić. Dowódcy wyprawy, na których leżał obowiązek dostarczenia pozostałej części okupu, nie powrócili jeszcze do swoich krajów, podejmując podróż po miastach i dworach w poszukiwaniu pieniędzy.

- Natychmiast cię zawiadomię - obiecała królowa Jadwiga. - Możesz jechać i przygotować się na powrót męża.

- Więc i wy wierzycie w powrót Mikołaja, miłościwa pani?

Królowa Jadwiga nie udzieliła bezpośredniej odpowiedzi.

- Bóg jest miłosierny - westchnęła tylko. - Nie jest chyba możliwe, żeby za nic miał tyle próśb i modlitw.

W sierpniu Hedwiga wróciła do Doliny. W Lipowej czekało ją wiele pracy nad przygotowaniem dworu na powrót Mikołaja. Jechała z wrażeniem, że wiele rzeczy zostało przez nią zaniedbanych i spodziewała się uładzić je wszystkie, żeby Mikołaj był w pełni zadowolony. Przejęta zaś tym, że mąż może wrócić szybciej, niż się ona spodziewa i pojechać od razu do domu, pchnęła przodem posłańca z wiadomością dla Roksany, żeby od razu zaczęła przygotowania na powitanie tak wytęsknionego gościa.

Odebrawszy wiadomość o rychłym powrocie Hedwigi i możliwym zjawieniu się Mikołaja, pani Roksana natychmiast udała się do Potoka, gdzie została przyjęta z pewnym zdziwieniem. Marina nie mogła uwierzyć w jej dobrą wolę i w to, że pani Roksana przyjechała się pogodzić.

- Wybaczcie - powiedziała Roksana. - Bardzo źle postępowałam wobec was. Przecież wy jesteście rodzoną siostrą mojej Hedwigi, mojej przyjaciółki, powiernicy i można by rzec opiekunki. Wobec jej nieszczęścia obie, wy, jej siostra, i ja, jej przyjaciółka, powinnyśmy się wspierać i pomagać, jak tylko umiemy najlepiej. Obie powinnyśmy dbać jak najbardziej o jej synów. To nasz obowiązek.

- Prawda - przyznała Marina, zadziwiona pokorą Roksany.

- Więc się nie gniewajmy między sobą, a razem weźmy się do pomocy naszej kochanej Hedwidze.

- Prawda - zgodziła się natychmiast Marina. - Hedwiga mówiła, że jesteście dobrą kobietą i kochaną przyjaciółką, a ja nie chciałam tego zobaczyć.

- Obie nie jesteśmy bez winy - łagodziała Roksana. - Zapomnijmy, co było złego między nami.

- Zapomnijmy.

- Możecie przyjeżdżać, kiedy tylko zechcecie - zapewniła Roksana. - Sama albo z Dominikiem, kiedy tylko zechcecie. W jakimś sensie jesteśmy przecież rodziną.

Marina dziękowała uradowana i uściskała nową przyjaciółkę.

- Zawsze chciałam tylko zgody - wyznała.

Pani Roksana złagodziła także swoje rozkazy zarówno do chłopców, jak i do służby.

- Czegoś się przecież nauczyliście pod moją ręką - powiedziała tylko w ramach wyjaśnienia.

Kiedy więc później Hedwiga wypytywała wszystkich, jak im było podczas jej nieobecności, wszyscy mówili, że pani Roksana była bardzo surowa, ale jakiś czas temu złagodniała.

Marina borykała się z codziennymi kłopotami z wielkim trudem. Nie miała czasu zajmować się gospodarstwem, bo i dawniej nie przywiązywała do niego zbyt wielkiej wagi. Robiła wszystko, jak umiała najlepiej, ale widać nie umiała zbyt wiele, bo mimo upływu lat nadal nie wszystko udawało się jej tak jak jej ojcu, który niegdyś był panem na Potoku.

Ale najbardziej dokuczał Marinie brak Jordana. Pojechał na wyprawę krzyżową i przepadł, jak Mikołaj i tylu pięknych, młodych, wspaniałych rycerzy. Marina płakała, tęskniła po nocach, budziła się czasem z krzykiem, z bólu za kochankiem, który może nigdy już nie powróci.

Kiedy więc któregoś dnia przyjechał posłaniec z Krakowa, Marina wprost oszalała ze szczęścia. Posłaniec przywiózł krótki list od jej siostry. Hedwiga pisała, że starania królewskie u władcy węgierskiego powiodły się. Wiadomo już, jacy rycerze trafili do niewoli sułtana Bajazyta, a na liście znajduje się też nazwisko pana Jordana.

Niedługo jeńcy, za których zbierany jest okup, zostaną zwolnieni i będą mogli powrócić.

Marina oszalała ze szczęścia. Wybiegła z dworu na podwórze, odszukała Dominika.

- Ojciec! - krzyczała. - Twój ojciec się odnalazł i lada chwila tu zjedzie!

Dziesięcioletni Dominik oderwał się od swojej zabawy. Jego oczy były szeroko otwarte i patrzyły niedowierzająco.

- Żyje? - zapytał niepewnie. - To nie zginął w tej wielkiej bitwie?

- Żyje! - wykrzykiwała Marina. - Żyje! Posłaniec przywiózł właśnie list od twojej ciotki. Jest w grupie jeńców, których sułtan zwolni za okupem. Może nawet już zwolnił. Słyszysz, wkrótce do nas powróci!

Zastanowił ją wyraz twarzy syna. Dominik był poważny i skupiony.

- Co ty? - zapytała zdziwiona. - Nie cieszysz się?

- Bardzo się cieszę, matko - odpowiedział. - Ale...

- Jakże ale? - zdziwiła się. - Żyje i niedługo powróci.

- A wuj Mikołaj? - zapytał cicho Dominik. - Czy on też się odnalazł? Czy Marcin z Mateuszem też mogą się cieszyć? Marina zatrzymała się nagle w swojej radości. Rozwinęła pogięty w garści list siostry i jeszcze raz przeczytała go uważnie.

- Nie - odpowiedziała. - Hedwiga nic nie pisze o swoim mężu... Chyba jeszcze nic o nim nie wie...

Dominik potarł dłonią czoło.

- Czy to znaczy, że nie ma wuja Mikołaja na tym... na tym spisie jeńców? - zapytał niepewnie. - A czy to znaczy, że on... że on...

- Milcz! - syknęła Marina z przerażeniem. - Nie wolno tak mówić. To nic nie znaczy, że nie ma go na liście. To przecież nie jest jedna tylko lista. Bardzo wielu panów pojechało na wyprawę...

- Ale prawie wszyscy zginęli - przypomniał cicho Dominik. - Jeśli go nie ma wśród jeńców, to pewnie., to chyba... Marina wyprostowała się i łzy rzuciły się jej do oczu. Nie ma Mikołaja. Więc Hedwiga nic nie wie o swoim mężu. I pewnie bardzo cierpi z tego powodu. Jak bardzo musi cierpieć!

- Jutro jedziemy do Lipowej - postanowiła. - Trzeba pocieszyć chłopców. Kiedy usłyszą o powrocie pana Jordana, może pomyślą, że i ich ojciec...

Dominik zamachał rękami nerwowo.

- Nie pojedę - oświadczył.

- Nie pojedziesz? - zdziwiła się Marina. - Jak to nie pojedziesz? Nie chcesz podzielić się radością ze swoimi ciotecznymi braćmi?

- To dla nich wcale nie będzie radosna nowina - powiedział Dominik bardzo poważnie. - Oni będą się martwić, że na tej liście nie ma ich ojca. Będą mi zazdrościć i będą o to źli. Bo to wcale nie jest dla nich dobra nowina. Może jeszcze Marcin uwierzy, że wuj Mikołaj powróci. Ale Mateusz na pewno nie uwierzy. Mateusz będzie płakał i będzie żałował. A ja bardzo nie lubię, jak on płacze. Nie lubię i nie pojedę.

Marina pojechała do Lipowej zaraz następnego dnia. Przyjechała i z przykrością przekonała się, że Dominik miał rację. Wiadomość, jaką przyniosła, mówiła o panu Jordanie, a nie o panu Mikołaju, czego się tutaj spodziewano. Wszyscy, którzy o tym usłyszeli, odpowiedzieli ponurymi minami.

- Przepadł nasz pan z kretesem! - powtarzano.

- Biedna pani.

- Daj jej Bóg pocieszenie.

Młodszy z bliźniaków płakał w kącie, Marcin chodził nachmurzony.

Pani Roksana miała poważną minę.

- Cieszę się, że znalazł się wasz... wasz krewniak - powiedziała, wymyśliwszy wreszcie określenie dla kochanka sąsiadki. - Razem z wami się cieszę. Ale się boję, że wasz syn może mieć rację. Skoro pana Mikołaja nie ma na tej liście... Skoro na prośbę króla sporządzono ten spis, nie mogło na nim zabraknąć pana Mikołaja...

- Biedna Hedwiga! - miała ochotę rozplakać się Marina, niezadowolona, że przyjechała tutaj, gdzie chciała się z innymi radować, a stała się przyczyną smutku.

- Może jeszcze nie wszystko stracone - pocieszała Roksana. - Podobno wróciło wielu, którzy na żadnej liście nie byli. Zapewne i tak będzie w przypadku pana Mikołaja.

- Prawda - podchwyciła Marina. - Prawda, że tak bywało. Żeby tak i tym razem. Oby Bóg dał siostrze mojej pocieszenie.

- Na pewno tak będzie - potwierdziła Roksana z przekonaniem. - Czy będziecie pisać do swojej siostry?

- Tak. Zaraz jutro pošlę kogoś do Krakowa.

- Tedy powinniśmy jej dobrze poradzić. Moim zdaniem trzeba Hedwidze radzić, żeby jeszcze została na dworze. Żeby jeszcze nie wracała. Tam najprędzej będzie mogła się dowiedzieć o męża. Może to niedobry pomysł, bo ona pewnie tęskni do dzieci...

Marina natychmiast przystała na to.

- Przeciwnie! - zawołała. - To dobra myśl. Na królew-

skim dworze najprędzej dowie się o losie Mikołaja. Nie musi się przecież spieszyć do domu, nie płaczą małe dzieci. Może się trochę martwić, jak sobie radzą bliźniaki, ale napiszę jej, że mają się jak najlepiej. Pani Roksana uśmiechnęła się.

- Napiszcie do niej tak, żeby ją pocieszyć i uspokoić. To nie są małe dzieci. A o ich interesy i interes całego majątku, przy waszej pomocy i radzie, zadbam jak najlepiej. Hedwiga zupełnie nie musi się o nic obawiać.

- Słusznie - przyznała Marina. - Wy tu najlepiej zarządzicie.

Trzy tygodnie później pana Jordana witano w Potoku niczym bohatera. Nadszedł samotnie, wychudzony, z twarzą ściągniętą i obwisłymi wąsami, a już wołano na dziedzińcu i wieść błyskawicznie rozeszła się po dworze.

- Pan Jordan! Pan Jordan!

- Żywy! Żywy! Chwała niech będzie Bogu!

- Wychudzony trochę, ale nadal piękny!

Był wieczór i Marina siedziała w świetlicy, gdy wbiegła służebna, z pośpiechu potykając się o próg.

- Pani! Pani! Wrócił! Pan Jordan wrócił! Idźcie szybko! Wrócił! Pan Jordan wrócił z krucjaty!

Marina zerwała się z miejsca, wołała o lustro, krzyczała na służbę, żeby poprawiły na niej szaty. Pan Jordan przyjechał bez zapowiedzi, ona zaś nieprzygotowana była na to spotkanie. Czekala na niego od miesiący, a teraz, kiedy się wreszcie pojawił, stała bez sukni, w koszuli tylko niby jaka sługa.

On zaś wszedł do izby, zanim podano pani lustro i zanim zdążyła przybrać się odświętnie.

Wszedł i stanął w progu. Był chudy, na twarzy rysowały się wyraźnie dwie bruzdy od tej chudości, w oczach palił się ogień, jakby miał gorączkę. Ale był taki piękny, choć tylko w zwykłym podróżnym stroju.

Marina nie podbiegła, nie skoczyła mu na szyję, schyliła

tylko głowę, przestraszona nagle, że jest stara, że wygląda niedobrze, nieodpowiednio.

Podszedł, uklonił się nisko, całując rąbek koszulki.

- Bóg mi pozwolił powrócić - powiedział cicho. Schyliła się, obejmując ramionami jego głowę.

- Wiedziałaś - szepnęła. - Wiedziałaś, że tak się stanie. Nie mogło być inaczej.

Kiedy Hedwiga wróciła z Krakowa, najbardziej zaskoczyła ją wyraźna zmiana w zachowaniu chłopców. Byli jakby spokojniejsi, bardziej uprzejmi, mniej hałaśliwi. A i służba chodziła cicho i sprawnie, choć Hedwiga, przejęta swoim bólem nie zwracała uwagi na szczegóły.

- Trudno mi było upilnować porządku - skarżyła się Roksana. - Nie mam tyle doświadczenia co ty i musiałam sięgnąć do surowych metod, żeby jakoś utrzymać to w ryzach. Chyba jednak nie będziesz mi miała nic do wyrzucenia.

Hedwiga nie miała pretensji, zajęta głównie swoimi myślami. Była tylko niezadowolona z zakazu, jaki Roksana wydała w związku z chęcią bliźniaków widywania ich babki Aleny.

- Jak mogłaś im tego zabronić?

- Nie zabroniłam - wyjaśniała Roksana spokojnie. - Chodziło mi tylko o utrzymanie porządku. Chłopcy rozbrykali się nadto i musiałam to ich zachowanie przykrócić. Są chyba jeszcze za mali, żeby jeździć samodzielnie daleko od domu. A pani Alena tak właśnie wyobrażała sobie te sprawy.

Było to kłamstwo, które potem, gdy się wydało, Roksana próbowała obrócić w nieporozumienie. Zresztą krótko przed powrotem Hedwigi sama zawiozła bliźniaki do Krasawy, choć nie weszła do dworu, a ograniczyła się tylko do ich odprowadzenia.

Chłopcy wyszli naprzeciw matki, wybiegli na pierwszą wieść, że wraca, ale szybko spostrzegli, że jest bez ojca. Rozplakali się obaj, a Mateusz pobiegł do stodoły, gdzie go Hedwiga odnalazła dopiero do dłuższej - chwili.

- Więc jesteśmy sierotami? - zapytał Marcin.

- Nie - zaprzeczyła. - Nikt nie potwierdził, że wasz ojciec zginął.

- Ale nie wrócił z wami, choć są już wszyscy. Zatem nie wróci może wcale. A ja... ja będę panem na Lipowej.

Hedwiga spojrzała na syna badawczo. Marcinowi było spieszno do władzy nad majątkiem, choć nie miał jeszcze dziesięciu lat. I tak mało myślał o ojcu. Tak mało.

- Kiedyś zostaniesz - odpowiedziała nieuważnie. - Ale nie czas jeszcze o tym myśleć, synu. Teraz trzeba myśleć o ojcu i prosić Boga, żeby mu wskazał drogę do domu.

Mateusz w stodole płakał oparty o belkę i uciekał przed ręką matki.

- Cóż to? - zapytała. - Nawet przywitać się nie chcesz ze mną? Podbiegł i zarzucił jej ręce na szyję.

- Żal mi, że nie przywieźliście ojca - powiedział, szlochając. Hedwiga zmarszczyła brwi.

- Nie pojechałam, żeby go przywieźć - wyjaśniła. - Bo przywieźć mogłabym tylko martwego. Pojechałam, żeby dowiedzieć się, gdzie jest. Jeszcze tego nie wiem, ale mam nadzieję, że wkrótce sam przyjedzie.

Siódmego dnia pan Jordan z Wojcieszowa powiedział do Mariny:

- Trzeba nam rozmówić się poważnie.

Serce w niej zmartwiało, bo z poważnego tonu, jakim to wyrzekł, od razu wywnioskowała, że nie będą to dobre nowiny.

- Tak bardzo czekałam - westchnęła. - Setki razy widziałam cię we śnie i setki razy modliłam się o twoje zdrowie i twój powrót.

Pochylił się i pocałował ją.

- Strasznie się bałam - mówiła szybko. - Najpierw, że zginiesz. A potem, kiedy wiedziałam, że ocalałeś, bałam się, że nie zechcesz do mnie wrócić. Że zobaczysz, jaka jestem już stara, jaka brzydka.

- Nie jesteś brzydka - zapewnił. - Wcale nie jesteś brzydka.
- Bałam się, że nie będziesz chciał do mnie wrócić. Że pojedziesz do swojego Wojcieszowa i...
Chrząknął, a w niej na powrót zamarło serce.
- O tym właśnie chciałem z tobą mówić - zaczął nieśmiało.
- O Wojcieszowie? - upewniła się. - I o Hannie?
- Byłem w Wojcieszowie - przyznał się. - Byłem, zanim tutaj przyjechałem.
Marinie rozczarowanie i złość ścisnęły serce.
- Byłeś w Wojcieszowie? - powtórzyła przez zaciśnięte zęby. - Byłeś, zanim przyjechałeś tutaj?
- Tak.
- Po co tam pojechałeś? - natarła na niego. - Przecież obiecywałeś...
Chwycił jej obie ręce i nie puścił, choć się wrywała i odwracała głowę.
- Wysłuchaj mnie - zażądał. - Wysłuchaj, bo chcę to wszystko jakoś wyjaśnić.
- Jesteś zdrajcą i oszustem - krzyczała.
- Wcale nie - próbował się bronić.
- Miałeś tam nie jeździć.
- Jak nie jeździć? Kiedy to moja ojcowizna.
- I jeszcze powiesz, że to twoja żona?
- I żona - przyznał spokojnie. - Poślubiona przed ołtarzem. Niewiasta, z którą żyłem bez grzechu. Inaczej niż z tobą.
- Sam chciałeś. Sam wybrałeś to życie w grzechu.
- Ale chciałem to naprawić. Po to przecież pojechałem na krucjatę, żeby odkupić winy. Nasze winy. I moje i twoje.
Bo nie mogę być w pełni spokojny, gdy oboje pozostajemy w grzechu.
- Po co tam pojechałeś? - szarpała się. - Po co pojechałeś, skoro obiecałeś, że nie pojedziesz. Dość było krucjaty,
Żeby odkupić winy. Po co pojechałeś do Wojcieszowa?
- Pojechałem. Byłem na krucjacie i tylko bożej opatrzności zawdzięczam, że udało mi się wrócić. Pojechałem, żeby

o tym powiedzieć żonie. Żeby wiedziała, że żyję. I żeby zobaczyły to moje dzieci.

- I tutaj jest twoje dziecko - upierała się Marina. - Jemu też obiecałeś, że zostaniesz.

- Może i zostanę - westchnął Jordan.

Marina była zła, że nie przyjechał od razu do niej. Jak śmiał tak postąpić? Jak śmiał skazać ją na tak długie czekanie?

Czy nie wiedział, że ona tutaj szaleje z niepokoju?

Uspokoiła się, gdy ją przytulił i pocałował.

A potem radował się, bo Jordan został w Potoku. Podobnie jak poprzedniego lata pokazywał się u boku pani

Mariny, a ta pęczniała z dumy, że towarzyszy jej mężczyzna tak piękny i strojny i za nic miała ludzkie języki.

Bywało, że odjeżdżał niespodziewanie, by po jakimś czasie powrócić. Kiedy wracał, długo kręcił i zwodził, ale zawsze się przyznawał, gdzie bawił. A bawił w swoim Wojcieszowie, u boku żony.

- I ona potrzebuje pocieszenia - burczał pytany o cel tych wyjazdów.

- Kiedy przestaniesz tam jeździć? - naciskała rozeźlona.

- Kiedy postanowię, co dalej.

- A kiedy postanowisz?

Po powrocie Hedwigi z Krakowa jej siostra Marina odwiedziła ją zaraz w majątku. Rozpytywała o wszystko, opowiadała o wszystkim. Marina nie byłaby oczywiście Mariną, gdyby najwięcej uwagi nie poświęciła swoim sprawom, swoim kłopotom i swoim myślom.

- Tak się ucieszyłam, kiedy mój Jordan powrócił zdrowy - mówiła. - Tak czekałam i tak się bałam, że przepadł zupełnie. A wtedy, co ja bym sama zrobiła? Ty jesteś młoda i nadal taka piękna, ale ja mam już przecież swoje lata i kto by mnie zechciał?

Hedwiga nie karciała siostry, bo miała szczere serce, i cieszyła się jej radością.

- Ludzie trochę gadają - przyznawała się Marina. - Ale

kto by się tam przejmował ludzkim gadaniem. Był na wyprawie krzyżowej? Walczył za wiarę, cierpiał niewolę i trud? Teraz się mu należy nagroda. Nie tylko w niebie, ale także i na ziemi. Obiecałam sobie, przysięgałam, że jeśli wróci, będzie miał wszystko, co najlepsze...

Czasami mitygowała się i wypytywała siostrę o to, co widziała na dworze.

Hedwiga opowiadała niewiele, krótkimi zdaniami, bo wszystko, co miała do powiedzenia, kręciło się wokół jej poszukiwań Mikołaja.

- Poruszyłam wszystkich i wszędzie. Królowie napisali listy, pytali i rozpytywali Ci, którym udało się powrócić, wszyscy bez wyjątku dobrze mówili o Mikołaju O jego odwadze, roztropności. Ale nikt nie powiedział mi, jak zginął, jeśli zginął Nikt tego nie widział, co dla mnie jest znakiem, że może jeszcze żyje.

- Pewnie tak - zgodziła się Marina. - Ale co zrobisz, jeśli Bóg chciał inaczej? Co zrobisz, siostrze? Majątek potrzebuje męskiej ręki. I chłopcy takiej ręki potrzebują. Roksana wprawdzie nauczyła ich trochę dyscypliny...

Tym akurat Hedwiga nie była najbardziej zachwycona.

- Może nawet nadto - powiedziała z zastanowieniem. - To szlacheccy synowie, a nie służba, żeby ich popędzać i pomiatać nimi.

- Słusznie - poparła siostrę Marina, która jak zwykle zmieniała zdanie, była nieuważna i niedokładna. - Ale starała się jak mogła. Majątek nie poniósł strat, to pewne. Może też i nie zyskał wiele, ale przecież nie ma strat.

- Sama to ocenię - ucięła Hedwiga.

- Ale co zrobisz? - dopytywała się Marina. - Co zrobisz, jeśli Mikołaj nie wróci?

- Wróci - odparła Hedwiga. - Wierzę, że wróci.

- Ale jeśli się nie doczekasz? Ile zamierzasz czekać, Hedwigo?

- Ile będzie trzeba - powiedziała Hedwiga smętnie. - Czekałam już na niego długo wiele razy. Poczekam i tym ra-

zem. Wierzę, że wróci. Więcej, wydaje mi się, że gdy tak o nim myślę i mówię, on to słyszy i wie. I powróci któregoś dnia. A kiedy to będzie? To może wiedzieć tylko jeden Bóg. A przecież nie może, nie mógł mnie opuścić. Tak też odpowiadała na podobne pytania pani Aleny i pana Jeny. Rodzice Mikołaja przyjęli Hedwigę serdecznie, bardzo jej współczuli, pani Alena płakała nad losem syna i nad losem Hedwigi, nad losem bliźniaków. Pan Jeny siedział chmurny, swoim zwyczajem nie odzywał się prawie, a tylko patrzył ponurym wzrokiem wokoło. Słuchali opowieści Hedwigi o jej oczekiwaniu, o staraniach pani królowej, o listach wysyłanych na Węgry i do Wenecji, o tym, jak Hedwiga zbierała strzępki wiadomości i wszystkie układała tak, żeby znaleźć w nich choćby odrobinę nadziei. Pan Jeny patrzył na zapłakaną twarz synowej i milczał. W czasie całego wieczora odezwał się tylko jeden raz. - Może Bóg będzie miłosierny - powiedział.

Czarodziejski owies

Marina wracała z Lipowej do siebie, jadąc konno w towarzystwie tylko jednego pacholka, który taszczył na swoim koniu tłumok rozmaitych przedmiotów, ofiarowanych przez siostrę. Zupełnie blisko domu, kiedy widać już było dwór, na drodze pojawiło się nagle kilku nieznanych jej ludzi. Zastąpili drogę, a że byli uzbrojeni, Marina przestraszyła się nie na żarty. Szło na wieczór, do domu był jeszcze kawałek, a ci wyglądali na rzeźmieszków. Jakiś wyłupiastooki podskoczył i chwycił konia za wodze.

- Stójcie.

Marina próbowała go wyminąć, ale już nadbiegli jego towarzysze, otoczyli ich i widać było, że nie zamierzają jej wypuścić.

- Precz! - szarpnęła się Marina. - Precz z łapami, jeśli nie chcecie stracić tych głupich łbów!

Nie przestraszyli się, bo gdyby się bali, wcale by tu nie przyszli.

- Wyście pani Marina z Potoka? - zapytał wyłupiastooki.

- Ja, kpie! Puść natychmiast!

Próbowała skarcić go końcem trzymanej w rękach uzdy, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Uśmiechnął się tylko.

-To ona - powiedział do swoich kamratów.

Marinie skóra ścierpła ze strachu. Bo oznaczało to, że czekali tu właśnie na nią i zapewne mieli zamiar ją obrabować, a może nawet pozbawić życia.

- Na ziemię! - rozkazał wyłupiastooki.

Marina nie zamierzała zastosować się do polecenia, ale już chwyciły ją brudne ręce i siłą zniosły z siodła, bo słowa te były skierowane nie do niej, ale do kompanów rozbójnika.

Krzyczała, kiedy zerwali ją z siodła i rzucili na drogę.

Dotarła do domu obolała. Szła pieszo, bo nie mogła usiedzieć na siodle. W Potoku podniosła alarm, kazała wziąć broń kilku swoim pacholkom. Gromadą ruszyli na poszukiwania, głośno odgrażając się, że ubiją napotkanych rozbójników.

Marina wiedziała, za czyją sprawą się to stało i nie zamierzała puścić płazem zniewagi.

- Tym bardziej nie ustąpię! - mówiła, zagryzając wargi. - Tym bardziej.

Było jej wstyd opowiedzieć coś więcej komukolwiek. Nie wyglądała prawie z izby, a gdy wychodziła, miała twarz zakrytą chustką i nie przyjmowała nikogo.

Tego wieczora przyjechała do gospody Pod Jeleniem pani Hanna z Wojcieszowa. Spędziła tu całe dwa dni, zamknię-

ta w izbie, w której rozmawiano przyciszonymi głosami.

Przyszedł do niej jakiś człowiek, wylupiastooki, o wyglądzie zbója, który bawił krótko, a wychodząc, cieszył się wyraźnie jak ktoś, kto właśnie zarobił złotą monetę.

Nikt nie słyszał ich rozmowy.

- Wykonałem, pani - powiedział nieco wcześniej.

- Jak się to odbyło? - zapytała pani Hanna.

- Wedle waszego życzenia. Zatrzymaliśmy tę niewiastę i wlepiliśmy jej wiele różeg.

- Co mówiła?

- Na początku próbowała się bronić i krzyczała. Potem tylko krzyczała.

- Powiedzieliście jej z czyjego polecenia?

- Pani Hanny z Wojcieszowa.

- Na goły tyłek?

- Na goły. Uśmiechnął się.

- Na goły - powtórzył. - Całkiem jeszcze dobry. Aż szkoda było go tak traktować. Moi kompani chcieli nawet skorzystać...

Pani Hanna podniosła dłoń i uderzyła. Mężczyzna chwycił się za twarz.

- Milcz, głupcze! - syknęła. - Za gwałt na szlachciance głowy by wam ucięli.

Wykrzywił się.

- A za napaść na królewskiej drodze i obicie różgami to niby nam darują? Powiedziałem, żeby jej poniechali, bo wy zapłacicie więcej w nagrodę za to, że się powstrzymali.

Dała mu przygotowaną zapłatę.

- Zabieraj i idź precz! Ukłonił się niezdarnie.

- Zawsze możecie na mnie liczyć, jaśnie pani.

Marina cierpiała dwa tygodnie. Tydzień nie mogła usiąść, drugi odczuwała jeszcze ból, a przez wiele kolejnych nie mogła pogodzić się z tym, co ją spotkało. Poskarżyła się pa-

nu Jenó i żądała od starosty schwywania i ukarania winnych, ale wstydziła się opowiedzieć wszystko. Dwa tygodnie opiekował się nią pan Jordan, który także nie od razu dowiedział się, co się stało. Ale odgadł wszystko, bo Marina leżała w łóży na brzuchu, ledwo przykryta, i pojękiwała z bólu. Smarował ją oliwą łagodzącą bóleści i nic nie mówił.

Potem przyznał, że wie, co się jej przytrafiło.

- Nie sądziłem, że jest gotowa na coś takiego - powiedział z zawstydzieniem i próbował usprawiedliwić działania żony. - Nie spodziewałem się, że jest do tego zdolna.

Marina krzyczała i rzucała przekleństwa. Odgrażała się i zapowiadała, co zrobi pani Hannie.

- Sama wiem, że to ona! - jęczała. - Wiem, że to ona. I gorzko tego pożałuje! Kiedy tylko trochę wydobrzeję, natychmiast pojedę tam i wszystkie kłaki z głowy jej powyrywam! Wszystkie co do jednego!

Nie wiadomo natomiast, jak to się stało, że mimo utrzymywania przez Marinę tajemnicy, w krótkim czasie wszyscy wiedzieli o jej przykłej przygodzie i stanowiła ona odtąd ulubiony temat plotek na jarmarkach i po gospodach.

- Słusznie - mówili niektórzy. - To przecież obraza boska, żeby tak bez ślubu z sobą żyli.

- I jeszcze udają, że wszystko jest w porządku. Marina była świadoma nieprzychylnych plotek, ale nie zamierzała ustępować. Tym mocniej przekonywała się, że nie robi nic złego.

- Gadają tak, bo mi po prostu zazdroszczą - odcinała się na uwagi siostry.

- Ale co będzie dalej? - niepokoila się Hedwiga. - Według wszystkich wywołujecie zgorszenie. Ludzie okropnie gadają. Nie chodzi o to, żeby cię pouczała, ale jak sobie wyobrażasz dalsze życie?

Marina nie zamierzała się tłumaczyć.

- Ludzie się przyzwyczajają do wszystkiego - powtarzała

z uporem. - I do tego też przywykną. Nie zrezygnuję ze swojego szczęścia.

- A rodzina Jordana? Czy nie byłoby lepiej rozstrzygnąć jakoś tę sprawę? Żeby on się opowiedział, czy chce być z tobą czy ze swoją żoną? Zamierzasz resztę życia przeżyć w takiej niepewności?

- Wezmę, co mi Bóg da - odpowiadała Marina. - Nie każda miała tyle szczęścia, co ty. Ale teraz i ty jesteś w zawieszeniu. Nie wiadomo, czy jesteś wdową czy mężatką. Pewnie i ty wolałabyś wiedzieć, jak jest naprawdę. I póki nie zostanie to wyjaśnione, musisz przyjmować życie takim, jakie jest. Ze mną podobnie. I nie będzie inaczej, póki sprawy się nie wyjaśnią. Może nawet nie wyjaśnią się nigdy.

Nagle chwyciła siostrę za rękę i zaczęła chlipać.

- Nie wiem, co zrobię, jeśli Jordan postanowi wrócić do żony - przyznała się, a potem niespodziewanie zaproponowała: - A może ty poprosiłabyś go, żeby został?

Pani Hanna nie wróciła od razu do Wojcieszowa. Chwila tryumfu, jaką przeżyła, kiedy w gospodzie Pod Jeleniem dowiedziała się o ukaraniu tej rozpustnej Mariny, szybko uleciała. Jordan został w Potoku, a pani Hanna znowu nie wiedziała, co i jak powinna uczynić dalej. Przecież jadąc tutaj, obiecała sobie, że bez męża nie wróci.

Cały dzień przepłakała z żalu i bezsilności.

Drugiego dnia, gdy wyszła na chwilę, po powrocie do swojej izby zdziwiona zatrzymała się w progu. Jakaś obca, nieznana jej niewiasta siedziała na ławie.

- Co wy tutaj... - zaczęła Hanna i odwróciła się, żeby zawołać pacholka, by sprowadził gospodarza. - Ja pierwsza zajęłam tę izbę.

Obca kobieta słabo była widoczna w wieczornym już świetle dnia. Siedziała plecami do okna, miała kaptur na głowie skrywający jej włosy i najwyraźniej wcale nie chciała być rozpoznana.

- Przyszłam wam pomóc - powiedziała. Pani Hanna zatrzymała się wpół gestu,
 - Pomóc mnie? A w czym?
 - W waszym kłopotcie.
 - Nie mam żadnych kłopotów - zaprzeczyła pani Hanna. - Idźcie i zostawcie mnie, bo jestem zmęczona i potrzebuję odpocząć.
 - Odpoczynek wam nic nie pomoże - powiedziała kobieta, nie wstając z miejsca. - Wy potrzebujecie lekarstwa. Może ja mam takie lekarstwo.
- Pani Hanna nie miała ochoty na rozmowę z nieznajomą.
- Wyjdźcie - zażądała. - Bo zawołam służbę.
 - Nie zawołacie - odparła tamta. - Bo chcecie, żeby wasz mąż wrócił do domu.
- Pani Hanna zamarła zdumiona. Odwróciła się szybko, podbiegła do drzwi i zamknęła je. Gość roześmiał się półgłosem.
- Była to młoda, ładna kobieta, o białych, bardzo równych i pięknych zębach.
- Siadajcie - powiedziała. - Powinniśmy porozmawiać. Jeśli się wam nie spodoba to lekarstwo, nie będę was zmuszała. Ale zanim je odrzucicie, pomyślcie, czy aby na pewno nie potrzebujecie.
 - Nie potrzebuję - stwierdziła pani Hanna. Nieznajoma kobieta uśmiechała się z wyższością.
 - To jeszcze zobaczymy. Mylicie się, uważając, że pani Marina kiedykolwiek zostawi waszego męża w spokoju.
- Pani Hanna podniosła dłonie do ust.
- Co jeszcze wiecie?
 - Wszystko wiem - odpowiedziała nieznajoma i gestem dała znak, żeby pani Hanna usiadła.
- Pani z Wojcieszowa, zaczerwieniona ze wstydu, a jeszcze bardziej ze strachu, przysiadła na brzegu posłania.
- Nie wiem, kim jesteście - wydukała. - Ale to wcale tak nie jest i...

Młoda kobieta syknęła.

- Milcz i słuchaj! - nakazała sucho. - Sama nie wiesz, w co się pakujesz. Twój mąż odwiedza panią Marinę, mieszka z nią, ciebie całkiem zapomniał i zostawił, chociaż jest twoim ślubnym małżonkiem i ma obowiązki. Nie zaprzeczaj. Każdy to wie. I każdy wie, że nie zamierza do ciebie wrócić. Ona go opętała. Słyszysz, głupia? Opętała go swoimi sztuczkami. Myślisz, że wystarczy ją poprosić, żeby ci zwróciła Jordana? Nie, nie wystarczy. Bo na czary trzeba innych sposobów.

- Na czary?

- A coś ty myślała, głupia? Że czemu on tak się trzyma tej Mariny, choć ma ciebie młodszą i o wiele ładniejszą. Ona go opętała i nad nim panuje. Żadne prośby, żadne różgi tu nic nie wskórają.

Pani Hanna była przestraszona i nagle zupełnie opadła z sił.

- To co mam robić? - zapytała bezradnie.

- Odebrać go - warknęła tamta.

- A kim wy jesteście? I czemu chcecie mi pomagać?

- Nieważne, kim jestem. Ważne, że chcę wam pomóc. Mam swoje powody do takiego postępowania. To wielka rodzina, rozgałęziona i wydaje im się, że mogą robić wszystko, co tylko im przyjdzie do głowy. Nikogo o nic nie pytają, nikomu niczego nie są winni. Ale tak nie jest. Wiem o tym, mam powody, żeby nie życzyć im dobrze. Mam powody, żeby życzyć im źle.

- Ale to grzech - zauważyła pani Hanna nieśmiało.

- Grzech? A zabierać cudzego męża innej kobiecie to nie grzech? A cudzołożyć to nie grzech?

- Co mam robić?

- Niewiele. Podpowiem wam, jak należy postąpić. Czemu owa Marina tak mocno go trzyma przy sobie? Bo uwiodła go czarami. Ale wystarczy, żeby on stracił swoją męską moc, a Marina wypędzi go, a wy będziecie mogli zabrać go do siebie.

- To można tak zrobić? Żeby stracił męską moc?

- Oczywiście. To proste. Wystarczy dać mu pewien napój...

- Macie go z sobą?

- Nie mam. Trzeba go przygotować i to wy sama musicie to zrobić. Powiem dokładnie, co i jak należy uczynić...

Pani Hanna niemało się natrudziła nad dokładnym wypełnieniem poleceń nieznajomej.

I jeszcze musiała znosić podchwytliwe pytania niejakiej Wiesny, która trzymała gospodę, na co jej potrzebne całe wiadro lipcowego miodu i po co w izbie spory koszyk owsa.

Potem skupiona i przestraszona nieco, przyglądała się przygotowaniom swojej nowej znajomej, której imienia nawet nie знаła. Wcześniej przysięgła, że nikomu nic nie wyjawia z tego wszystkiego, czego będzie uczestnikiem i świadkiem.

- To konieczne - wyjaśniła Roksana. - Jeśli nie zachowacie tajemnicy, nasze działania nie będą skuteczne.

Pani Hanna złożyła więc przysięgę na krzyż i obiecała w każdych okolicznościach trzymać język za zębami.

Roksana rozłożyła na podłodze prześcieradło i rozsypała po nim ziarno, równą cienką warstwę. Potem kazała Hannie rozebrać się do naga i używając tylko lewej dłoni wysmarowała miodem jej całe ciało. Potem kazała położyć się na przygotowanym posłaniu z ziarna i wytarzać się w nim.

Pani Hanna, choć zawstydzona, dokładnie wypełniła polecenie. A gdy się podniosła, była niczym ze złota, pokryta miodem z przyczepionymi do ciała złotymi ziarnami.

Roksana kazała jej zgarnąć ziarenka do skopka, sama pomagając zebrać je z miejsc, do których Hanna nie mogła sięgnąć.

- Teraz wystarczy zemleć ziarno w żarnach - pouczała. - Musicie to zrobić sama, bez niczyjej pomocy. Potem z mąki wypieczecie chleb. Zapewniam was, że będzie dobry, słodki i smaczny. A kiedy wasz mąż zje ten chleb, zapomni o swojej miłośnicy i w te pędy do was powróci.

- Ale on mnie unika - niepokoiła się pani Hanna. - Jak dostanę się do niego, skoro nie chce mnie widzieć?

- To już sama musicie wymyśleć - powiedziała Roksana. -

Ale chyba nie będzie z tym kłopotu, skoro wasz mąż przyjeżdża czasem zobaczyć dzieci. Ugośćcie go odpowiednio, tylko o mnie nie wspominajcie, bo wtedy na nic całe wasze staranie.

Marina płakała. Robiła wszystko, co dawniej. Była zalotna, serdeczna i miła, a jednak pan Jordan stracił nagle zainteresowanie jej ciałem, choć przez wiele dni był poza Doliną i nie widział kochanki.

- Nie mogę - wzdychał. - Nie wiem, co się stało, ale nie mogę.

Marina płakała, prosiła, wpadała w złość, wypędzała go i mówiła, żeby więcej nie przyjeżdżał.

Odjeżdżał więc, ale wracał, posyłał prośby, podarunki. Wracał, potem znowu odjeżdżał.

Po wielkiej awanturze, jaką zrobiła Marina, niezadowolona z tego, jaki był, powiedział, że jeśli go wypędzi, więcej już nie wróci.

Wypędziła.

Pojechał. Upił się w gospodzie. Wytrzeźwiał. Znowu się upił. Jadł byle co, spał byle gdzie.

Kiedy któregoś ranka się obudził, zobaczył obok siebie swoją żonę.

- Cicho - mówiła pani Hanna, głaszcząc go po zarośniętym policzku. - Śpij spokojnie. Już wszystko dobrze. Już nikt ci więcej nie dokuczy. Zajmę się tobą, zaopiekują. O nic nie musisz się martwić.

Babskie rządy

Jesienią tego roku wiara w powrót Mikołaja kołatała się już tylko w sercu Hedwigi.

Nikt inny nie podzielał poglądu, że pan Lipowej powróci.

Ksiądz Franciszek Skórka miał przed sobą bardzo trudne zadanie.

- Bóg was pocieszy, pani - przemawiał do Hedwigi. - Nie wiem jeszcze, w jaki sposób, ale na pewno was pocieszy. Nie może zostać niedostrzeżona wielka ofiara pana Mikołaja.

- To i wy sądzicie, że Mikołaj już nie wróci? Ksiądz Franciszek zmieszał się.

- Nie tak chciałem powiedzieć - usprawiedliwiał się. - Chodziło mi o to, że wasz mąż oddał Bogu tak wielkie usługi, że ofiara jego na pewno musi zostać policzona w niebie. Co zaś do powrotu pana Mikołaja...

- Nie wierzycie?

Ksiądz Franciszek zasapał i uciekł oczami w bok.

- Sam nie wiem, pani. Od tygodni nie słyszano, żeby wrócił jeszcze ktokolwiek poza tymi, o których wiemy. Nie wydaje się więc możliwe, żeby byli jeszcze jacy ludzie... Przecież to rok właśnie mija od czasu owej wielkiej bitwy pod Nicopolis i...

Hedwiga zatrzymała się zdumiona.

Co? Rany boskie, to już cały rok? Jakże możliwe, że przeżyła cały rok, nie mając przy boku Mikołaja? Jakże to w ogóle możliwe?

Ale tak było. Kończył się wrzesień, więc dokładnie rok mijał od czasu bitwy, a znacznie więcej od wyjazdu Mikołaja.

Ksiądz Franciszek ruszył w kierunku kamienia przed dworem, jaki postawił tutaj Mikołaj na pamiątkę swojego wyjazdu. Kazał wtedy Hedwidze uważać, że to jest po nim znak. Prosił, żeby myślała o nim, żeby wspomniała go, gdy tylko spojrzy na ten kamień.

Ksiądz Franciszek chrząknął.

- Trzeba by chyba było... - zaczął - może jaki krzyż... Udawał, że nie widzi łez w oczach Hedwigi.

Kiedy nastąpiła pierwsza rocznica bitwy pod Nicopolis, 25 września 1397 roku, Hedwiga nadal wypatrywała wieści i nadal jeździła wszędzie tam, gdzie mogła się czegoś dowie-

dziec o losach Mikołaja, nie przyjmując do wiadomości, że czas oczekiwania i żałoby minął.

Tego dnia była w sadzie, gdy nadszedł Natan syn Izaaka. Żyd bez słowa położył na pieńku grubo wypchaną sakiewkę i uklonił się.

- Dla szlachetnego pana Mikołaja - oznajmił. - Dla was. Żeby panu Mikołajowi wystawić pomnik w kościele, tablicę albo i posąg.

Hedwiga zacisnęła pięści.

- Za wcześniej wszyscy go grzebiecie - zawołała ze złością. - Za wcześniej! Zabieraj swoje przeklęte pieniądze i z takimi słowami nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Natan kłaniał się i przeproszał.

- Nie chciałem was urazić - tłumaczył. - To jest znak ode mnie i moich, że dobrze wspominamy pana Mikołaja.

Obróćcie na co innego, może na chłopców...

- Wspominajcie jak chcecie - zachnęła się Hedwiga i odrzuciła dar. - A moi synowie nie są dla was chłopcami, tylko panami na Lipowej, którym winniście szacunek. Precz!

Nazajutrz po rocznicy bitwy pod Nicopolis pani Alena z Krasawy zdjęła żałobę po swoim synu Mikołaju.

Żałobę zdjęła także jego trzynastoletnia siostra Elżbietka.

- Może rzeczywiście czas mi za mąż - westchnęła.

Pani Alena przeboleła już utratę syna. Przeboleła, bo Mikołaj zostawił dwóch dorodnych synów i rodowi Lipowskich nie groził upadek.

- Wola boża - powtarzał ksiądz Franciszek, który ustawicznie pracował nad tym, żeby śmierć Mikołaja jego rodzina widziała we właściwych proporcjach.

- Wasz syn poległ za wiarę - mówił do pani Aleny. - Czy można sobie wyobrazić śmierć piękniejszą i bardziej godną?

- Wasz mąż odszedł do Boga - mówił do Hedwigi. - Bóg tak chciał, tak postanowił, a ludziom nie godzi się podważać jego wyroków.

- Wasz ojciec był bohaterem, pięknym, walecznym i mężnym rycerzem, obrońcą chrześcijaństwa przed niewiernymi
- mówił do synów Mikołaja. - Zawsze o tym pamiętajcie i zawsze starajcie się mu dorównać.

Gwoździe, które niegdyś wbił pan Jenó w dębowe drzwi dworu w Krasawie, a które oznaczały kolejne pokolenia jego rodu, pokryły się rdzą. Od góry - Jura kowal, niżej Jenó, potem Mikołaj, potem dwa obok siebie, oznaczające Marcina i Mateusza.

- Nie myślałem, że będę patrzył na te drzwi, kiedy nie będzie już Mikołaja - zwierzył się któregoś dnia pan Jenó. - Nie jest przecież zwyczajne, żeby ojcowie opłakiwali swoich synów.

- To synowie winni opłakiwać rodziców - zgodził się ksiądz Franciszek. - Ale nie nam, marnym ludziom, odgadywać boże zamiary. Miał widać w tym Bóg jakiś cel, jeśli postanowił tak właśnie.

Ale pan Jenó nie czuł się pocieszony. Widział się dopiero co z królem Jagiełłą i monarcha smutno kiwał głową nad losami Mikołaja.

- Szkoda - powtarzał. - Wielka szkoda. Wiele obiecywałem sobie po waszym synu.

- I ja - mówił pan Jenó. - W dodatku jest we mnie żal, że nie dałem mu tyle, ile ojciec powinien dać synowi.

- Miał od was wszystko - zaprzeczył król. - Każdy to wie. Ale pan Jenó tylko pokręcił głową.

Po oświadczeniu Elżbietki, że gotowa jest przemyśleć sprawę swojego małżeństwa, prawie natychmiast pojawił się w Krasawie pan Konrad ze Szczekocin, jakby mu ktoś podpowiedział, że powinien wzmóc starania.

- Czy to prawda? - dopytywał się. - Czy prawda, że Elżbietka pragnie mnie widzieć?

- Mówiłam, byście byli cierpliwi - uśmiechała się pani Alena. - Moja córka jest jeszcze bardzo młoda, ale na każdą młodą przychodzi jej czas.

Konrad ze Szczekocin pokazał się w Krasawie kilka ra-

zy i zaczęto mówić, że tym razem to już na pewno Elżbietka pójdzie za niego za męż. W Lipowej wieści te nie spotkały się z radosnym przyjęciem.

- Będiesz miał nic - powiedział Marcin do brata. - Mnie zostanie Lipowa, a ty długo będziesz musiał czekać na swoją część po dziadku. Może dziadek Jenó zostawi ci coś na swojej Krasawie.

Mateusz był poruszony wiadomościami.

- A moja część w Lipowej? - zapytał niepewnie. Marcin zrobił minę pełną wyższości.

- Twoja część? - powtórzył. - To jest mój majątek. Może ci dam coś z niego, a może nie dam. Wszystko zależy od tego, jak się będziesz wobec mnie zachowywał.

- Ale chyba należy mi się pół...

- Nie ma mowy! - zaprzeczył Marcin. - Nie będzie dzielenia majątku. Musi zostać w całości. Tak kiedyś mówił nasz ojciec, a jego wola święta rzecz.

Kiedy się wydało, że to pani Roksana powiadomiła pana Konrada ze Szczekocin, żeby znowu starał się o Elżbietkę, Hedwiga wpadła w złość.

- Kto ci pozwolił? - krzyczała na Roksane. - Jak ja wyglądam teraz w oczach tamtych ludzi? Po co w ogóle wtrącasz się do spraw moich teściów? To nie twój interes.

Roksana wyduła wargi obrażona.

- To taka mnie spotyka nagroda za moje starania? - zapytała. - Ja robię wszystko, żeby ci pomóc, a ty tak mi dziękujesz? Nie moja sprawa? Ależ oczywiście, że moja. Czy ty nie widzisz, że jeśli nie podejmiesz działań już teraz, zostaniesz okradziona, oszukana i nikt się za tobą nie ujmie? Myślisz, że można liczyć na dobrą wolę innych ludzi? Nie bądź naiwna, Hedwigo.

Pretensje miała też do Roksany pani Alena. Przyjechała nawet do Lipowej, żeby przy synowej skarcić jej przyjaciółkę. Wprawdzie nie była zła o namówienie Konrada do wizyty w Krasawie, ale dała wyraz niezadowoleniu, że Roksana

na wchodzi w nie swoją rolę. Ale Roksana była na takie żale dobrze przygotowana i powtórzyła tylko argumenty, które wcześniej przekonały Hedwigę.

- Więcej się po was spodziewałam przezorności - odparła spokojnie na gorące słowa pani Aleny. - Bo nie zrobiłam tego dla zabawy. Zrobiłam to dla naszych chłopców. Niech idzie Elżbiet-ka za Konrada, a wtedy i chłopcy będą mieli zabezpieczoną przyszłość. Zostanie Marcin w Lipowej, a Mateuszowi przypadnie Krasawa po dziadku. Elżbietka pójdzie przecież do Konrada.

Trochę się przeliczyła, bo pani Alena inaczej to planowała. Była bardzo przywiązana do córki i spodziewała się mieć ją nadal przy sobie.

- To nie wasza sprawa, Roksano - złościła się. - Nie wchodźcie w sprawy naszej rodziny, bo do niej nie należycie. Roksana obraziła się za takie traktowanie.

- Chciałam jak najlepiej - tłumaczyła się. - Ale skoro nikt tego nie docenia i pomawiacie mnie o niestosowne postępowanie, zostaje mi tylko wrócić do siebie...

- To by było najlepiej! - krzyczała pani Alena.

Kiedy pani Alena już odjechała, Roksana powiedziała do Hedwigi:

- No i widzisz, że miałam rację? Przynajmniej mamy teraz jasną sytuację i wiemy, co zamierzają twoi teściowie. Zdaje się, że nieprędko by się z tych planów zwierzyli.

Hedwiga przyznała jej rację, na co Roksana oświadczyła, że myśli już wracać do swojego Dębowca.

- Smętnie tam i pusto - mówiła z udawanym żalem. - Ale skoro tutaj nikt nie chce docenić mojego starania...

Jak się spodziewała, Hedwiga sprzeciwiła się takim zamiarom.

- Nigdzie nie musisz wracać, Roksano - zapewniła natychmiast. - Tutaj zawsze będzie dla ciebie miejsce. Jestem zadowolona z twojej opieki nad Lipową, nawet z karności, jakiej nauczyłaś bliźniaków, choć czasem mogłabyś im więcej pobłażać. Nigdzie nie musisz wracać, zwłaszcza, że znowu będę cię

prosić o pomoc. A Dębowcem i Jastrzębicami możesz zarządzać jak do tej pory. Pan Jacek dobrze sobie przecież radzi. I Roksana została w Lipowej.

Powtarzające się wyjazdy Hedwigi, coraz dłuższe jej nieobecności powodowały, że coraz bardziej oddalała się od spraw Lipowej, we wszystkim zdając się na Roksanę.

Ta zaś rzeczywiście szybko umiała zapanować nad wszystkim. Służba chodziła cicho i była dokładna, niczego tu nie pomijano, bo pani Roksana potrafiła karać. Uważała, że tylko w taki sposób może wpłynąć na utrzymanie porządku, niczego więc nie zaniedbywała. Ani różeg ani dybów.

- Nie może tak dalej być, pani Hedwigo - martwił się ksiądz Franciszek. - Za mało czasu poświęcacie swoim synom.
- Poświęcam im dość - broniła się Hedwiga. - Są już na tyle duzi, żeby można było zostawić ich samych. Jest poza tym pani Roksana.

Ksiądz Franciszek uważał, że pani Roksana dobrze zastępuje Hedwigę, choć nawet i on przyznawał, że czasami jest dla młodych Lipowskich zbyt surowa.

- Częściej powinni jeździć do dziadka - podpowiedziała Hedwiga. - Zadbajcie o to, proszę, bo ja wkrótce sama muszę jechać. Podobno jest na Wawelu pan, który był z Mikołajem w bitwie i może wiedzieć, co się z nim stało. Muszę tam pojechać i usłyszeć na własne uszy, co ma do powiedzenia.

Hedwiga nie dała sobie w tej sprawie niczego wytłumaczyć. Gdy tylko usłyszała jakkolwiek, choćby i drobną wieść, natychmiast gotowa była jechać na kraj świata, żeby to sprawdzić.

- Gdybym nie była kobietą - wyznała kiedyś - ruszyłabym aż do owego tureckiego sułtana i jego samego zapytałam, gdzie jest mój mąż i zażądałabym od niego, by mi zwrócił Mikołaja

- A pewnie - kiwał głową ksiądz Franciszek. - Taki majątek pójdzie na zmarnowanie, gdy wy będziecie gonić za cieniem.

- To nie jest gonitwa za cieniem - upierała się Hedwiga. - Będę go tak długo szukała, aż znajdę.

- Ależ dziecko - łapał się za głowę ksiądz Franciszek. -Przecież to może potrwać całe życie.
- Mam dopiero dwadzieścia sześć lat - odpowiedziała Hedwiga. - Bóg da, jeszcze pożyję.
- Nie wolno jednak...
- Dość - przerwała Hedwiga. - Chcecie pomóc, pomagajcie. Ale nie gańcie mojego postępowania, bo czyż nie jest pierwszym obowiązkiem żony być przy mężu zawsze i wszędzie?
- No tak, ale...

W swoim oczekiwaniu Hedwiga była zupełnie samotna. Nawet matka Mikołaja wydawała się coraz bardziej pogodzona ze śmiercią jedyne go syna. Coraz częściej mówiła, że trzeba przyjąć boskie wyroki.

- To nic nie da, dziecko - powiedziała któregoś dnia do Hedwigi - Nic nie dadzą twoje poszukiwania. On już nie powróci.

Hedwiga kręciła głową.

- Co wy mówicie, matko? Jak to nie powróci? Mikołaj miałby nie wrócić? Przecież obiecał, przysięgał. Nie zapomniał o tym, nie mógł zapomnieć.

- Nie zapomniał - tłumaczyła pani Alena. - Nie zapomniał, po prostu nie może wrócić. I nie może ci przysłać wiadomości, bo on... on...

Ale bała się wypowiedzieć to najgorsze słowo, powstrzymywana mocną, niezłomną nadzieją Hedwigi.

Bo Hedwiga nie zaprzestawała poszukiwań. Czasami i jej samej wydawało się, że zrobiła już wszystko, wypytała wszystkich, którzy mogliby wiedzieć cokolwiek. Rycerzy i zwykłych pachołków, urzędników królewskich, kancelarie dworów w Krakowie i w Budzie. Na jej prośbę sama pani Jadwiga napisała list do wielkiego mistrza Krzyżaków, prosząc, aby wyznaczył urzędnika, który w jej imieniu dokładnie wypyta tych, co wrócili z wyprawy krzyżowej, czy nie słyszeli co o Mikołaju z Lipowej.

Ale znikąd nie było nadziei. A jednak Hedwiga znajdowała w sobie siły, by coraz to czynić starania i na nowo szukać.

- Śnił mi się - odpowiedziała na uwagi teścia. - Śnił mi się ostatniej nocy. Stał przed progiem naszego domu i pytał, czemu nie zapraszam go do środka. Jakże inaczej mogę tłumaczyć ten sen, niż w taki sposób, że sam Mikołaj mnie zachęca, bym nie ustawała w poszukiwaniach? Sprzeniewierzyłabym się mojej małżeńskiej przysiędze, gdybym choć przez chwilę pomyślała inaczej.

Pan Jenó, który poprzedniego dnia odbył z żoną długą rozmowę, nie umiał dać odpowiedzi na takie postawienie sprawy i nie znalazł argumentów,- żeby przekonać Hedwigę do zmiany postępowania.

Ostatni zbój w Dolinie

Złoczyńcę miano ukarać na miejscu jego ostatniej zbrodni. Dlatego przywieziono go na rozstaje dróg koło Mstowa. Był to Jaksza, okrutny rozbójnik i zabójca, którego ścigano przez całe lata. Spętany łańcuchami siedział pod wielką sosną, gdzie rzucili go żołnierze, zostawiając tutaj, aby mógł z nim porozmawiać starosta.

Ostatni zbój w Dolinie. Kiedyś miał przy sobie gromadę zbrojnych rzezimieszków, okrutnych, ciętych, walecznych. Kryli się po lasach, chowali między skałami. Bali się ich nawet ludzie króla, a sam starosta miał za małe siły, żeby przeciw nim wystąpić. Ale z czasem pan Jenó wyłapał pomocników Jaksy i surowo ich ukarał. Teraz został już tylko on sam - Jaksza, ostatni zbój w Dolinie.

W pobliżu mieszkańcy okolicznych wsi czekali na widowisko. Wiadomość o traceniu Jaksy rozeszła się szeroko i nie brakowało ciekawskich, przybyłych z odległych nawet

osad. Stali gromadą na szczycie wzniesienia, gdzie rozchodziły się drogi, i spoglądali na wielką sosnę, na której miano powiesić złoczyńcę.

Zbój był bardzo wychudzony po tygodniach spędzonych w lochu, a jego blada twarz, blade oczy i białe brwi zdawały się nie mieć żadnego wyrazu.

Wąskimi wargami uśmiechnął się na widok nadchodzącego starosty. Był ranny w bok, przy którym wciąż trzymał zakrwawioną szmatę.

- Niewiele wytoczyście ze mnie krwi - zauważył. - Prawie cała już uszła.

- Wystarczy - odpowiedział pan Jenó.

Z dała znowu dobiegły okrzyki zgromadzonego tłumu. Mieli kije w rękach i kamienie, a choć w drodze zbrodniarza ochraniały żołnierze starosty, dostało mu się sporo razów, zanim dotarli do wyznaczonego miejsca.

Lista zbrodni Jaksa i jego kompanów była bardzo długa. Obejmowała napady, zabójstwa, podpalenia, porwania, kradzieże. Banda miała na sumieniu co najmniej jednaście osób. Pan Jenó chciał się upewnić co do jeszcze jednego zabójstwa.

- Kupca Almaryka pamiętasz? - zapytał. - Jego kto zabił? Ty czy któryś z twoich towarzyszy?

Sprawa była niegdyś głośna, skazano za nią na wieżę pana Gotarda z Brzezina, ale oczyścił się z zarzutów.

- Almaryk? - zastanowił się Jaks. - Nie, panie starosto. To nie ja i nikt z naszych.

- Na pewno?

- A cóż mi po kłamstwie teraz, kiedy i tak zawisnę? To nie ja. Pamiętam, zakłuli go w gospodzie U Brodu. Ale to nie ja.

- Zatem kto?

Jaks wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Słyszałem plotki, że to niewiasta.

- Niewiasta? - zdziwił się starosta.

- Z zazdrości. Albo może z zemsty, nie wiem.

- Ale to ty zadusiłeś Nikosza? Tego młodego bednarza, co miał takie sprytne palce do złodziejstwa.

- Bo mnie zdradził, panie starosto. Zdradził i doprowadził was do mojej kryjówki.

Pan Jenó przykucnął naprzeciw siedzącego i chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

- Szkoda - powiedział wreszcie: - Szkoda, że nie skorzystałeś z królewskiej łaski.

Jaksa wzruszył ramionami.

- Nie skorzystałem? Ależ skorzystałem, panie starosto. Dzięki królewskiej łasce mogłem żyć jak chciałem.

- Kiedyś oddałeś królowi przysługę. Rozbiliśmy razem buntowników Białego Księcia i proponowałem ci królewskie przebaczenie. Wtedy nie byłeś rozbójnikiem.

Jaksa uśmiechnął się.

- Ależ byłem. Zawsze byłem, panie starosto. Sami to wiecie najlepiej. Nawet wtedy, gdy wzięliście mnie ze sobą przeciw Białemu Księciu, też byłem rozbójnikiem. Taki widać los. A losu nie zmienisz.

- Mogłeś zostać uczciwym człowiekiem - zauważył pan Jenó. - Mogłeś uzyskać przebaczenie.

- Ja tak - zgodził się Jaksa. - Ale moi ludzie nie. Co było robić, skoro dowodziłem nimi? Jakież ze mnie byłby przywódca, gdybym zostawił ich samych?

Pan Jenó pokiwał głową.

- To prawda, że w twojej zgrai był także twój brat?

- Dwóch - uzupełnił Jaksa. - Młodszy. I obaj zawisli na drzewie, przy brodzie na Warcie koło Częstochowy. Z waszego rozkazu.

- Szkoda - powtórzył pan Jenó. - Byłeś wielkim wojownikiem, mógłbyś zostać żołnierzem króla.

Jaksa potrząsnął ramionami, łańcuchy zadzwoniły.

- Ja? Nie zniósłbym żadnej władzy nad sobą. Jestem zwykłym chłopem, ale nikomu nie pozwoliłbym rozkazywać.

- A mnie?

Jaksa uśmiechnął się znowu.

- Nikomu - powtórzył. - Was szanuję, panie starosto, ale i wam bym nie pozwolił.

Pan Jenó potaknął.

- Wiem to - przyznał.

Odwrócił głowę i popatrzył na tłum, klębiący się za nimi, zniercierpliwiony już długim oczekiwaniem widowiska.

- Chcesz księdza? - zapytał przyciszonym głosem. Jaksa pokręcił głową.

- Nie, panie starosto. Nie wiem zresztą, czy jakiś chciałby tu przyjść. Mam ich kilku na sumieniu.

- Jeśli którego poproszę, nie odmówi. Ale Jaksa nie zdecydował się na spowiedź.

- Nie chcę - powtórzył. - Nie chcę, żeby mi przeszkadzali w drodze do piekła.

Pan Jenó wstał.

- Już czas - oznajmił. - Coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić? W bładych oczach Jaksy pojawiła się iskierka wesołości, ale zaraz zgasła.

- Jeśli nie możecie mnie puścić, nic nie możecie - powiedział.

- Nie mogę - przytaknął starosta. - I nie chcę. Ale jeszcze nie odchodził.

Jaksa pociągnął nosem.

- Jak będzie? - zapytał już bez cienia uśmiechu. - Będą męczyć?

- Tak. Wytrzymasz?

- Nie wytrzymam - przyznał się zbój. - Zawsze bałem się bólu. Ale to mówię tylko wam, panie starosto. Inni nie powinni wiedzieć, że się boję.

Jaksa stanął na rozstajach, na najwyższym punkcie wzniesienia, tuż obok drzewa, gdzie przygotowano dla niego miejsce kaźni. Trzęsły mu się nogi, gdy wypowiadał ostatnie słowa. A powiedział:

- Żegnaj, niewdzięczny świecie.

Jaszek, przeor klasztoru kanoników w Mstowie, był starszy od pana Jeny, ale nadal wyglądał jak dwadzieścia lat wcześniej. Był niczym dziecko, mały, rumiany, o okrągłych policzkach. Jego małe stopy, widoczne spod czarnego habitu, kiedy go noszono na specjalnym krześle, ubrane były w dziecięce sandały. Wydawał się całkowicie nieporadny i bezbronny, ale jego jasne oczy patrzyły jak dawniej, twardo, przenikliwie.

- Postarzałem się - westchnął.

Gdy pan Jeny zaprzeczył, przeor dodał:

- Może nie z wyglądu. Ale na pewno w sercu. Coraz mi ciężiej, panie Jeny, coraz mi trudniej. Długo już żyję, a im dłużej, tym trudniej patrzeć na ten świat pełen nieprawości...

Przymknął oczy, a pan z Krasawy wiedział, że zakonnik nie przysnął, a tylko się zamyślił. Dopiero po długiej chwili otworzył oczy, spojrzał na gościa z zatroskaną miną.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Jestem zniechęcony. Cała moja wiedza tu na nic. Zastanawiałem się, co mogę dla was zrobić. Kogo pytać, do kogo pisać, kogo i gdzie wysłać. Ale podobnie jak i wy nie dowiedziałem się niczego.

Pan Jeny opuścił głowę.

- Wiele nocy spędziłem na rozmyślaniach i analizach - ciągnął przeor. - Wiele, ale naprawdę mało z nich wynika. Patrzę na świat, patrzę w gwiazdy i tam także szukam odpowiedzi, ale i tam jej nie znajduję. Bo prawdę zna tylko jeden Bóg, on zaś uznał widać, że nam nie ujawni tej tajemnicy. Ale zapewniam was, że kiedyś... że któregoś dnia dowiemy się dokładnie, co i jak przydarzyło się waszemu Mikołajowi...

- Hedwiga - wyszeptał pan Jeny. - Chodzi o Hedwigę. Ona szaleje z rozpaczy, a ja już nie mogę na to patrzeć.

Ojciec Jaszek westchnął.

- Niewiele wiem o niewiastach - przyznał po chwili. - Ale tylko dobre rzeczy słyszałem o waszej synowej i zaprawdę rad bym jej pomóc i pocieszyć ją, jak pocieszyć chciałbym was i waszą żonę. Szaleje, mówicie?

- Uparła się. Wierzy, że on jest. Że Mikołaj żyje. Do te-

go stopnia się zaparła, że jeździ po świecie, pyta i zakazała postawić krzyż ku pamięci Mikołaja, co to może pochowany gdzieś w dalekich pogańskich ziemiach.

- Uparła się? Boicie się, że jest szalona? - zaciekawił się przeor. - Muszę o tym pomyśleć, panie Jenko. Pomyśleć, zastanowić się. Bo w szaleństwie takim jest może niemało mądrości. Skoro ona tak bardzo przy tym obstaje...

Pan Jenko był trochę zdziwiony. Schylił się i pocałował przeora w rękę.

- Dziękuję, czcigodny ojczu. Nie wiem jak, ale nagle daliście mi nadzieję. Nie tego się po was spodziewałem, raczej odpowiedzi na pytanie, jak postąpić z Hedwigą. Wy zaś tymczasem dajecie mi odrobinę nadziei. Jakże to?

Spodziewałem się, że powiecie, iż trzeba się cieszyć, że Mikołaj nie wrócił, bo to znaczy, że poległ w świętej wojnie i ma już miejsce przysposobione w raju, a wy tymczasem...

- Nie przyszłście tu po to, co sami wiecie - przerwał Jaszek. - Przyszłście tu po nadzieję właśnie. Tedy ją wam daję. Bo nie jest znany człowiekowi zamysł Boga, jego boskie plany, jego zamierzenia, obliczane na tysiące lat. Może jest jego wolą dać wam nadzieję. Powiedzcie synowej, żeby nie zaprzestawała poszukiwań. Jest powiedziane: szukajcie a znajdziecie, więc niechaj nie spocznie, póki nie będzie miała całkowitej pewności, póki Bóg nie da jej jakiego wyraźnego znaku. Bo że da kiedyś taki znak, wiem na pewno.

Z biegiem dni dość poprawnie ułożyły się sprawy między Roksaną a panią Mariną z Potoka. Siostra Hedwigi umiała docenić starania Roksany o majątek i o chłopców podczas nieobecności ich matki. W dodatku Marina czuła rodzaj wdzięczności do Roksany, bo ta, zajęta chłopcami, wypełniała część obowiązków, jakie spadłyby na nią, a ona przecież zaferowana była swoimi sprawami i nie miała czasu dla tych rzeczy. Zdawała się więc na Roksane w coraz większym zakresie i nie miała nic przeciw, żeby bywał w Li-

powej i Dominik, który miał okazję z ciotecznymi braćmi uczyć się rządzenia.

- To nic złego - przekonywała Roksana. - Niech chłopak patrzy i się uczy. Tego nigdy za wiele, a wy zamiast posyłać go gdzieś daleko, możecie go stale mieć przy sobie.

Marina doceniała to staranie, bo Dominik im starszy, tym więcej przyczyniał jej trosk i zmartwień. Wcale nie był taki układny i grzeczny, jak się po nim spodziewano, gdy był małym chłopcem. Coraz częściej przychodziły mu do głowy rozmaite szalone pomysły. I zaczęło się nawet zdarzać, że nie tylko miał śmiałość hardo odpowiedzieć matce, ale i postąpić wbrew jej wyraźnym poleceniom czy zakazom.

- Obie chcemy pomóc naszej kochanej Hedwidze - przekonywała Roksana. - Nie powinniśmy występować przeciw sobie. Chodzi o dzieci Hedwigi, a wiecie przecież, że mnie na ich przyszłości zależy bardzo, równie bardzo, jak ich matce.

Marina łatwo zgodziła się z takimi zapewnieniami. Z czasem polubiła nawet Roksane i często zajeżdżała do Lipowej, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, jak sobie dobrze radzi. A że zazdrościła Roksanie, że ta umie z dziećmi postępować stanowczo i surowo, chętnie wysyłała Dominika do Lipowej, licząc, że przy okazji i on nauczy się dyscypliny.

- Oczywiście, może przyjeżdżać, kiedy tylko zechce - łatwo zgodziła się Roksana. - O nic nie musicie się martwić, gdy jest tutaj.

Roksanie los Dominika musiał leżeć na sercu w sposób szczególny, bo interesowała się wszystkim, co jego dotyczy.

- Musicie myśleć o jego przyszłości - powtarzała Marinie przy każdej okazji. - Jesteście sama, więc nikt tego za was nie zrobi.

Marina oczywiście myślała o przyszłości Dominika, ale to Roksana uświadomiła jej, że pewnie myśli za mało.

- Dominikowi będzie trudniej niż jego ciotecznym braciom - powtarzała Roksana. - Bliźniacy mają zapewniony

byt. Mają Lipową, w której pomieszczą się bez trudu. Mają Krasawę po dziadku...

- Krasawę przeznaczy! pan Jenó dla Elżbietki i jej męża -przypominała Marina.

- Może i przeznaczy! - godziła się Roksana. - Ale kto to wie, jak się potoczą ludzkie losy i jak sprawy ułożą.

Człowiek przezorny powinien myśleć wiele lat naprzód. A samotna niewiasta o przyszłości winna myśleć tym bardziej. Bo kto wam pomoże za lat parę? Hedwiga bardzo was miłuje jako swoją siostrę i na pewno nie pozwoli ukrzywdzić. Ale ona musi myśleć przede wszystkim o swoich synach. Zatem wy zostajecie sama i tylko od was zależy zabezpieczenie Dominika.

Pani Roksana nie bywała już prawie w swoich Jastrzębicach i Dębowcu. Pan Jacek rządził nimi wedle jej wskazówek i były to rządy umiejętne. Regularnie stawiał się z wieściami, wysłuchiwał poleceń i choć czasem robił po swojemu, wszystko to razem przynosiło majątkom korzyści. Roksana okazała się dobrą gospodynią, a na szczęście dokuczliwe plagi i nieszczęścia z ostatnich lat należały już do przeszłości. Wiedźma z Biskupic najwyraźniej opuściła Dolinę, bo od miesięcy ani jej nie widziano ani nikt nie słyszał, żeby gdziekolwiek poczyniła szkody. Odrabianie strat musiało wprawdzie potrwać i Roksana ciężko nad tym pracowała, ale już teraz widać było, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

- Babskie rządy - mówił pan Jenó gniewnie, ale z czasem nawet i on musiał przyznać, że rządy te były rozumne i dobrze służyły Lipowej.

Starosta, choć nadal nie pozbył się całkowicie niechęci do Roksany, musiał pogodzić się i z jej rządami, i z jej sposobem myślenia.

- Bogu dziękować, że dał Hedwidze i nam taką przyjaciółkę - powtarzała pani Alena. - Jest tak bliska jak najbliższa rodzina. Naprawdę, serdeczna to przyjaciółka naszej synowej!

Synowie Hedwigi oraz Dominik pani Mariny często przebywali razem. Poza zabawami i rycerskimi ćwiczeniami wszyscy trzej pobierali też nauki u księdza Franciszka, bo choć ani Roksana ani Marina nie uważały tego za niezbędne, Hedwiga upierała się, żeby chłopców nauczyć czytać i pisać, zatem i Dominik nie mógł być gorszy. Nauki szły chłopcom dość nierówno, woleli biegać po polach czy lasach, łowić ryby w strumieniu, strzelać, uganiać się konno i robić wszystko, żeby tylko jak najmniej poświęcać czasu na wkuwanie łaciny lub umiejętność pisania. Największa pociecha była z Mateusza, bo młodszy z bliźniaków, słabszy i mniejszy, w nauce czytania robił największe postępy i niegdyś Mikołaj przebąkiwał nawet, że chętnie widziałby go w roli duchownego. Byłoby to nawet dobre rozwiązanie, bo majątek miał przecież przypaść starszemu Marcinowi, zatem młodszy otrzymałby tylko niewielką część schedy.

Chłopcy byli zbyt mali na takie rozważania, kiedy jeszcze Mikołaj mieszkał w Lipowej, ale teraz, po dwóch latach od jego wyjazdu sprawa wyglądała inaczej. Mateusz rzeczywiście robił szybkie postępy w nauce, Marcin przygotowywał się do rządzenia dworem po ojcu. Nawet dziadek Jenó mówił czasem, że proponowane przez panią Roksanę rozwiązanie byłoby dla chłopaka najlepsze.

- Wojownik to chyba będzie z niego nietęgi - powtarzał. - Jest słaby, mało wytrzymały i podatny na choroby. Przynajmniej w porównaniu ze swoim bratem.

Pani Alenie, babce chłopca, ten pomysł także się podobał. Wiadomo, że majątek lepiej przekazać jednemu, a drugi po cóż miałby wałęsać się po obcych domach, skoro mógłby osiągnąć jakieś godności kościelne. Był przecież dzieckiem pana Mikołaja i wnukiem pana Jenó, zatem przy niewielkich wysiłkach mógłby dobić się ważnych kościelnych stanowisk.

Ksiądz Franciszek życzliwie odnosił się do takich planów, choć początkowo nie bardzo im dowierzał. Ale słyszał, że pan Mikołaj w młodości sam omal nie został mni-

chem, więc zakładał, że gdyby pan Lipowej wiedział o zamiarach wobec Mateusza, na pewno by im przyklasnął.

- Chłopak ma jeszcze pstro w głowie - powiedział do pani Aleny, która zapytała go o zdanie w tej sprawie. - Ale to przecież jeszcze dziecko. Nauczy się dyscypliny. Macie rację, że to dobry materiał na księdza. Pojętny, chętny i posłuszny. Z całą pewnością, gdybyście chcieli wybierać z trójki, tylko on jeden nadawałby się do stanu duchownego. Obiecał od razu, że będzie Mateusza baczniej obserwował i stanie się wobec niego bardziej wymagający, choć zastrzegł, że nie będzie do niczego przymuszał.

- Nie chciałbym tego - wyjaśniał pani Alenie. - Jestem przekonany, że powołanie nadejdzie samo, jeśli umiejętnie chłopakiem pokierujemy. A wiercie mi, że będę umiał stosownie nim pokierować. Wymaga to jednak czasu, trzeba cierpliwości.

- Zdaję się na was - zgodziła się pani Alena. - Na pewno będziecie umieli odpowiednio załatwić tę sprawę. To takie wielkie i wspaniałe zadanie. Aż mi skóra cierpnie, kiedy pomyślę o takiej możliwości. Modłę się codziennie za mojego Mikołaja. Jakże byłoby pięknie, żeby i jego syn orędownął przed Bogiem za duszę swojego ojca...

Leśne zielsko

Lato 1398

Ksiądz Franciszek urządził aptekę na plebanii, gdzie z czasem coraz więcej ludzi przychodziło po porady. Duchowny zbierał zioła, kierując się zapiskami z uczonych ksiąg, a czasem korzystając także z porad pana Jeny. Pan z Krasawy długo nie chciał się dać namówić na ten pomysł i dopiero kilka następujących po sobie wydarzeń przekona-

ło go, że powinien podzielić się swoją wiedzą z księdzem Franciszkiem.

- Przecież w tym nie ma żadnych czarów - przekonywał ksiądz Franciszek. - Bóg stworzył kwiaty, zioła i wszelkie rośliny. Stworzył je i kazał nam z nich korzystać. Jedne używamy do jedzenia, inne jako paszę, jeszcze inne jako lekarstwa. O was powiadają, że niegdyś mieliście wielką wiedzę, więc niechaj teraz służy ona innym. Nikt, zapewniam was, ani Bóg ani ludzie, nie będą mieli do was o to pretensji.

- Nie wydaje mi się to potrzebne - odpowiedział pan Jenó. - Dość waszej wiedzy, księżu Franciszku, żeby leczyć wszystkich naokoło.

Ksiądz nalegał i prosił, ale pan Jenó nie był przekonany, że może podzielić się swoją wiedzą.

- No, nauczyłem się niegdyś o ziołach i sposobach - przyznał. - Ale dziś wielu rzeczy zapewne bym nie zrobił, gdybym w ogóle miał się jeszcze brać do leczenia. Dawno już mi wytłumaczono, że nie wszystkie lekarstwa dopuszczane są przez Kościół. Obiecałem, że zapomnę owych recept i sposobów. Obiecałem to solennie i ani mi w głowie łamać obietnice. Więc mnie o to nie proście.

Pan Jenó długo jeszcze zastanawiał się nad tym i zgodził się dopiero po jakimś czasie. Bezpośrednią przyczyną jego zgody były zaś wydarzenia, jakie nastąpiły latem tego roku.

Był wśród dzieciaków w Lipowej chłopak imieniem Kulik, bystry i niesforny dwunastolatek, który uchodził za przywódcę okolicznych podrostków. Kiedy biegano po lesie i łąkach, on dowodził, bo był najsilniejszy i najsprytniejszy we wszystkim. Ustępował tylko Marcinowi Lipowskiemu. I to nie dlatego, że Marcin był silniejszy, ale po prostu znał swoje miejsce, a ojciec kazał mu zawsze ustępować synowi dziedzica. Czy biegali, czy baraszkowali w wodzie, czy bawili się w wojny i podchody, w baśnie czy żarty, zawsze na pierwszym miejscu był Kulik, zwykle on rozdzielał role, on kierował, on przewodził.

Kulik nie lubił Marcina, któremu musiał ustępować, i czasem odgrywał się na jego bracie Mateuszu, bo ten był słabszy, niższy od paru innych chłopaków, więc w tych zabawach bywał nie tylko ustawiany w drugim rzędzie, ale często także na samym końcu. Marcin, ilekroć przejmował dowodzenie, wyznaczał bratu lepsze pozycje, jeśli oczywiście o tym pamiętał, a pamiętał nie zawsze.

- Ja jestem dziedzicem Lipowej - powtarzał. - Do mnie należy przywództwo.

Godzili się z tym wszyscy, także Dominik pani Mariny, który choć starszy nie mógł się równać z Marcinem urodzeniem, łatwiej zresztą dawał sobą powodować. Kiedy byli młodszy, mieli za naturalne, żeby przywoził Kulik jako najsilniejszy i największy. Ale teraz Marcin wiedział już wiele więcej i w żadnym razie nie chciał ustąpić synowi chłopca Musiał ustąpić Kulik.

Nie ustąpił od razu. Chłopcy stoczyli walkę o przywództwo grupy, prawdziwą walkę na pięści, kopniaki i zęby. Wygrał Kulik, rozbijając Marciniowi nos, ale zwycięstwem cieszył się tylko do wieczora Jego ojciec, dowiedziawszy się o wszystkim, zlał tyłek synowi, chwycił go za ucho i zawlókł do dworu, padając do nóg pani, przepraszając i błagając o litość.

- On głupi, pani! - wołał ze łzami w oczach do Hedwigi. - Głupi, bo taki młody. Pomiłujcie! Jednego tylko mam. Jedniutkiego! Czterech miałem, a on jeden się ostał.

Hedwiga znalazła się w nie lada kłopotcie. Nie mogła bowiem płazem puścić tego, że chłopski syn rozbił nos synowi rycerza i przelał jego krew. Szlachecka krew ważniejsza niż cokolwiek innego. Z drugiej strony, Marcin sam się o to prosił, bo przecież zakazała mu bawić się z wiejskimi dziećmiakami w gry i zabawy, które nie przystoją komuś tak dobrze urodzonemu.

- Pomiłujcie! - błagał chłop.

Z kłopotu wybawił Hedwigę jej teść. Pan Jenó przyjechał rano do Lipowej i był świadkiem tej sceny. Teraz dał znak Hedwidze.

- Pomówię z chłopakiem - zapowiedział, marszcząc brwi.

Kulik z synem klęczeli przed rycerzem i beczeli obaj, bo nie było nikogo, kto w obecności pana Jenego chciałby udawać odważnego. Bano się w całej Dolinie jego spojrzenia różnobarwnych oczu i wszędzie, gdzie pokazywała się jego siwa głowa, milkli wszyscy i skłaniali się z szacunkiem.

- Jak było? - zapytał pan Jenego surowo. - Tylko nie łżyj! Trzęsącym się głosem, pochlipując, Kulik opowiedział o wydarzeniach. Jak się bawili, jak go panicz Marcin wyzwiał do walki i jak został pokonany.

- Wcale tego nie chciałem - bronił się Kulik. - Przysięgam, że tego nie chciałem! Jakoś to tak samo wyszło. Ani mu w głowie nie postało, żeby skłamać czy cokolwiek ukryć. Każdy wiedział, że panu Jenego trzeba mówić prawdę

i tylko prawdę. Z różnobarwnych oczu starosty mógł wystrzelić płomień i zabić kłamcę. Wprawdzie pan Jenego uważany był za sprawiedliwego, ale mało to się tu i tam mówi o rozmaitych pańskich sprawach, których zwykły człowiek nie rozumie.

Starosta wysłuchał Kulika, a potem kazał wezwać Marcina.

Chłopak nadszedł, trzymając przy spuchniętym nosie kawał zmoczonej szmaty. Nogi mu się nieco trzęsły, bo i on dobrze wiedział, co wiedzieli inni - wzrok dziadka mógłby z łatwością odkryć kłamstwo.

- Mój wnuku - zapytał pan Jenego - chyba ci ten chłopski syn nie złamał nosa?

- Nie! - zaprzeczył chłopak żywo. - Nie, tylko krew mi się puściła. To właściwie nie jest wcale rana, i tylko trochę bolało...

Pan Jenego skinął, żeby chłopak podszedł i sam obejrzał mu nos. Rzeczywiście, nic wielkiego się nie stało, za kilka dni nie będzie najmniejszego śladu.

- Wyzwałeś tamtego? - zapytał surowo.

Marcin wiedział, że dziadkowi zawsze trzeba mówić prawdę.

- Tak - odpowiedział. - Bo chciał być wodzem tej wyprawy, w którą się bawiliśmy, a przecież to ja mam prawo...

Pan Jenego zmarszczył brwi.

- Więc wyzwałeś. Ty, szlachcic i rycerz, wyzwałeś do walki chłopskiego syna i w dodatku dałeś się mu pokonać. Chwylił chłopaka, przełożył sobie przez kolano i otwartą dłoń wymierzył mu dwa mocne uderzenia.

- To w imieniu twojego ojca - orzekł surowo. - Żebyś więcej nie odważył się tak postępować.

Marcin zacisnął zęby, ale się nie rozplakał.

- To już niedługo - powiedział pan Jenó. - Niedługo przyjdzie pora, kiedy będziesz miał okazję wyzwać i być wyzwanym, ale przez równych sobie. Tylko przez równych! Pojąłeś? Wstyd mi, że muszę ci takie rzeczy tłumaczyć, ale żeby mi to było ostatni raz.

- Zabraniałam mu takich zabaw - tłumaczyła się Hedwiga, której sponiewieranie syna boleśnie legło na sercu. - Wiele razy zabraniałam.

- Zabraniać nie trzeba - zauważył szorstko pan Jenó. - Niech się bawią, jeśli chcą, ale niech się to dzieje wedle porządku. Synowie mojego syna mają przewodzić i tak być musi, nie inaczej. Niechaj się uczą przewodzić i niechaj się uczą nie dać pokonać.

Pochylił się i szorstkim gestem wytarł łzę z policzka wnuka.

- A co z tamtym? - zapytała Hedwiga. - Ukaraliście wnuka, to chyba trzeba, żeby i tamten zapamiętał.

- Słusznie - przytaknął pan Jenó.

Poszedł do miejsca, gdzie Kulik z ojcem czekali na wyrok pana, nadal na kolanach.

Na widok rycerza znowu pochylili głowy i zaczęli prosić o zmiłowanie.

- Zapamiętajcie sobie - zaczął pan Jenó. - Zapamiętajcie, że każdy ma zajmować takie miejsce, jakie mu wyznaczono. Czy to w służbie, czy w pracy, czy w zabawie. Tak jest i tak ma być.'Żeby wasz syn nie ważył się więcej podnieść ręki na mojego wnuka ani na kogo innego ze szlacheckiego rodu.

- Pomijajcie. On jeden tylko u mnie, a przecie nie chciał...

- Słuchaj, gdy mówię! - syknął starosta. - Nie dokładaj do jednej zbrodni jeszcze zbrodni nieposłuszeństwa. Postano-

wilem. Weźmiesz chłopaka do chaty i złoisz mu skórę, jak ja bym mu złoił, gdyby chciało mi się ręce brudzić. A potem wytłumaczysz mu, żeby umiał się zachować. Żeby zaś zapamiętał, jak ma postępować, każesz mu przez sześć niedziel z samego rana przychodzić do dworu i służyć młodemu panu. A wszystko ma wykonywać, jak mu zostanie poleczone. Obaj padli do nóg pana, że wyznaczył tak niewielką karę.

- Niech wam Bóg zapłaci, łaskawy panie - wołał stary. - Niechaj wam zapłaci wszystkim, co najlepsze, za wielką łaskę. Pewnie, że będzie służył chłopak panu Marcinowi. I nie przez sześć niedziel, ale dwanaście!

Hedwiga odetchnęła z wdzięcznością.

- Dziękuję wam, teściu, za pomoc. Tyle spraw zbiera się wokół mnie i czasem zupełnie nie wiem, co mam robić. Dziękuję, że mi wskazaliście drogę postępowania.

- Nie dziękuj. Sama wiedziałabyś, jak masz postąpić, nawet gdyby mnie tu nie było. A co do tego, że jest ci ciężko, wiem dobrze. Przyjechałem nacieszyć się wnukami. Zaprosić też was chciałem wszystkich do Krasawy. Twoja świekra nie czuje się dobrze, a chętnie zobaczyłaby wnuki. Może przyjedziesz za dzień czy dwa?

Marcin nic nie wiedział o poleceniu dziadka, kiedy więc rankiem następnego dnia pojawił się we dworze Kulik, chłopcu wydało się to nadzwyczajną bezczelnością.

Marcin czuł jeszcze uderzenia dziadka i na widok sprawcy tego wszystkiego ogarnęła go złość.

- A ty tu czego? - warknął.

- Przyszedłem wam służyć - odpowiedział Kulik niepewnie.

- Służyć? - zdumiał się Marcin. - Jak to służyć?

- Robić, co każecie - tłumaczył się Kulik. - Jak pan starosta rozkazali.

Był zmieszany, miał na sobie świąteczny, najlepszy strój, pod którym bolało go całe ciało, od licznych ciosów, jakich mu nie szczędził ojciec, pilnie wykonujący polecenie pana Jeny.

- Dziadek... pan starosta tak przykazał? - oczy Marcina zrobiły się okrągłe ze zdumienia.
- Tak, panie. Kazał mi przychodzić każdego ranka i wykonywać wszelkie wasze rozkazy. Więc przyszedłem.
- Na moje rozkazy? - upewniał się młody Lipowski.
- Tak, panie.
- Jakie moje rozkazy?

Kulik rozejrzał się niespokojnie.

- Nie wiem, panie. Ghyba wszystkie.
- Wszystkie?
- Tak, panie.

Marcin uśmiechnął się zadowolony. Tyłek od razu przestał go boleć i wcale nie bolał rozbity wczoraj nos. A dziadek, ten wielki, wspaniały, silny i straszny dziadek okazał się taki dobry i łaskawy.

- Kazał ci przychodzić każdego dnia?
- Z samego rana.
- I będziesz moim służącym?
- Tak, panie.
- A jak długo masz przychodzić?
- Przez dwanaście niedziel.
- Dwa... dwanaście? - nie mógł uwierzyć Marcin.

Był więc prawie dorosły. Z rozkazu dziadka miał własnego sługę. Własnego pachołka, któremu dziadek przykazał wykonywać wszelkie polecenia. Zapragnął natychmiast wypróbować, jak działa podarunek dziadka.

- Usiądź - rozkazał.

Kulik posłusznie spełnił jego życzenie.

- Wstań!

Kulik poderwał się.

- Zapnij mi ciżmy.

Chłopak podniósł się szybko i natychmiast pochylił się do nóg panicza. Marcin pęczniał z dumy. Jakie to przyjemne uczucie!

- A teraz stań na rękach!

Kulik był niezwykle sprawny i wszyscy podziwiali jego sztuczki i sposoby. Podskoczył teraz i wypełnił polecenie.

- Idź do tamtego drzewa - rozkazał Marcin. - Na rękach. A teraz z powrotem!

To był naprawdę bardzo przyjemny poranek.

- Wystarczy! - powiedział Marcin w końcu. - Chodź tu! Oprowadził chłopaka po całym dworze, dokładnie prezentując go domownikom i całej służbie.

Zatrzymywał pacholków i dziewczki, koniuchów i parobków.

- To mój pacholek.

- Patrzcie, to mój pacholek.

- Mój sługa.

- Sam pan Jenó, mój dziadek, mi go przydzielił.

- Mój pacholek. Zrobi wszystko, co tylko zechcę.

- Jest tylko na moje rozkazy!

Pokazał Kulika także Mateuszowi, a ten choć odczuł ukłucie zazdrości, nic nie powiedział. Mateusz był przyzwyczajony do tego, że najpierw otrzymywał wszystko jego starszy brat. Teraz zapytał tylko, czy i on dostanie swojego pacholka.

Marcin zaniepokoił się nagle.

- Ty? - zapytał. - Czemu miałbyś mieć służącego? Przecież jesteś młodszy. I tobie nie rozbito nosa.

Mateusz żałował, że to nie on wdał się w bójkę z Kulikiem, ale było za późno. Sługa został już przydzielony jego starszemu bratu.

- A jak długo będzie ci służył? - zapytał. Marcin dumnie wypiął pierś.

- Oj, długo. Przez dwanaście niedziel. Mateusz zrozumiał to po swojemu.

- Dwanaście niedziel? To bardzo długo. Ale potem będzie moim pacholkiem?

Był młodszy i najczęściej wszystko trafiało do niego w drugiej kolejności, kiedy już znudziło brata. Mateusz nie miał właściwie o to żalu. Był przyzwyczajony, wiedział, że tak po prostu jest.

Marcin wykrzywił się.

- Też coś! Ty nie potrzebujesz sługi. Bo ty nie musisz się uczyć, jak trzeba rządzić dworem i ludźmi. Ja będę tu panem, ty zawsze pozostaniesz drugi.

Cały dzień Marcin pokazywał bratu i wiejskim dzieciakom, jakim to jest panem i jak bardzo słucha go przydzielony mu pacholek. Kulik nie sprzeciwiał się. Został widać przekonany, że w stosownym zachowaniu leży jego interes, bo bez zmrużenia powieki wykonywał wszelkie polecenia panicza.

Ponieważ pan Jenó nie zabronił, ani nie zabroniła tego matka, Marcin wyprowadził gromadę dzieciaków poza dwór, gdzie w pełni mógł okazać swoją władzę.

Kulik biegał na rozkaz, wchodził na drzewa, zbierał kamyki i gałęzie, udawał konia, psa i owcę, dźwigał pas Marcina, jego kapotę, wiązał mu buty, na barana przenosił panicza przez strumień i wykonywał różne inne czynności.

Uśmiechał się przy tym szeroko, bo tak sobie życzył jego pan.

Pod wieczór Kulik był już mocno zmęczony swą rolą, ale uśmiechał się nadal i nadal udawał, że wszystko wykonuje z radością i zadowoleniem. Wzdychał tylko czasem albo zaciskał zęby, jeśli zadanie przerastało jego siły i musiał się nieźle napocić nad jego wykonaniem.

Wreszcie, znowu nad brzegiem potoka, padł na trawę i długo dyszał ciężko.

- Wstawaj! - rozkazał Marcin.

- Już, panie - dyszał ciężko Kulik. - Już wstaję, tylko nieco odetchnę.

- Ja orzekam, kiedy będziesz odpoczywał. Wstawaj natychmiast!

- Kiedy nie mogę - uśmiechał się Kulik niepewnie. - Pozwólcie odpocząć tylko krztynę i już wstanę. Nawet przecież wół musi odpocząć czasem, bo inaczej...

- Co takiego? - zezłościł się Marcin. - Jeszcze będziesz pyskował?

Pobiegł do krzaków leszczyny, ułamał patyk sporych rozmiarów i grubo na palec, którym zaczął okładać Kulika po grzbiecie.

- Jeszcze będziesz pyskował?! Śmiesz pyskować w mojej obecności? A masz, a masz za nieposłuszeństwo!

Kulik osłonił głowę ramionami i wstał po chwili, akurat gdy Marcin skończył okładanie, bo patyk się złamał. Wstał i zabawa zaczęła się od początku. Znowu był koniem, psem i wołem roboczym, biegał, skakał i nosił.

Wieczorem wrócił do chaty skonany, płakał w pośłaniu, a ojciec nacierał go oliwą.

Cierp, cierp - mówił stary. - Im wcześniej nauczysz się cierpieć, tym szybciej i łatwiej będzie ci znieść ten świat.

A rano Kulik musiał znowu iść do dworu i czekać na młodego pana Lipowskiego. Tym razem Marcin Lipowski był chytrzejszy. Zaraz przy spotkaniu wymierzył Kulikowi kilka ciosów przygotowaną witką.

- Żebyś pamiętał o posłuszeństwie - napomniął.

Później kilkakrotnie znajdował okazję, żeby różgą przypominać Kulikowi o jego miejscu przy swoim boku i o jego obowiązkach.

Kulik płakał wieczorami, wodził wzrokiem za milczącym ojcem, ale nawet nie odważył się zapytać, czy w jakikolwiek sposób ojciec mógłby mu pomóc lub choćby doradzić. Bał się, że nie znieśie owych wyznaczonych dwunastu niedziel i miał żal do ojca, że sam z własnej woli podwyższył wymiar kary. Przecież pan Jenó kazał służyć tylko sześć niedziel, a to ojciec wyrwał się z dwunastoma. Po co gadał tyle? Po co gadał? A może pan Jenó nie powiedział nic swojemu wnukowi albo i sam pan Marcin ograniczył się do sześciu tygodni? O, jak by to było pięknie! Przecież minęły już cztery dni, zostało więc tylko sześć tygodni i...

W niedzielę Marcin był zajęty swoimi sprawami i Kulik miał dzień odpoczynku. Ale w poniedziałek wszystko za-

częło się od początku. Ciężkie zadania, bicie, wyzwiska. Trwało to aż do środy. Tylko do tamtej środy.

Tego dnia bawili się w lesie. Marcin Lipowski był dziadkiem Jeny, sławnym rycerzem, który pokonał na bagnach groźnego rozbójnika Maramę, a przy tym uratował życie królowi Kazimierzowi. Mateusz był królewskim dostojnikiem, inni uczestnikami nagonki. Na podmokłych leśnych polanach Kulik miał być Maramą, ściganym i przeznaczonym do zabicia.

Przedtem Kulik był koniem, którego dosiadał Marcin -król, wymachujący bronią.

Władca poruszał się wolno, bo wierzchowiec Marcina szybko się męczył, ale i teraz nie pozwalał się nikomu wyprzedzić.

- Co to? - krzyczał na swojego rumaka. - Czemu stoisz? Naprzód, naprzód! Zbój. Marama jest blisko.

Bił witką po bokach, ale Kulik był zmęczony, poobdzierane łokcie i kolana nie pozwalały mu biec szybciej. Marcin zeskoczył zezłoszczony.

- To szkapa, nie koń! - wrzeszczał niezadowolony. - Mam cię znowu spruć, żebyś biegł dalej? A może jesteś głodny, co?

Rozejrzał się, wyrwał z ziemi garść zielska i zaczął je siłą wpychać do gardła Kulika.

- Jedz! Jedz, koniu! Jedz, natychmiast, żebyś miał siłę! Kulik niechętnie, ale brał do ust trawę i zielsko, gryzł je i łykał. Potem, gdy zmęczony i rozplakany padł, Marcin uznał, że tej nauczki wystarczy. Nagle odeszła mu ochota do dalszej zabawy.

Zostawił wszystkich, jak to miał w zwyczaju, odwrócił się na pięcie i pobiegł, nie mówiąc nikomu dokąd i po co. Staęli niepewni, co mają robić, a Kulik leżał, blady, ciężko dyszący.

- Idźcie - powiedział. - Dogonię was. Więc poszli.

Ale Kulik ich nie dogonił. Nie ruszył za nimi. W ogóle nie podniósł się z ziemi. Umarł tam, na leśnej polanie. Oj-

ciec znalazł Kulika następnego dnia, kiedy rozzłoszczony w najwyższym stopniu, zmusił dzieciaki, żeby zabrały go w miejsce, gdzie ostatni raz widziały jego syna, któremu miał ochotę wygarbować skórę.

Chłopiec leżał i nie dawał żadnego znaku życia. A jego ojciec nie miał siły, żeby krzyczeć o niesprawiedliwości losu. Dowiedziawszy się o wszystkim, pan Jenó nachmurzył się i bardzo surowo rozmawiał z wnukiem.

- Postąpiłeś źle - powiedział. - Doprowadziłeś do śmierci swojego pachółka.

- Nie wiem, czemu umarł - bronił się chłopak. - Czy był taki słaby czy co... Nie wiem, panie dziadku.

- Postąpiłeś bardzo źle - powtórzył pan Jenó. - Zniszczyłeś coś, co nie było twoje. Okazałeś nieposłuszeństwo. Dałem ci tego pachółka, ale tylko na jakiś czas, nie na zawsze. Nie należał do ciebie, tylko do mnie. Zniszczyłeś więc coś, co należało do mnie. I jak mi teraz zapłacisz za szkodę? A ponadto, choć był to chłopak z gminu, ty miałeś nad nim opiekę, bo był twoim sługą, więc twoim obowiązkiem było o niego dbać. Dobry gospodarz dba o swojego konia, o swojego psa, wypada więc dbać także o swojego pachółka.

- Zatrął się - ocenił ksiądz Franciszek. - Najadł się zatrutego zielska. Od tego umarł.

- Prawda - przyznał pan Jenó. - Zatrął się zielskiem, które pewnie uważał za marchew.

A potem dodał:

- Przyjdźcie do mnie którego dnia. Porozmawiamy o ziołach i zielsku. Chyba macie rację, że więcej lekarstw powinno być w waszej aptece. Opowiem wam, co jeszcze pamiętam i może z tego skorzystacie.

Miejsce po ojcu

Za nieodpowiedzialną zabawę, która doprowadziła do śmierci Kulika, pani Hedwiga wyznaczyła swojemu synowi dodatkową karę. Kazała mu klęczeć na grochu i na jakiś czas ograniczyła rozrywki. Przeciwno tej karze protestowali zarówno pani Alena, babka chłopca, jak i ksiądz Franciszek.

- Trzeba, byście waszego Marcina traktowali łagodniej -upominał duchowny. - To jest wasz pierworodny i spadkobierca pana Mikołaja. Zostało to wyraźnie zapisane w jego testamencie.

Hedwiga zacisnęła usta.

- Spadkobierca, ale dopiero po śmierci mojego męża. Tymczasem, póki nie mamy pewnych wieści, wszystko ma być tak, jak postanowił wcześniej. A postanowił, że do jego powrotu cała władza we dworze należy do mnie. Także władza nad dziećmi. I nikt nie będzie mi w tej sprawie rozkazywał.

- Nikt ci nie rozkazuje, córko - tłumaczyła się pani Alena. - Chodzi jednak o to...

Hedwiga wstała.

- Matko, z całym dla was szacunkiem, będzie tak, jak ustanowił Mikołaj. Zatem moi synowie będą karani przeze mnie i wedle mojego uznania.

Kara minęła szybko i chłopcy wrócili do swoich codziennych zajęć. Dwa razy w tygodniu pilnie ćwiczyli łacinę pod okiem księdza Franciszka, resztę czasu mogąc przeznaczyć na swoje sprawy.

Było jak dawniej. Pani Hedwiga wyjechała, więc mogli poświęcać czas na zabawy, ćwiczenia, wyprawy do okolicz-

nych miejscowości. Pani Roksana wcale ich nie trzymała przy sobie, jak się początkowo obawiali. Jej stosunek do nich zmienił się, co napawało ich dumą. Bo byli traktowani bez mała jako dorośli. Mogli chodzić gdzie i kiedy chcieli i nie wyrzucała im ani rodzaju zabaw ani czasu, jaki poświęcali na poszczególne czynności. Bywało, że nawet broniła przed natarczywością księdza Franciszka, wedle którego pilnie powinni uczyć się książkowej wiedzy.

Najbardziej lubili ten czas, kiedy w Dolinie nie było też dziadka, bo starosta Jenó poddawał ich drastycznym próbom i ćwiczeniom. Kiedy zaś wyruszał gdzieś w swoich sprawach, mogli oddawać się tylko zabawie i przyjemnościom.

- Jesteśmy już dość duzi - mówił Marcin. - Wystarczająco, żeby traktowano nas jak dorosłych. A przynajmniej mnie, skoro jestem starszy od Mateusza.

W kościele świętego Marcina starszy z braci zajmował miejsce swojego ojca - po prawej stronie ołtarza. Działo się to za przyzwoleniem wszystkich, także księdza Franciszka i pani Roksany. Bo to ona podpowiedziała, żeby usiadł tam po raz pierwszy, a kiedy usiadł, miejsce to mu się spodobało. Wszyscy patrzyli na niego, jakby był już panem na Lipowej, a nie tylko dziedzicem swojego ojca Mikołaja, którego losy nadal były niewiadome.

- Idź - powiedziała pani Roksana. - Czas najwyższy, żebyś tam usiadł. Miejsce pana na Lipowej nie może być puste. To jego ziemia, jego kościół i jego ludzie. Teraz ty jesteś panem Lipowej, więc ty powinieneś tam siedzieć.

Marcin się wahał, a ona lekko pchnęła go w plecy. Niepewnym krokiem podszedł do ławy, usiadł i początkowo spłoszonym, potem już pewniejszym wzrokiem potoczył wokoło. Nikt się nie sprzeciwił. Miejsce paha nie może być puste. Nie ma pana Mikołaja, ale jest jego syn i prawowity następca. Jest więc tak, jak być powinno.

I Marcin szybko przyzwyczał się do tej myśli. Przecież

ludzie kłaniali się mu na drodze, pod kościołem i na dworskim dziedzińcu. Całkowicie zajął już miejsce swojego ojca. Był panem na Lipowej.

Jesienią, kiedy Hedwiga wróciła już do dworu, dopiero po dwóch tygodniach zebrała się do kościoła ze wszystkimi. Tamtej niedzieli ledwo weszli do świątyni, Marcin poszedł na miejsce pana i zajął je bez wahania.

Hedwiga syknęła niezadowolona, myślała, że to przez przypadek. Ale Marcin robił wrażenie, że to dla niego normalne zachowanie i Hedwiga zrozumiała, że tak się rzeczy miały podczas jej nieobecności.

Kazała mu ustąpić. Powiedziała to szeptem, ale udał, że nie słyszy, a nie chciała się z nim dochodzić przy ludziach, szczerze wypełniających kościół. Potem jednak, gdy wrócili do dworu, odbyła z synem rozmowę.

- Nie będziesz siadał na miejscu ojca, póki on ci na to nie zezwoli - oświadczyła.

Marcin sprzeciwił się stanowczo.

- Miejsce pana nie może być puste - wyrecytował. - Jeśli nie ma mojego ojca, powinien je zajmować jego następca. A przecież to ja jestem jego następcą.

- Prawda - zgodziła się Hedwiga. - Jesteś jego następcą, ale jego nie ma tylko przez jakiś czas. Wiec to miejsce powinno zostać próżne, póki twój ojciec nie wróci.

Siedzieli w świetlicy przy wielkim stole. Hedwiga zdziwiła się, że jest w swoich poglądach osamotniona. Marcina niespodziewanie poparła jego babka.

- Chłopak ma rację - powiedziała pani Alena. - Miejsce pana nie może być puste. Ludzie muszą wiedzieć, że ktoś nad nimi sprawuje sąd i opiekę. Skoro nie ma Mikołaja, to miejsce należy się jego synowi.

- Prawda - poparł panią Alenę ksiądz Franciszek. - To jest teraz miejsce Mikołajowego syna.

Ale Hedwiga upierała się przy swoim i wbrew zdaniu wszystkich zabroniła synowi zajmować miejsce po ojcu. I kiedy była w Lipowej, w kościele miejsce pana Mikołaja pozostawało puste.

Marcin coraz częściej znajdował oparcie w osobie pani Roksany, która utwierdzała go w przekonaniu, że kiedyś wszystko wokoło będzie należało tylko do niego. Hedwiga czasem sprzeciwiała się, obawiała się, żeby nie stało się to na niekorzyść jej młodszego syna, ale i ona musiała przyznać, że wywody Roksany nie są pozbawione słuszności.

- Lipowa będzie należała do chłopców - mówiła Roksana. - Jeżeli jednak nie przygotują się oni odpowiednio wcześniej do objęcia tutaj rządów, boję się nawet pomyśleć, co się stanie. Przecież pan Jenó już nieraz mówił, że majątkowi brakuje męskiej ręki i gotów byłby się tym wszystkim zająć. A czym się to skończy? Ma wprawdzie swoje lata, ale to nad podziw krzepki mężczyzna. Zajmie majątek, porządzi nim, wycisnie co się da, a potem co? Potem da go swojej ukochanej córeczce. Elżbietka przecież gotowa do zameścia, pójdzie za Konrada i majątek też przejdzie w obce ręce. Tego chyba byśmy nie chcieli

Podobnego zdania była i pani Marina, która chętnie przytakiwała tak mądrym i przezornym widzeniu spraw. I kiedy Hedwiga czasami złościła się na pomysły Roksany, to właśnie Marina ją uspokajała.

- Ona ma rację, siostró. Nic się nie bój. Obie o to wszystko zadbamy.

- Ale to przecież bzdura, żeby mój teść chciał wyzuć z dziedzictwa swoich wnuków - broniła się Hedwiga.

- Wcale nie mówi, że on. Ale kiedy majątek dostanie się Elżbietce albo jej mężowi, to co wtedy? Nie przyuczysz chłopców do obrony, to nie obronią.

Hedwiga musiała się w końcu zgodzić z taką argumentacją. Poza tym stale była zajęta, niewiele czasu mogła poświęcić domowi, bo znowu wybierała się na Wawel.

A gdy wyjechała, ławę Mikołaja w kościele znowu zajął jego starszy syn. Ludziom w Dolinie to się podobało, mieli to za właściwe i stosowne. A poza tym nikt się już nie spodziewał powrotu pana Mikołaja.

Jesień tego roku Hedwiga spędzała w Lipowej, dziwując się widocznej wszędzie pomyślności. Chłopcy rośli, majątek odzyskiwał dawną świetność, w spichrzach i skrzyniach przybywało wszelkiego dobra.

- Gdyby Mikołaj mógł to zobaczyć - wzdychała Hedwiga.

- Zobaczy - pocieszała Roksana. - Któregoś dnia przecież wróci. Ale chyba raczej nie na majątek będzie patrzył, a na ciebie. Dla niego nie ma nic ważniejszego od ciebie. Pamiętaj o tym i trochę o sobie zadbaj.

Hedwiga była blada, wyczerpana, jej oczy zasnuwał smutek.

- Dziękuję Bogu, że mi dał taką przyjaciółkę - mówiła do Roksany.

Pod koniec listopada spędziła tydzień u swojej siostry w Potoku. I Marinie wiodło się nieźle, czym chciała się przed siostrą pochwalić. Niby za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki ustały nieszczęścia na polach, rok był bardzo udany.

- Trzeba by chyba jakie wotum dać - mówiła Marina. -Może obie pojedziemy na Jasną Górę podziękować Najświętszej Pannie?

Hedwiga zgodziła się natychmiast i obiecała dać cały kamień wosku na wotywnie świece.

- W przyszłym tygodniu - postanowiła. - Na świętego Mikołaja.

Wracając do domu, już z daleka Hedwiga zobaczyła obce konie przed dworem i nagle zamarło jej serce. Mikołaj! To musi być Mikołaj!

Nie zważając na nic, ani na pogodę, ani na błoto, pędziła przed siebie, wpadła na podwórze, przebiegła nim do drzwi, nie zatrzymując się i niczego nie słysząc.

Trzy obce konie, okryte bogatymi czaprakami, stały

przed dworem, kudłaty pacholek w nowym kaftanie niespiesznie dłuwał w nosie.

Zanim Hedwiga znalazła się przed drzwiami, te otworzyły się i stanął w nich piękny rycerz, szeroko uśmiechając się na widok nadbiegającej.

- Pani Hedwigo! Szczęśliwa to dla mnie godzina, że was widzę!

Hedwiga zatrzymała się, obiema dłońmi nadal przytrzymując suknię, by jej nie umoczyć w kałużach, ale nie odpowiedziała na pozdrowienie. Jej oczy sięgały za plecy rycerza, szukając tam tego, kogo od tak dawna wypatrywała. Ktoś tam był, ale to nie mógł być Mikołaj. Mikołaj nie czekałby na nic, Mikołaj pobiegłby jej szukać i szukałby dotąd, aż znalazłby.

- Witajcie, panie Zawiszo - odkłoniła się wreszcie.

Był to jej dobry znajomy z królewskiego dworu, pan Zawisza Czerwony, zaufany dworzanin królowej Jadwigi, któremu towarzyszył nieznany jej starszy rycerz.

- Jestem Jurasz Odrowąż ze Skotnik - ukłonił się gość. Podobnie jak jego towarzysz miał na twarzy uśmiech i jasność, jak ktoś, kto jest roznosicielem dobrych nowin.

- Przybyliśmy na osobiste życzenie miłościwej pani królowej - oznajmił pan Zawisza.

Hedwiga pomyślała, że może królowa ma dla niej jakie wieści o Mikołaju, ale nadzieja ta szybko zgasła. Gdyby tak było, posłowie już by to powiedzieli, od tego by zaczęli.

Ale odetchnęła z ulgą. Ich rozradowane miny nie wskazywały na to, że mają do przekazania smutne nowiny. Dobre i to. Boże, dobrze, że nie przyjechali z najgorszym!

Czasami myślała, jak się zachowa, kiedy wreszcie nadejdą oczekiwane wieści. Oczekiwała dobrych, ale przecież...

Przecież mogły być smutne. Właściwie sama nie wiedziała, co wołałaby. Czy wołałaby, żeby nadeszły jakiegokolwiek wieści, byle tylko nadeszły. Nie, nie wołałaby. Przecież on żyje. Mikołaj żyje i jest gdzieś w świecie. A skoro jest, to ona,

jego żona, oczekuje tylko dobrych wiadomości. Czekala już tak długo, poczeka jeszcze trochę.

- Całe królestwo radować się będzie tak wspaniałymi nowinami! - zapowiedział Zawisza. - Całe królestwo! Co mówię, cały świat! Miłościwa pani wyprawiła nas w drogę, byście jako jedna z pierwszych mogli dzielić z nami tę radość. Otóż niedługo... urodzi się dziedzic królestwa!

Hedwiga aż zaniemówiła ze zdumienia. Pani Jadwiga spodziewa się dziecka? Pó tyłu latach? Toż to prawdziwy cud! Natychmiast pobiegła przodem, wołając do służby o przygotowanie należytego przyjęcia gości, a tych prowadziła do świetlicy, rozpytując o wszystko.

- Jakież wspaniałe nowiny przyszło wam roznosić po świecie! - cieszyła się. - Siadajcie, dostojni goście. Siadajcie i wszystko mówcie po kolei!

Pan Zawisza długo i szczegółowo musiał wyjaśniać i opowiadać. Jak pojawiła się nadzieja, jak królowa modliła się w skupieniu, jak nabrała pewności. Teraz już wszystko było najpewniejsze. Medycy dworscy nie mieli najmniejszych wątpliwości - królowa Jadwiga, w blisko trzynaście lat trwającym małżeństwie, pierwszy raz spodziewa się potomka.

- Co to będzie za święto! - cieszył się pan Zawisza. - Co za święto!

Siedzieli długo w noc, bo Hedwiga wypytywała o wszystkie wieści i plotki z dworu. I zapraszała gości, żeby zabawili w Lipowej dłużej.

- Pilno nam do Krakowa, radować się z innymi - odpowiedział pan Zawisza. - Miłościwa pani kazała nam tylko was zawiadomić i wracać. Ale wcześniej...

Wstali obaj zza stołu i złożyli przed Hedwigą głęboki ukłon.

- Ale wcześniej mam was o coś zapytać w imieniu najjaśniejszej pani - oświadczył pan Zawisza uroczyście. - Czy zechcecie przybyć na dwór, pani Hedwigo? Moimi ustami miłościwa pani prosi, żebyście jako jej wierna przyjaciółka przejechali na dwór i byli z nią aż do połogu.

Hedwiga była zaskoczona, choć osobiste zaproszenie królowej bardzo jej pochlebiało.

Nagle zabrakło jej zwykłej pewności siebie.

- Chciałabym pojechać - odpowiedziała zmieszana. - Serdecznie podziękujcie miłościwej pani i powiedzcie, że czyni mi swoim zaproszeniem wielki zaszczyt. Na pewno będzie tam wiele panien dworskich i dam, a ja tutaj... Wydaje mi się, że nie bardzo mogę opuścić teraz Lipowej, bo...

Pani Roksana, biorąca dotąd w rozmowie udział raczej niewielki, teraz wkroczyła stanowczo.

- Co też ty mówisz, Hedwigo! - zawołała z naganą i zwróciła się do pana Zawiszy: - Oczywiście, że może jechać, i to choćby zaraz.

Hedwiga niepewnie spojrzała na przyjaciółkę.

- Oczywiście - powtórzyła Roksana. - Dawałam sobie radę podczas twoich nieobecności wcześniej, dam radę i teraz. Chłopcy są już dostatecznie duzi, żebyś się nie musiała o nich martwić, a sama widziałas, że i w gospodarskich sprawach umiem sobie poczynać nie najgorzej. Jedź, oczywiście, że jedź.

- Pojadę - orzekła Hedwiga.

Pan Zawisza i pan Jurasz odjechali następnego ranka do Krakowa, wioząc słowo pani Hedwigi, że ta ściągnie na dwór w możliwie najkrótszym terminie. Hedwiga cieszyła się bardzo i zaraz zamówiła u księdza Franciszka trzy śpiewane msze W intencji szczęśliwego porodu.

Zima na Wawelu

Na dwór wawelski Hedwiga ruszyła jednak dopiero znacznie później, w połowie stycznia. Jej wyjazd teraz był trochę inny, bo nie jechała czekać na Mikołaja, na chwilę

tylko, ale na wiele miesięcy i musiała się do tego wszystkiego odpowiednio przygotować.

- Spełnić życzenie królowej to nie jest wpaść jak po ogień - przekonywała ją Roksana. - Będziesz tam przez kilka miesięcy i trzeba, żebyś się do tego stosownie przygotowała. Jesteś damą z możnego rodu i takie też musi być nie tylko twoje zachowanie, ale i twoja wyprawa.

Hedwiga ruszyła w dwoje sań, wioząc ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy i nadziwić się nie mogła, czemu jest ich tak wiele, bo dawniej, gdy była dworką królowej, cały jej majątek mieścił się w jednej skrzyni. Teraz wiozła ze sobą wiele rozmaitych sukien i płaszczy, trzewików, kapeluszy i rękawiczek, bo przecież nie była młodszą córką skąpego pana Orkeny, ale żoną pana na Lipowej, który wprawdzie nie powrócił z wyprawy, lecz jego majątek był w stanie kwitnącym. Miała własne konie, własną służbę, pachółka i dziewczynę do posług, a także koniuszego.

- Lepiej liczyć na siebie - powiedziała jej siostra Marina, która pamiętała dawny pobyt Hedwigi na dworze i często jej wypominała, że przyniósł on Hedwidze niewiele w sprawach majątkowych.

- Przyda się, przyda - mówiła, kiedy Hedwiga chciała zostawić w domu suknię, pas lub trzewiki. - Jeśli będziesz miała nadmiar, zawsze możesz odesłać to do domu.

Hedwiga nie poznawała siostry. Marina była serdeczna i nawet nie skąpa. Może to nie tylko wspólne lata, ale ostatnie czasy, gdy obie przeżywały ten sam los, znowu zbliżył je do siebie. Marina zawsze była obok niej, a tylko czasem odsuwała się obrażona czy gniewna, by potem wrócić do Hedwigi, której rady ceniła sobie bardzo wysoko, którą podziwiała i której często zazdrościła. Teraz, kiedy zostawił ją pan Jordan, Marina znowu murem stała za swoją siostrą.

- Nie możesz przynosić wstydu naszemu rodowi - powtarzała. - Sobie, ale i mnie także.

Zadbała zatem o odpowiednie wyposażenie sań Hedwigi.

W drogę zabrał się też z Hedwigą ksiądz Franciszek. Ten miał bawić w Krakowie krótko, dla załatwienia jakiejś tylko swojej sprawy, i po prostu korzystał ze sposobności, żeby pojechać w grupie podróżnych. Hedwiga była bardzo rada z jego towarzystwa, ale też liczyła, że sprawy nie zatrzymają księdza w stolicy zbyt długo, bo miał wrócić, żeby pracować nad wpajaniem jej synom chrześcijańskich obowiązków. Uczyć ich, pilnować i czuwać nad ich odpowiednim wychowaniem.

Pani Alena, dowiedziawszy się o kolejnym wyjeździe Hedwigi, a zaniepokojona o wychowanie wnuków, próbowała coś w tej sprawie zrobić.

- Tak nie powinno być - mówiła do męża. - Nasza synowa zaniedbuje swoje powinności.

Pan Jenó, choć rozumiał, że Hedwiga poza chęcią usłużenia królowej liczy na wieści o Mikołaju, był podobnego zdania. Synowa zbyt mało przebywała w Dolinie. Z rzadkich wieści, jakie tu dochodziły, wynikało, że Hedwiga dobrze się czuje na dworze królowej Jadwigi - bierze udział w ucztach, jeździ na polowania, uczestniczy w zabawach i piasach.

- Coś trzeba z tym zrobić - mówiła pani Alena. - Choć właściwie jestem zadowolona ze sposobu, w jaki pani Roksana wychowuje chłopców, to jednak uważam, że ich matka także ma jakieś obowiązki i nie może zdawać się na obcą bądź co bądź niewiastę. Gdybyż była chociaż ich ciotką, jak pani Marina. Ale to przecież obca kobieta. Co my o niej naprawdę wiemy?

- Stara się o naszych wnuków jak może - przypomniał pan Jenó. - Za to chyba winniśmy być jej wdzięczni.

Pani Alena, choć doceniała przyjaźń, jaka łączyła jej synową z królową Jadwigą, upierała się, że tym razem Hedwiga powinna odmówić.

- Stale tylko przesiadujesz na Wawelu - mruzczała niezadowolona. - A kto zajmie się chłopcami?

- Przesiaduję na Wawelu z bardzo konkretnego powodu

- broniła się Hedwiga. - Czekam na mojego męża a waszego syna.

Zawsze tak odpowiadała i zawsze robiło to na pani Alenie odpowiednie wrażenie. Aż do tego razu. Dwa już lata minęły od czasu, gdy Mikołaj pociągnął na wyprawę krzyżową i już od dwóch lat nie było od niego żadnych wiadomości.

- Mikołaj nie wróci - powiedziała pani Alena.

Była rozdrażniona, sama pogodziła się już ze stratą, a upór synowej przeszkadzał jej o tym myśleć spokojnie.

- Nie wróci - powtórzyła z naciskiem. - Niechaj to wreszcie dotrze do ciebie, że jego już nie ma. Wreszcie się pogódź z losem danym od Boga i zajmij się czymś pożytecznym. Zajmij się w końcu swoimi dziećmi!

Na Wawelu panowało radosne, pełne nadziei oczekiwanie. Pani Jadwiga spodziewa się dziecka! Po wielu latach niepewności Królestwo Polskie będzie miało dziedzica!

Upewniwszy się, że ten cud dzieje się naprawdę, król Jagiełło wysłał gońców na cały świat, by nieśli radosną nowinę i zawczasu już zapraszał na chrzciny.

- To ja, to wszystko za moją zasługą! - chwalił się wieszczek Alaban, pierwszy mieszkaniec Wawelskiego Wzgórza, jakiego po przyjeździe zobaczyła Hedwiga.

- To ja przekonałem króla i wyliczyłem według księżycy, kiedy powinien odwiedzić sypialnię królowej - mówił Alaban. - To ja spowodowałem, że król doczekał się wreszcie dziedzica. Wszyscy ci mędrcy i lekarze są do niczego. Hedwiga z trudem rozpoznała wieszczka, znanego jej od dawna, bo przybył do Polski jeszcze z Jogajłą, litewskim pretendentem do polskiego tronu. Dziś Alaban, podobnie jak dawniej, nosił wielką siwą brodę i jak dawniej chodził w długą do ziemi prostej białej szacie, a jego wzrok płonął. Ale szata ta była z pięknej materii, a nie z lichego płótna, wieszczek miał kunsztownie ułożone włosy i wiele drogocennych ozdób na szyi oraz na przegubach rąk.

Znowu cieszył się królewską łaską. Jak dawniej za nic miał medyków królewskich, astrologów, uczonych i wszystkich księży, a oni odpłacali mu nienawiścią. Ale nikt nie śmiał zrobić mu krzywdy, bo znajdował się pod monarszą opieką. Kiedyś król, niezadowolony z wróżb, kazał z jego izby wyrzucić wszystko, a samemu wieszczkowi groził rozpalonym żelazem, ale teraz Alaban znowu płał się w dostatku. W wawelskiej baszcie, gdzie miał mieszkanie, gromadził złoto, przekonany, że daje ono cudowną moc.

- To ja - powtarzał. - To ja.

Dłuższy czas Hedwiga, zaskoczona zmianami na dworze, przyzwyczajała się do tej wszechobecnej radości. Nikt już nie pamiętał o dawnym smutku. Dwór żył wielką, ogromną, wszędzie widoczną nadzieją. Całe lata oczekiwano na królewskiego potomka, składano ofiary i modły, więc teraz radość buchała wszędzie, na Wawelu, na dworze, w mieście, w całym królestwie.

Po spełnieniu się przepowiedni, król znowu obdarzył Alabana łaską, choć królowa nie chciała go widzieć. To doradcy pani Jadwigi, zazdrośni o powodzenie wieszczka, stale podkreślali, że Alaban jest poganinem, a jako taki nie powinien przebywać pod chrześcijańskim dachem. Z trudem znosili jego obecność nawet w wawelskiej baszcie, gdzie umieścił go monarcha.

- Miłościwa pani w żadnym wypadku nie powinna widywać Alabana - podkreślali. - To może jej zaszkodzić.

Straszili, że wieszczek może rzucić urok na królewskiego potomka już w łonie jego matki lub sprawić, że dziedzic królestwa urodzi się zniekształcony albo nawet martwy.

Pilnowali zatem bacznie, żeby Alaban nie opuszczał swojej izby, a kiedy królowa jechała do zamku, stawali przed basztą tłumną gromadą, żeby choć przez przypadek nie spotkały się ich spojrzenia.

Pani Jadwiga podlegała zresztą wielu innym ograniczeniom. Uczeni doktorzy uważali, że wszystko może mieć

wpływ na matkę, a przez to i na uformowanie się dziecka.

- Miłościwa pani powinna oglądać tylko rzeczy ładne i przyjemne - przekonywali, zalecając jej unikanie przykrych widoków. - Żadnej krwi, powykręcanych członków albo brzydkich zwierząt.

Zalecali także, żeby zaprzestała osobistego wspomagania biednych, bo nie brakowało wśród nich ludzi chorych i kalekich w sposób przykry dla ludzkiego oka.

- Niechaj tymi sprawami zajmie się kto inny - przekonywali. - Miłościwa pani musi dbać o siebie jak nigdy dotąd. Sprawa ta stanowiła przedmiot ustawicznego sporu całego dworu z panią Jadwigą, która nie chciała zrzec się tego, co dotąd uważała za swoje obowiązki. Nie chciała słuchać medyków ani doradców, a ci chodzili skarżyć się do króla i do biskupa Piotra Wysza, który miał na nią największy wpływ.

- Dla dobra królestwa - powtarzali. - Dla dobra królestwa miłościwa pani powinna zachowywać się teraz inaczej niż do tej pory. Spokojniej, uważniej. Powinna też zaprzestać tych swoich umartwień, wyrzeczeń i postów.

Królowa opierała się, ale wywody, które przedstawiali biskup Wysz i uczonego dominikanin, Henryk Bitterfeld, w części trafiły jej do przekonania.

- Spróbuję - obiecała. - Nie wiem doprawdy, co mogłoby zaszkodzić dziecku, że świadczę jałmużnę. Przecież to działanie dobre, miłe Bogu, a do takiego właśnie namawiają mnie medycy i takie czyniłam zawsze w miarę swoich możliwości.

- Nikt was nie odstręcza od czynności chrześcijańskich, miłościwa pani - zapewnił biskup Wysz. - Chodzi tylko o to, żebyście więcej zdali się na ludzi sobie życzliwych. Pani Hedwiga chętnie wam przecież dopomoże w działaniach dobrotliwych, jak to już nieraz robiła.

- Trzeba rozważyć proporcje - tłumaczył z kolei ojciec Henryk. - Znaleźć złoty środek pomiędzy osobistą pobożnością a sprawami królestwa. Macie obowiązki, najjaśniejsza pani. Obowiązki wobec korony. Musicie nam długo pa-

nować, musicie być silna i zdrowa. Nie ma potrzeby, byście chodzili na dwie albo i trzy msze do kościoła, kiedy wystarczy jedno nabożeństwo dziennie. Poza tym myślę, że koniecznie trzeba, byście na jakiś czas zrezygnowali z osobistego klęczenia podczas mszy.

- Nie ma mowy - odparła królowa.

- Ale tak trzeba - przekonywał dominikanin. - Kazałem wstawić na wasze miejsce w katedrze grubo wyściełany klęcznik i gorąco namawiam was, miłościwa pani, byście z niego chcieli korzystać.

- Dla waszego dobra, miłościwa pani - przypomniała Hedwiga.

- Dla dobra królestwa - dodał biskup Wysz.

Choć nadal z oporami, królowa Jadwiga zgodziła się skorzystać z nowego udogodnienia, co było tym bardziej uzasadnione, że znowu nie czuła się najlepiej. To się zdarzało i wcześniej, ale nie przywiązywała do tego zbytnej wagi. Jednak z tygodnia na tydzień ograniczała ilość rozrywek, coraz mniej chętnie wychodziła poza Wawel.

Tego ranka pp raz pierwszy nie doczekała końca nabożeństwa.

- Wyprowadź mnie - szepnęła do Hedwigi. - Muszę się na chwilę położyć. Ale zrób to tak, żeby nikt nie zauważył.

Zadanie nie było łatwe z uwagi na tłumy, jakie zwykle kłębiły się na Wawelu, ale szczęśliwie o wczesnej porze nikt chyba z dworzan nie widział, że pani Jadwiga lekko słaniając się na nogach, opuszcza katedrę, prowadzona pod ręce przez dwie damy.

Towarzyszące monarchini dworki zostały powiadomione, że pod surową karą mają trzymać języki za zębami.

- Nie trzeba, żeby martwili się przedwcześnie król i inni - powiedziała im Elżbieta Melsztyńska, która pomagała Hedwidze odprowadzić monarchinię. - To tylko chwilowa słabość miłościwej pani.

Ale w komnacie sypialnej obie damy wpadły w przerażenie, kiedy królowa z trudem usiadłszy na wyściełanej ławie, jęknęła:

- Czuję się źle. Pewnie nie doczekam rozwiązania. Hedwiga przeżegnała się z przestraczem.

- Nie wolno tak mówić, najjaśniejsza pani! - zawołała z przejęciem. - Nie wolno tak myśleć, a co dopiero mówić! Królowa uśmiechnęła się smętnie. Była blada, oddychała płytko, pot pojawił się na jej czole. Ale zabroniła wzywać medyków.

- Tylko mnie zmęczą - powiedziała. - A ja chcę odpocząć.

Musiała rzeczywiście czuć się niedobrze, gdyż bez sprzeciwów pozwoliła się dworkom rozebrać z wierzchnich szat i położyć w łożu, czego nigdy dotąd nie robiła podczas dnia.

- Wymyślcie coś - zażądała od Hedwigi. - Nie chcę, żeby wiedziano o mojej niemocy.

- To się zdarza - zauważyła Elżbieta Melsztyńska. - Niewiasta w poważnym stanie ma prawo poczuć się zmęczona. Obie z Hedwigą wiemy o tym dobrze.

Żona wojewody Spytka z Melsztyna miała pięcioro dzieci, więc można było polegać na jej doświadczeniu.

- Czy mamy zostać, najjaśniejsza pani? - dopytywała się Hedwiga.

- Nie trzeba - uśmiechnęła się królowa. - Poleżę trochę i wstanę. Skoro obie mówicie, że to nic takiego, nie ma chyba powodów do obaw.

Królowa miała wielkie zaufanie do obu dworek. Zarówno Hedwiga, jak Elżbieta były jej dworkami jeszcze wówczas, gdy jako dziecko przebywała na dworze swojej matki w węgierskiej Budzie.

Obie były nieco starsze od pani Jadwigi, pochodziły z jednego roku, a przyjechały do Polski razem z przyszłą królową. Czasem przebywały na dworze obie, czasem tylko jedna, ale wcześniej zawiązana przyjaźń trzymała je razem. Często zamykały się we trzy w komnacie i omawiały jakieś ważne niewieście sprawy, paplając po madziarsku, który był językiem dzieciństwa ich wszystkich.

Obie dworki z czasem się wydały i spędzały sporo czasu z mężami i dziećmi w swoich posiadłościach, ale kiedy spo-

tykały się na dworze, często zachowywały się jak wiele lat wcześniej. Dawna przyjaźń przetrwała wszystkie te lata i dziejowe burze.

- Pewnie, że to nic takiego - potwierdziła teraz Hedwiga. - Zmęczenie to rzecz zwyczajna dla niewiasty przy nadziei.

- Odpoczynek wam pomoże, najjaśniejsza pani - dodała pani Elżbieta.

Zbierały się do wyjścia, zamierzając zostać w drugiej komnacie, gdzie zwykle czekały na wezwanie.

- A co z wieczorną ucztą? - zapytała Elżbieta. - Czy mamy uprzedzić, że nie przyjdziecie, miłościwa pani?

Królowa pokręciła głową.

- Niczego nie odwołujcie - poleciła. - Przecież do wieczora wydobrzeję.

Chciała uczestniczyć w uczcie pożegnalnej, jaką wydawano na Wawelu dla najdostojniejszych panów, co lada dzień wyruszali na wyprawę wojenną.

Król posyłał ludzi kniaziowi Witoldowi, który w poprzednich latach odniósł kilka zwycięstw nad Tatarami i teraz chciał ich pokonać ostatecznie. Polskie posiłki miał poprowadzić wojewoda Spytek, mąż pani Elżbiety.

Obie dworki złożyły ukłon królowej i przeszły do sąsiedniej komnaty, cicho zamykając drzwi za sobą.

- Trzeba chyba znowu porozmawiać z medykami - westchnęła pani Elżbieta. - Martwi mnie, że miłościwa pani jest w takim złym nastroju.

- Może ucza ją nieco ożywi - pocieszyła Hedwiga. - Ochmistrz Jakusz mówił, że przygotował liczne niespodzianki.

Jakiś kuglarz z Italii będzie pokazywał niebywałe sztuki, będą francuscy pieśniarze i wiele innych atrakcji. Z doktorami możemy porozmawiać oczywiście, ale obawiam się, że królowa nie zechce zastosować się do ich wskazań.

- Musimy spróbować jakoś ją przekonać - martwiła się pani Elżbieta.

- Zrobimy jak zwykle - postanowiła Hedwiga. - Będzie-

my postępować sprytnie i rozważnie, żeby pani królowa nie była narażona na przykrości.

Siedziały przy oknie, zerkając na dziedziniec, po którym kręciło się wyjątkowo wielu ludzi. Kończyły się przygotowania do uczyty, kończyły się też przygotowania do wyjazdu panów polskich na wojenną wyprawę.

- Ruszają już wkrótce - westchnęła pani Elżbieta, podziwiając barwne poczty na dziedzińcu.

Nagle chwyciła przyjaciółkę za rękę w mocny uścisk.

- A jeśli wyprawa nie będzie udana? - zapytała przyciszonym głosem. - Jeśli spotka ich coś niedobrego?

Hedwiga oddała uścisk.

- Wypluj to - odpowiedziała stanowczo. - Nie wolno wyzywać losu.

Ale pani Elżbieta była poważna.

- Hedwigo - spojrzała na nią. - Dawno już chciałam cię zapytać. Jak ty sobie radzisz sama? Ja bym chyba oszalała, gdyby mój mąż nie wrócił. Wiesz, czasem o tym myślę i wtedy się boję. Mam takie małe dzieci. Przecież mój najmłodszy skończył dopiero rok. Co będzie, jeśli wojna zabierze mi męża?

- Wypluj to - powtórzyła Hedwiga. - Wypluj. Chyba dość tych nieszczęść naokoło.

Pani Elżbieta splunęła przez lewe ramię, a następnie uściskała przyjaciółkę.

- Zawsze umiesz wszystkich pocieszyć. Potem dodała:

- Może i ciebie kiedyś ktoś pocieszy. Hedwiga potrząsnęła głową.

- Mnie to nie jest potrzebne - odpowiedziała pewnym głosem. - Ja kocham mojego Mikołaja.

Karczma „Rzym”

Wiosna 1399

Król Władysław Jagiełło nic nie wiedział o złym samopoczuciu małżonki. W tydzień po pożegnalnej uczcie dla rycerzy wyruszających na tatarską wyprawę udał się na łowy w okolice Olkusza.

Myśliwska chata, w której się zatrzymał, znajdowała się na skraju lasu, nad małym strumieniem. Wprawdzie ledwie o pół mili na zachód był zamek Rabsztyn, ale monarcha niewiele czasu spędził w jednej z siedzib pana Spytka z Melsztyna.

- Wolę proste rozrywki - powiedział i zaraz następnego dnia z niewielkim tylko orszakiem udał się do myśliwskiej chaty.

Tutaj, zmęczony całodziennym bieganiem konno po lesie, mógł wieczorem w małej grupce dworzan siedzieć przy ogniu wprost na mchu i nie musiał przejmować się brakiem stołu.

Nie lubił, żeby mu w łowach przeszkadzano sprawami państwowymi, ale kiedy się takie trafiały, nie uciekał od obowiązków. Siedząc przy ogniu i rozkoszując się pieczystym, słuchał doradców, prowadził tajne rokowania, wydawał polecenia, wzywał na posłuchania poszczególnych rycerzy i urzędników dworu.

Był ciepły kwietniowy poranek. Dobrze znający monarsze zwyczaje starosta holsztyński, Jenó z Krasawy, siedział opodal króla pod grubą sosną i z braku innego zajęcia popatrywał na mrówki, które ożywione wiosennym słońcem, od samego świtu pracowicie wypełniały swoje zadania.

Starosta, który przyjechał poprzedniego dnia, wezwany pilnym poleceniem przywiezionym tydzień wcześniej

przez umyślnego posłańca, czekał teraz na swoją kolej.

Król rozmawiał najpierw z dwoma duchownymi i kilkusobową delegacją kupiecką. Najwięcej czasu poświęcił jednak małemu człowiekowi w zwykłym skórzanym odzieniu. Dla patrzącego z boku mogło wyglądać, że król omawia z przewodnikiem plan najbliższych łowów. Ale pan Jenó, który miał znakomitą pamięć do twarzy, rozpoznał w rozmówcy króla gońca kanclerza Zakliki i domyślił się, że monarcha musiał otrzymać jakieś ważne wieści. Nikt, nawet sam kanclerz królestwa, nie odważyłby się zabierać czasu przeznaczanego na ulubioną królewską rozrywkę.

Wreszcie strojny paż przyszedł po holsztyńskiego starostę i poprowadził go do miejsca, gdzie na niskim pieńku siedział Jagiełło i grzebał w ziemi trzymanym w ręku patykiem.

Pan Jenó, który znał króla od dawna, po zamyślanej twarzy monarchy od razu domyślił się, że chce mu powiedzieć coś ważnego, a to coś winno pozostać w tajemnicy. Jagiełło bywał milczący i skryty, wszelkie rozmowy lubił prowadzić na powietrzu, pod namiotem czy przy obozowym ogniu. Uważał, że w salach i komnatach zamków wiele jest uszu, a nie wszystkie należą do osób życzliwych.

Nawet gdy bywał w grodach i zamkach swoich braci, wyprowadzał ich na rozmowy, rokowania czy plany do puszczy, najczęściej pod pretekstem polowania.

Król podniósł wzrok, uśmiechnął się do rycerza i gestem dał znak, żeby ten usiadł naprzeciw. Kiedy starosta zajął miejsce, monarcha przez chwilę patrzył na niego w milczeniu.

- Posiwielście - zauważył w końcu. - Niedługo będą was nazywać Białym Panem Jenó.

- Posiwiąłem - zgodził się zagadnięty, odpowiadając uśmiechem. - A wy wciąż nie, miłościwy panie. Pewnie to za sprawą jakichś litewskich czarów...

Był ledwie o kilka lat starszy od króla, ale włosy monarchy nie miały w sobie jeszcze siwych nitek.

W ciemnych oczach Jagiełły pojawiło się rozbawienie.

- Słusznie - potwierdził. - Wszyscy mówią, jak bardzo czary mi w panowaniu pomagają. A skoro mówią, musi w tym być choć trochę prawdy. Przecież inaczej nie mówiliby.

Zachichotał, a potem spoważniał nagle i dodał:

- Może więc i część prawdy jest w plotkach, że nie za moją sprawą dostojna pani Jadwiga urodzi wkrótce następcę tronu...

Pan Jenó chciał się sprzeciwić, lecz król powstrzymał go gestem ręki.

- Zostawmy to. Przecież wiem, co mówią.

Zamilkli. Po chwili twarz Jagiełły przybrała poprzedni, skupiony wyraz.

- Ale sił wam nadal nie brakuje - powiedział, jak gdyby spodziewał się potaknięcia. - Wiem, jak dzielnie stawaliście pod Bolesławcem.

- Nie brakuje - zgodził się rycerz. - Możecie na mnie liczyć, miłościwy panie. Pojadę, gdzie potrzeba.

- To wiecie, że chcę was gdzieś wysłać? - zaciekawił się król i zaraz sam sobie odpowiedział: - No, tak. Przecież wy wiecie więcej, niż chcecie się przyznać. Wszyscy mówią, że niegdyś umieliście czarować, a pewnie czasem i dziś z tych umiejętności korzystacie. Sam też zawsze to podejrzewałem. Prawda to?

- Skoro ludzie tak mówią - uśmiechnął się Jenó. - Gdyby nie było prawdą, przecież nie mówiliby.

Król przeżegnał się niespiesznie.

- Mój brat - przypomniał. - Mój brat Skirgajło, świeć Panie nad jego duszą, niegdyś przyprowadził do mnie was obu.

Was i waszego Mikołaja...

Starosta pochylił głowę.

- Pamiętam, miłościwy panie - odpowiedział cicho.

Pan Jenó z synem znajdowali się w poselstwie, które kilkanaście lat wcześniej zaproponowało litewskiemu kniaziowi Jogajle polską koronę.

- Wiele mi przedtem o was opowiadał - ciągnął król. - O Polakach, o waszym dworze, o królu Ludwiku, a najwię-

cej to chyba o waszym synu. Mówił i o srebrnorogim jeleniu, którego koniecznie chciał upolować wasz Mikołaj...
- Ścigałem srebrnorogiego ze świętej pamięci królem Kazimierzem - przypomniał Jenó. - Wtedy król został ranny i niedługo umarł. A srebrnorogi do dziś biega po lasach... Król Kazimierz zezwolił, że jeśli nie upoluję srebrnorogiego, żeby to zrobił Mikołaj, ale teraz... teraz...

Pan Jenó przymknął oczy. Zdawało się, że od tamtych dni upłynęło pięćdziesiąt albo i sto lat. Alena na progu dworu. Mikołaj stawia pierwszy krok. Mikołaj biega za ojcem Ambrożym. Mikołaj ucieka do klasztoru na Jasnej Górze. Mikołaj powraca z krzyżackiej niewoli. Mikołaj strzela do Ostasza. Mikołaj żeni się z Hedwigą. Mikołaj trzyma na kolanach swoich synów. Mikołaj...

- Czy to naprawdę było już tak dawno? - szepnął. - Czy wiecie, najjaśniejszy panie, że go już prawie nie pamiętam? Człowiek w skórzanym odzieniu, z którym niedawno rozmawiał król, rzeczywiście okazał się pilnym posłańcem kanclerza Zakliki.

- Stary przyjacielu - monarcha przyciszył głos. - Mam zadanie dla kogoś znacznie mniej godnego niż wy, ale to was chciałbym zapytać, czy zechcecie się go podjąć...

- Możecie na mnie liczyć, najjaśniejszy panie - zapewnił pan Jenó.

- Zadanie jest tajne - wyjaśnił król. - Kiedyś podobnego podjął się dla mnie pan Bartosz z Odolanowa, ale nawet gdyby jeszcze żył, zawahałbym się przed powierzeniem mu tej misji. Bo teraz sprawa jest daleko trudniejsza. Łatwo przy tym przedobrzyć, a tego bym sobie nie życzył...

- Słucham, miłościwy panie.

- Książę Opolczyk jest już stary, ale nadal nie zaprzestał knowań i znowu źle się dzieje wokół mnie za jego sprawą. W dodatku mój stryjeczny brat Witold od nowa knuje z Krzyżakami, a nie brak mi i innych przeciwników... Jeśli

się podejmiecie tego zadania, będę was prosił, byście nie wspominali o nim miłościwej pani. Nie byłaby zadowolona.

- Nie miejcie o to obaw, najjaśniejszy panie. Zachowam wasze słowa przy sobie.

Król uśmiechnął się.

- Liczyłem na to - przyznał się. - To zadanie poufne i tajne, nikt nie powinien wiedzieć o nim przed czasem. A i później może być tak, że nie wszystkim pójdzie w smak i niektórzy zechcą wziąć was na języki...

- Tego się nie boję - uśmiechnął się w odpowiedzi pan z Krasawy. - Boję się raczej, czy podołam, jeśli zadanie jest tak trudne.

Król roześmiał się półgłosem.

- Dla was nie ma trudnych zadań, panie Jenie - zauważył. - Wiem to dobrze. Trudność tylko w tym, żeby was do niektórych spraw przekonać, ale jeśli zostaniecie przekonani, wypełnicie wszystko, jak należy.

- Wam nie odmówię, najjaśniejszy panie. Powiedzcie tylko, czego oczekujecie ode mnie.

- Do końca sam tego nie wiem, panie Jenie. Człowiek, którego przy mnie widzieliście, będzie na wasze usługi, gdybyście chcieli przysłać mi jaką wiadomość. On też przekaze wam moje ostateczne postanowienia w tej sprawie. A chodzi o osobę nowego biskupa włocławskiego. Jan Kropidło, siostrzeniec Opolczyka, wystarał się o tę godność u papieża, obrażony na mnie, że mu nie dałem dojść do arcybiskupstwa w Gnieźnie. Teraz pojedzie do Włocławka i będzie graniczył z Krzyżakami, idąc ręką w rękę przeciw mnie i przeciw królestwu...

Panie Jenie bardzo ubolewał, że nie ma przy sobie Osta, przekonany, że dawny giermek najbardziej przydałby mu się w tej wyprawie. Pani Alena niepokoiła się przygotowaniami prowadzonymi przez męża, a na wspomnienie Osta przeleciała się jeszcze bardziej. Ale Jenie nie wyjaśnił jej niczego więcej.

-Nie martw się. To nie jest daleka wyprawa i wcale nie taka niebezpieczna - zapewnił tylko. - Chętniej rąbię mieczem niż rozumem, więc Oset przydałby mi się dla swojej wrodzonej zmyślności, bo może pozwoliłby szybciej zakończyć to zadanie.

Pani Alena osobiście pilnowała przygotowań męża, chodziła za nim krok w krok i ubolewała, że ledwie przyjechał, znowu musi jechać.

- Muszę - przypomniał, uspokajającym gestem głaskając żonę po głowie. - To moja więcej niż setna wyprawa i nic mi się nie stanie, jak nic nie stało się do tej pory. Chroniła mnie twoja miłość i twoje modlitwy.

- Ale zawsze boję się, że może ci przytrafić się coś złego. Pan Jenó zatrzymał się i uśmiechnął smutno.

- Co złego mogło się nam przydarzyć, już się stało - powiedział cicho. - Czy nie wszystkie nadzieje pokładaliśmy w naszym Mikołaju? A teraz jego nie ma i nigdy już nie będzie. Co może się nam zdarzyć gorszego?

-Nie mów tak - poprosiła. - Pamiętaj, że jesteś potrzebny mnie. I jesteś potrzebny swoim wnukom. Teraz nawet bardziej, kiedy nie ma Mikołaja.

- Nie martw się - powtórzył. - To tylko drobna sprawa, o jaką prosił mnie mój król. Wrócę za dwie, trzy niedziele.

Pan Jenó wziął ze sobą w drogę aż ośmiu żołnierzy z zamkowej załogi w Holsztynie, w większości wiernych i zaufanych, których znał od dawna i na nich mógł polegać bez zastrzeżeń. Zabrał też czterech uzbrojonych pachołków, ich głównym zadaniem było zadbać o wierzchowce i dwa konie przeznaczone pod juki.

O zbrojnych przygotowaniach nic nie powiedział żonie, nie chcąc jej niepokoić, bo od razu domyśliłaby się, że wybiera się na wyprawę nie tylko trudną, ale i niebezpieczną.

Wojny wprawdzie nie było, ale tak liczny i uzbrojony orszak nikt nie szykuje dla zabawy. Starosta nie wyjaśniał swoim celu wyprawy, nakazał im tylko, by mówili, że

jadą do Poznania, gdyby ich po drodze rozpytywano. W tę też stronę ruszyli szybkim pochodem na północ, kierując się przez Kłobuck, Wieluń i Sieradz.

Niespodziewanie zatrzymali się w Kaliszu, w karczmie tuż za miejskimi murami.

Żołnierze dziwowali się, że pan Jenó, który tak naglił do pośpiechu przez całą drogę, teraz nagle stracił chęć dalszego podróżowania i najwyraźniej zamierza zatrzymać się na dłużej. Wyglądało na to, że na coś czeka, a to coś miało się zdarzyć wkrótce, bo gdy jeden z pachołków, który z tej okolicy pochodził, prosił o możliwość odwiedzenia swoich ziomków, ofuknął go surowo i kazał zostać.

Czekali sześć dni. Karczma nazywała się „Rzym”.

Biskup Jan, zwany Kropidło, miał około czterdziestu lat. Był niewysoki, szczupły, o długich falujących włosach, którym zawdzięczał swój przydomek. Kiedy niedawno król Jagiełło pokonał ostatecznie Opolczyka, najstarszy siostrzeniec starego księcia został głową rodu, najważniejszym w tym gronie, ze zdaniem którego liczyli się pozostali. Był porywczy, gwałtowny i niezwykle uparty. Kiedy sobie wbił co do głowy, nie było sposobu, żeby przekonać go do zmiany zdania. Gotów był upierać się nie wiadomo jak długo i nawet wbrew oczywistym korzyściom, jakie się z tym wiązały. Gdy coś zapamiętał, pamiętał już na zawsze. Jedną z takich spraw była niechęć do polskiego króla. Nie tylko dlatego, że Jagiełło odebrał książętom opolskim wielkie posiadłości, ale także przez to, że utrudniał księciu Janowi karierę duchowną i na każdym kroku dawał do zrozumienia, że Jan nie może się spodziewać monarszej łaski. Sprzeciwił się jego kandydaturze na stolec arcybiskupi w Gnieźnie, choć to przecież Jan, wówczas biskup włocławski, był jednym z tych, którzy koronowali go na polskiego monarchę.

Biskup nadjechał w orszaku liczącym ze dwa tuziny ludzi. Właśnie papież ponownie powołał go na biskupstwo

włocławskie i Jan Kropidło zdązał do swojej diecezji. Nie spieszył się, bo mało się interesował typowymi kościelnymi sprawami, i jak dawniej miał zastępców, którzy pilnie wypełniali jego polecenia.

Podróżował specjalnym wozem, zaprzężonym w czwórkę koni, przestronnym i wygodnym. Za tym pojazdem szedł wóz kryty płótnem, załadowany ruchomym dobytkiem księcia, okutą skrzynią, zastawą stołową, pościelą, szatami, futrami. Wozu pilnowało kilku zbrojnych. Taboru strzegło też kilku zbrojnych i kilkunastu pacholców, mających również za zadanie ułatwić panu podróż - służący, podczaszy dbający o trunki, pokojowiec troskający się o sypialnię, koniuszy, a także dwaj księża, świecki i zakonny, którzy nie opuszczali pana Jana na krok.

Poruszali się wolno, bo książe źle znosił niewygody, więc odpoczynki musiały być długie, a wcześniej starannie zaplanowane.

W karczmie „Rzym” wszystko zastali już przygotowane. Ogrzane posłanie, zastawione stoły.

Biskup usiadł za stołem, mając przy sobie księży, sekretarza, a naprzeciw kilku panów, strojnych i dumnych. Reszta orszaku także cisnęła się dookoła. Ktoś grał na lutni, ktoś stukał do taktu cynowym kubkiem.

Jan Kropidło jadł, rzucał kości za siebie, kawałkiem płótna wycierał podbródek z tłuszczu, śmiał się i okazywał łaskę. Był skąpy i rzadko komu ofiarował coś naprawdę cennego. Ale łaskawie śmiał się z żartów, z wesołych i rubasznych piosenek, jakich mu nie szczędzono.

I właśnie wtedy do sali wszedł Jenó z Krasawy, rozepchnął tłum dworaków i stanął naprzeciw biskupiego stołu. W rękę trzymał obnażony miecz. Jego ludzie rozeszli się po izbie. Zamilkły śmiechy, żarty i lutnia.

Pan Jenó wyciągniętym palcem wskazał dostojnego gościa gospody.

- Janie biskupie, w imieniu króla, jesteście aresztowani!

Zaskoczenie było tak wielkie, że nikt się nie poruszył. I nikt nie stanął w obronie. Czekali na rozkaz swojego pana, a biskup dostał czkawki. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydać głosu. Odezwał się dopiero, gdy pochwyciwszy dzban, wypił z niego spory łyk wina. Wypił, westchnął i dopiero wtedy rozdarł się na całe gardło.

Ale było za późno. Napastnicy rozbroili już ludzi biskupa, a jego samego wzięli na powrót i zamierzali wywlec z gospody.

Jan Kropidło tupał nogami i zaciśniętymi pięściami wymachiwał przed nosem pana Jeny.

- Jak śmiesz?! - wołał. - Ja księżę i biskup! Ja pan!

Ale konopny sznur krępował jego ruchy i niewiele mógł wskórać poza krzykiem.

- Zbrodnia! - krzyczał. - Świętokradztwo!

Jeno z Krasawy wyciągnął palec do góry i czekał, aż krzyżący przerwie dla złapania oddechu.

- Łotrze! - krzyczał biskup Jan. - Bandyto! Obwiesiu! Złodzieju! Zdrajco! Świętokradzco! Człeku bezrozumny, który nie wiesz, co czynisz! Będziesz wisiał. Na drzewie będziesz dyndał, że ośmieliłeś się podnieść rękę na kogoś takiego jak ja! Ani dnia nie pożyjesz więcej! Ani godziny! Mnie napadać, mnie wiązać? Mnie, biskupa i księcia?

Czyś ty całkiem rozum postradał? Czyś ty oszalał albo może jesteś pijany?

Pan Jeno doczekał się wreszcie. Kiedy biskup przerwał na chwilę, holsztyński starosta oznajmił:

- Z rozkazu miłościwego króla Jagiełły, jesteście aresztowani. Najjaśniejszy pan wzywa was, biskupie, byście zdali przed nim sprawę ze swojego postępowania. Musicie wytłumaczyć się z konszachtów z Krzyżakami i tajnych układów z węgierskim królem Zygmuntem.

I zwrócił się do obecnych:

- Jest tu ktoś, kto sprzeciwi się królewskiej woli? Ludzie biskupa poglądali po sobie niepewnie, ale nikt się nie odezwał ani jednym słowem. Zaskoczeni, a jeszcze bardziej zatroskani o własną skórę, zaczęli chyłkiem umykać.

Pan Jenó dal znak swoim.

- Wyprowadzić z gospody - polecił. - Tylko bez popychania, z całym szacunkiem.

Wyszli na podwórze, gdzie stała służba biskupa, uzbrojona wprawdzie, ale już niegroźna, bo zobaczywszy sznury na swoim panu uznała, że nic nie może zrobić. Tylko zbrojni z eskorty próbowali ruszyć się z miejsca, lecz trwało to jedynie przez chwilę, póki nie zobaczyli, że ludzie pana Jenó stoją wszędzie, a ostrza ich broni są przygotowane do uderzenia.

- Ja biskup! - krzyczał Jan Kropidło. - Czy nie słyszeliście? Ja pan!

Biskup Jan Kropidło

Biskup siedział na słomie, kwietniowe słońce przygrzewało mocno, więc pachołkowie zwinęli płótno nad wozem, by wiosenny wiatr chłodził twarze, jako że dzień zapowiadał się bardzo ciepły.

Z karczmy „Rzym” ruszyli na południe tylko w dwa wozy. Na pierwszym od strony zaprzęgu biskup, dalej osobista skrzynia dostojnika, z tyłu jego duchowny sekretarz, przestraszony i niepewny. Na drugim wozie worki i pakunki z biskupich bagaży, jakie pozwolono mu zabrać ze sobą. Pan Jenó kazał zostawić powóz jako zbyt wielki, ciężki i w drodze niewygodny. Poza młodym służącym wszystkich innych ludzi z orszaku puszczono wolno.

Konwój otaczali zbrojni pana starosty, którym przykazano, żeby nie odpowiadali na żadne pytania więźnia. Pan Jenó jechał konno obok dostojnika, by go mieć stale na oku.

Biskup Jan, który początkowo mocno się buntował, szybko się jednak uspokoił, zorientowawszy się, że nie grozi mu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo i nawet pró-

bował żartować. Rozglądał się, zgadywał, dokąd jadą i po co.

- To krakowska droga? - pytał. - Chyba krakowska, przecież bym się nie pomylił. Znaczy jedziemy na Wawel? Bardzo dobrze. Stanę przed królem i w oczy mu zarzucę wiarołomstwo i zdradę. Będzie się ciężko tłumaczył przed papieżem ze swojego zachowania. Najmniejsza kara, jaka może go spotkać, to ekskomunika, jak sądzę.

Pan Jeno milczał, nie odpowiadając ani na pytania ani na zaczepki.

- O was nawet nie chcę wspominać - mówił biskup. - Gdybym był złym chrześcijaninem, pewnie i na spowiedź bym wam nie zezwolił przed karą. Ale zezwolę, bo jak rozumiem, wypełniacie tylko rozkazy, sami niczemu nie jesteście winni.

Pan Jeno milczał.

Biskup natomiast rozgadywał się coraz bardziej. Droga, szła wolno, mieli dużo czasu, a biskup Jan był człowiekiem bywałym, wiele wiedział, wiele widział. Skory do żartów, najwyraźniej zrozumiał już, że nie uda mu się uciec i po raz kolejny próbował przemówić dowódcy konwoju do sumienia.

- Wiem, że nie ma w was winy - zapewniał. - Król wam rozkazał, więc wykonaliście wszystko wedle jego woli. Ale przecież macie też i własny rozum. Ten zaś powinien wam podpowiedzieć, jak należy postąpić. Na pewno nie jak głupiec, co chce stracić życie i cały swój ród okryć niesławą i hańbą. Powiadam wam, panie rycerzu, macie jeszcze czas na opamiętanie. Macie czas.

Pan Jeno nie podejmował rozmowy.

- Przecież nie możecie mnie więzić - tłumaczył biskup Jan. - Nie możecie, bo jestem osobą duchowną i nic wam do mnie. Nawet królowi nic do mnie. Jeśli się opamiętacie, puścicie mnie, zapomnę o wszystkim. Po chrześcijańsku przebaczę wasze niegodne postępowanie, puszcę w niepamięć wasze grzechy.

Pan Jeno milczał. Choć było to dla nawykłego do rozkazywania biskupa bardzo trudne, powstrzymał się przed gniewem.

- Posłuchajcie, człowieku - przemawiał, ukradkiem zaciskając pięści. - Przecież nie jesteście głupi i wiecie, że taka sprawa nie może pozostać w tajemnicy. Widzieli wszystko moi dworzanie, widzieli słudzy. To raz-dwa się rozniesie. Raz, dwa dowiedzą się wszyscy, jak ze mną postąpiliście i dowiedzą się, z czyjego rozkazu. Tedy lepiej zróbcie szybki rachunek sumienia, uwolnijcie mnie i odprowadźcie do miejsca, gdzie się spotkaliśmy. Zapomnimy o wszystkim, co dzisiejszego dnia się zdarzyło. Zapomnimy i rozstaniemy się jak przyjaciele. A ja wam ofiaruję co jeszcze za wasz rozum i myślenie...

Pan Jenó nie odpowiadał.

Czasem spotykali kogoś w drodze, mijali wóz albo człowieka, który z ciekawością oglądał zbrojny orszak, ale zawsze w takiej odległości, żeby więzień nie miał możliwości zawezwania pomocy. Jan Kropidło dobrze wiedział, że nikomu z obcych niczego nie zdążyłby wytłumaczyć, więc nawet nie próbował. Nie zaniechał natomiast przekonywania swojego prześladowcy.

- Zrozum wreszcie, człowieku, że nie możesz tak postępować. Przecież sam papież się o mnie upomni i moi bracia, książęta śląscy, inni książęta i możni. Nie jestem byle kim i nie możesz mnie traktować jak zwykłego chłopca. Musisz okazać mi szacunek i zachowywać się stosownie. Natychmiast mnie uwolnij, pocałuj w rękę i idź swoją drogą. Wtedy zapomnimy wszystko, co zostało powiedziane i zrobione. Pojadę swoją drogą, a ty pojedziesz swoją. A właśnie, dokąd się właściwie wybierasz?

- Ja? - odezwał się wreszcie pan Jenó. - Ja wybieram się do mojego dworu, do Krasawy.

- Do Krasawy? Niechaj będzie i do Krasawy. Pewnie to bogaty dwór, bo wyglądasz mi na takiego, co w życiu nzbierał łupów. Ale na pewno nie tyle, ile mógłbyś dostać ode mnie. Bo ja, widzisz, mam bardzo wiele i mieć moją łaskę to na pewno więcej niż łaskę królewską nawet. Powiadam ci, rycerzu!

Na wozie była skrzynia biskupa, okuta i wielka, zaopa-

trzona w kilka zamków. Wedle słów więźnia zawierała przede wszystkim paramenty kościelne, które wiozł do swojej nowej diecezji, ale pewnie była w niej i osobista szkatuła Jana Kropidły. On sam należał do najbogatszych ludzi w królestwie. Nawet nie bardzo się zmartwił, że tak wiele dobra musiał zostawić w Kaliszu.

- Więc jakże będzie, mój panie? - pytał biskup. - Namyślisz się wreszcie i postąpisz po chrześcijańsku?

Skręcili z drogi i wjechali w las. Był ciemny, ponury i groźny. Stały tu sosny, ale młode, gęste, mało przepuszczające światła i księżę zadrżał nagle, gdy odezwał się w gąszczu jakiś ptak a może dziki zwierz.

Jeno zatrzymał się niespodziewanie, dając znak, żeby wóz także stanął.

- Tu - powiedział. - To dobre miejsce.

Większości kazał jechać dalej, a tylko dwom żołnierzom polecił zostać przy sobie.

- Zaraz was dogonimy - wyjaśnił pozostałym.

Kazał zatrzymać się i wcale nie zwracając uwagi na to, jak księżę wodzi za nim przestraszonym nagle wzrokiem, przywołał jednego z żołnierzy.

- Wytnij dwa grubsze paliki - rozkazał. - Jeden większy, drugi mniejszy. Akurat tak, żeby złożone uczyniły krzyż.

Myślę, że na wysokość człowieka, żeby go nie wyrócił wiatr albo jaki zwierz. Przynajmniej do czasu.

Księżę podbladł, bo straszne podejrzenie wkradło się do jego duszy.

- Krzyż? - zapytał z niepokojem. - Po co w lesie krzyż?

- Jak to zwyczajnie - westchnął pan Jeno. - Na grób. Księciu Janowi pociemniało przed oczami. W pobliżu nie było nikogo. Tylko ponury, milczący rycerz i jego ludzie, słuchający go ślepo i zupełnie bez słowa.

- Na grób? - jęknął z niedowierzaniem. - Gdzie tu jaki grób?

Pan Jenó popatrzył chłodno w oczy biskupa.

- Dopiero go wykopiemy - wyjaśnił.

Biskup Jan Kropidło, bez swoich bogatych szat wierzchnich, a tylko w koszuli, siedział w kucki nad świeżo wykopany grobem. Trzymał w ręku krzyż wysadzany drogimi kamieniami, który jeszcze niedawno ozdobił jego pierś. Trząsał się i szczełkał zębami.

Napędce zbity krzyż z sosnowych gałęzi leżał obok.

- Jak to? - pytał. - Bez spowiedzi, bez ostatniego namaszczenia? Jak to? Niby jakiego zbrodniarza? Jak psa?

Pan Jenó milczał. Żołnierze skończyli już swoją robotę i czekali na kolejne polecenia.

Biskup złożył ręce jak do modlitwy.

- Przysięgnę - obiecywał. - Wszystko przysięgnę. Pan Jenó pokręcił głową.

- To na nic - odpowiedział spokojnie. - Teraz przysięgniecie, a potem powiecie, że przysięgaliście pod przymusem.

Nic nie są warte wasze słowa.

- Człowieku, okaż litość - błagał biskup. - Przecież za taką zbrodnię z piekła nie wyjdiesz. A jeśli się zlitujesz, Bóg ci policzy, że nie wykonałeś rozkazu swojego zbrodniczego króla.

- Król jest królem - przypomniał Jenó. - Jego wola stanowi. Skoro wy nie chcecie się do niej stosować, nie możecie liczyć na jego łaskę.

- Przecież przysięgnę! Przysięgnę na honor! Dobrowolnie. Słyszysz, człowieku? Bez przymusu.

Przeżegnał się szybko.

- Uratuj mnie - poprosił. - Przecież możesz to zrobić. Król cię nie ukarze, jeśli przysięgnę dochować mu wierności.

Więcej, jakiego tylko zabezpieczenia zechce, otrzyma je.

Pan Jenó zawahał się.

- Zabezpieczenia? - zapytał - Poręki?

Biskup Jan natychmiast dostrzegł w tym wahaniu szansę. Zerwał się, chwycił rycerza za rękaw.

- Pomyśl! - naciskał. - Przecież mówią, że Jagiełło jest sprawiedliwy. Na pewno ochłonie i jeszcze będzie ci wdzięczny, że mnie poniechałeś. Ułagodzę go. Rozkażę moim braciom, żeby stosowali się do moich poleceń i żeby mu służyli wiernie. Dam zastaw w majątku, w ziemi, w klejnotach. Co tylko zechce!

Pan Jenó westchnął.

- Rad bym wam pomóc - zaczął niepewnie. - Ale jakże mam mieć przekonanie, że mnie nie oszukacie? Jestem tylko rycerzem, nie księciem. Mój syn wiódł niegdyś pewnego księcia do niewoli. Ten słowo dał, że nie umknie, a jednak próbował, bo uważał, że słowo dane nierównemu sobie nie ma znaczenia.

-Ja tak nie postąpię - zapewnił biskup Jan, podnosząc w uroczystym geście prawą dłoń. - Jestem księdzem, więc moje słowo znaczy więcej niż słowo księcia, który biskupem nie jest

- Być może - zgodził się starosta. - Ale co powie król, jeśli wasi bracia nie posłuchają rozkazów i nie odstąpią nieprzyjaciół królestwa?

- Napiszę listy - ożywił się Jan Kropidło. - Napiszę do króla, że godzę się na jego warunki. Napiszę do moich braci, żeby nie okazywali nieprzyjaźni. Do kogo chcecie napiszę, żeby dać Jagielle poręczenie.

Jan zwany Kropidło, księżę i biskup, ubrany już w swoje zwykłe szaty, ponuro patrzył na holsztyńskiego starostę.

- Podeszliście mnie - powiedział z urazą. - Wcale nie zamierzaliście mnie zabić. Podstępem wyłudziście ode mnie listy.

Pan Jenó milczał.

- Teraz mógłbym powiedzieć to, czego się obawialiście. Że przysięgałem pod przymusem i nie zamierzam dotrzymać słowa.

- Nie możecie tego zrobić - przypomniał Jenó. - Już wysłałem zaufanego człowieka z waszymi listami, do króla, do waszych braci. Każdy będzie mógł zobaczyć, co obiecaliście. A obiecaliście, że wasi bracia poręczą za was, wy zaś udacie się do obcych krajów, aż się uspokoją sprawy. Kiedy się tak

stanie, będziecie mogli powrócić. Nie wcześniej, biskupie. Ani dnia wcześniej. Bo jeśli złamiecie przysięgę, nie tylko narazicie się na gniew króla. Może dać rozkaz innym ludziom, żeby nie byli dla was łaskawi jak ja.

- Więc jednak wysłał morderców! Pan Jenó przyciszył głos.

- Na waszym miejscu byłbym ostrożniejszy. Ma król ręce i uszy na rozmaitych dworach i w rozmaitych krajach.

- Więc co będzie ze mną dalej?

- To, co on postanowi. Na razie zawiozę was do mojego domu, gdzie będziecie dobrze traktowani. Król otrzyma list z waszymi przysięgami, pokaże go innym, a potem zdecyduje, czy można wam ufać. Później zaś będziecie moglijechać, dokąd tylko zechcecie.

- Ale poza królestwo? To przecież banicja! Pan Jenó uśmiechnął się.

- Banicja? To raczej królewska łaska, o którą prosiliście w swoich listach. Będziecie mogli pojechać, dokąd dusza zapagnie. Na dwór umiłowanego wam króla Zygmunta, do Bizancjum albo nawet do Chin.

Jan Kropidło wzruszył ramionami.

- Też mi łaska! Do Bizancjum.

Ale zaciekawił się królewską propozycją.

- A te Chiny to gdzie? Pan Jenó uśmiechnął się.

- Nie mam pojęcia. Ale słyszałem, że dalej już nie można.

Zanim dotarli do Krasawy, starosta odebrał jeszcze od biskupa Jana przyrzeczenie, że ten nie będzie poruszał się po Dolinie bez przydzielonej eskorty.

- Jeśli na razie zamilczycie o wszystkim, co się stało, nikt się o niczym nie dowie - obiecał. - Wy będziecie traktowani jak gość. Nie każę was zamykać w zimnej komnacie Holsztyna, a będziecie mogli chodzić w miarę swobodnie i czekać na list królewski.

Jan Kropidło od razu dokonał wyboru.

- Wolę izbę we dworze - zgodził się. - O ile będzie jako tako uprzątnięta.

Starosta udał, że nie słyszał przytyku.

- Póki król nie wyda wam żelaznych listów bezpieczeństwa, wszystko może się zdarzyć - zauważył w odpowiedzi.

-Więści rozchodzą się szybko, a nie chcielibyście chyba, żeby trafili tu waszym śladem jacyś źli ludzie, którzy zechcą wam uczynić krzywdę.

- Może przyszliby nie tylko nieprzyjaciele - mruknął biskup, bo przecież do jego ziem było zupełnie niedaleko.

-Łatwo może tu trafić siła, co zdobyłaby wasz kurnik, a mnie zwróciła wolność.

Pan Jenó nie podzielał jednak tego zdania. Siły starego księcia Opólczyka były rozbite, on sam chorował i nie było nikogo, kto poważyłby się na czyn tak zuchwały, który niewątpliwie zaskutkowałby królewskim gniewem.

- Obiecałem najjaśniejszemu panu zapewnić wam bezpieczeństwo - przypomniał. - I zamierzam wykonać ten rozkaz wbrew wszelkim przeciwnościom. Ale po co utrudniać sprawy tam, gdzie mogą być uładzone? Jeśli zastosujecie się do mojej próby, będziecie siedzieli sobie w wygodnej izbie i dam wam możliwość swobodnego poruszania się po Dolinie. Albo umieszczę was na zamku w Holsztynie. Tam was nikt nie dostanie, ale i wy nie będziecie mogli wychylić za mury choćby i nosa.

- Zgoda, zgoda - zapewnił szybko biskup Jan. - Przecież już przyjąłem wasze warunki.

Pani Alena przywitała gościa serdecznie i natychmiast za-krzątnęła się, żeby przyszykowano mu wygodne mieszkanie, skoro miał spędzić w Krasawie kilka tygodni. Tylko ona jedna w całym dworze wiedziała, w jakim charakterze przebywa w Krasawie biskup Jan.

Wyszykowano kwaterę dla gościa, pan Jenó przydzielił

mu służbę, a sam sprawował cichą jego ochronę. Biskup zajął narożną izbę, w której mieszkali niegdyś ojciec pana domu i franciszkanin Ambroży. Pani Alena kazała od nowa wymościć łożę, przygotowano nowy siennik i nową pościel, a samą izbę wyposażono dodatkowo w tkaniny na ściany i pulpit do czytania. Umieszczono w niej także kufer księcia i inne bagaże, w których miał swoją zastawę i liczne szaty. Dostał też gość nową misę i dzban na wodę, które to przedmioty miały mu służyć do ablucji.

Biskup chodził tylko i przypominał sobie, czego jeszcze potrzebuje, a pani Alena skwapliwie spełniała polecenia.

- Zrobimy wszystko, żeby jak najmniej była dla was uciążliwa gościna w naszym domu - mówiła.

Przez kilka pierwszych dni Jan Kropidło był bardzo zajęty, a dwór nie mógł opędzić się od gości, przybywających, żeby pokłonić się księciu, ofiarować mu swoje służby czy choćby tylko zobaczyć go i zamienić zdanie. Biskup udzielał błogosławieństwa, gawędził z niektórymi i nie widać było, żeby sprawiał mu przykrość pobyt w tej niewoli.

- Widzicie? - zapytał szeptem pierwszego dnia pan Jenó. - Tak może wyglądać wasze dalsze życie. Sława, bogactwo, zaszczyty i szacunek ludzi. Sami sobie wybraliście.

Księżę krzywił się trochę na takie gadanie, bo odbierał je jako drwinę, ale nie miał lepszego pomysłu. Skoro zgodził się poddać królewskiej woli, przysiągł wierność i w swoich listach powiadomił o tym wszystkich, pozostawało mu jak najlepiej grać swoją rolę. Szybko też doszedł do wniosku, że skoro nie ma innego wyjścia, powinien niewolę urządzić jak najwygodniej. Już po kilku godzinach miał wokół cały dwór, z dworzanami, służbą i pachołkami. Pan Jenó przydzielił gościowi dwóch służących, a wśród nich młodego diakona imieniem Wojciech, który był jednocześnie jego osobistym sekretarzem. Ten jednak, podobnie jak inna służba, nie mógł zostawać w izbie pana na noc, a zajmował po-

słanie w czeladnej. Biskup miał prawo korzystać z konia, którego przydzielił mu starosta. Zgodnie z umową, jaką zawarł z panem Jeną, mógł swobodnie poruszać się w obrębie dworu, nikt nie bronił mu uczt i spotkań. Tylko na wyjazdy poza dworskie opłotki musiał każdorazowo uzyskać zgodę starosty, a wtedy sam pan Jeną miał mu towarzyszyć.

- Możecie robić, co tylko chcecie - zapowiedział pierwszego dnia starosta. - Możecie siedzieć z nami przy stole albo, jeśli uważacie, że ucierpi na tym wasza godność, każę urządzić wam stół oddzielnie.

Biskup zgodził się na te warunki i został domownikiem Krasawy, w którym nikt nie domyśliłby się jeńca.

- Ale wyjadę natychmiast, gdy nadejdą listy od króla -zapowiedział.

Jednakże, choć był więźniem Krasawy i jej gospodarzowi co i raz to przypominał, czuł się we dworze wcale nieźle, bo chodził zadowolony i uśmiechnięty. Sprawiał nawet wrażenie, że polubił miejsce i zamieszkujących je ludzi.

Był bardzo pożądanym kompanem przy stole, bo rozmownym, znającym świat, skorym do żartów i śmiechu. Do pani Aleny odnosił się z wielkim poważaniem, usłyszawszy o przyczynie częstego jej smutnego zamyślenia.

Życzliwie wypytał o wszystko, a dowiedziawszy się o losach Mikołaja, sprawą był najwyraźniej przejęty.

- Przykro, że straciliście jedyne go syna - powiedział. - Ale z pewnością wiele niewiast zazdrości wam takiego syna, który, jak słyszałem, był człowiekiem prawym, dobrym rycerzem. Wielką macie zasługę przed Bogiem, że urodziliście kogoś, by poległ w obronie wiary i świętych znaków Boga.

Pani Alena prosiła o modlitwy w intencji syna, spodziewając się, że pobożność biskupa walnie przyczyni się do zbawienia Mikołaja.

- Zawsze to modlitwa biskupa więcej warta przed Bogiem niż zwykłego człowieka, choćby i księdza - powtarzała.

Czekanie na królewską łaskę przedłużało się jednak, a nawykły do ruchu i zmiany książe biskup, który niewiele miał rozrywek w Krasawie, zaczął się niecierpliwić. Pan Jenó ograniczał jego poruszanie się po Dolinie, w samym dworze mało bywało gości, a dostojnemu więźniowi szybko znudziło się codzienne życie pod krasawskim dachem. Obejrzał już wszystko, co było do zobaczenia, prawie z każdym porozmawiał i spragniony był odmiany.

Książę biskup poznał już dokładnie losy pana Jenó, jego żony, ich rodziców i krewnych. Starego Jakuba, który był ojcem pani Aleny oraz jej brata przyrodniego, okrutnego Osta-sza. Znał historię starego Jury, który niegdyś był kowalem, cudowne jego ocalenie i odnalezienie się u boku dzikiego wilka. Oglądał gwoździe, jakie pan Jenó wbił niegdyś w drzwi dworu, oznaczając kolejne pokolenia jego rodu. Poznał historię Mikołaja i jego miłości do Hedwigi i poznał panią Roksanę, która zarządzała Lipową podczas nieobecności żony Mikołaja, poznał też obu jej wychowanków, bliźniaczych braci Marcina i Mateusza, którzy byli synami Mikołaja i Hedwigi. Znał już panią Marinę z Potoka i jej syna Dominika, znał pana Mateusza z Pilczy i wszystkich chyba sąsiadów.

Wszystko to jednak zabrało mu niewiele czasu i nudził się najwyraźniej, nawykły do wielkiego świata, dworów, intryg, tłumów, do miast, jarmarków. Pojechał ze starostą i panią Aleną do świątyni na Jasnej Górze, gdzie modlił się przed Cudownym, Obrazem, odwiedził pobliskie miasta i dwory. Tylko do Mstowa nie zabrał go pan Jenó w obawie, że przeor Jaszek odgadnie rolę starosty w królewskim spisku.

Gość Krasawy

Ze wszystkich mieszkańców Krasawy biskup Jan Kropidło najbardziej upodobał sobie Elżbietkę. Córka gospodarzy dworu od pierwszego ich spotkania wzbudziła jego podziw i uznanie. Choć raczej skryta i małomówna, potrafiła celnie odpowiedzieć. Zaimponowała gościowi wiedzą o świecie, a także umiejętnością czytania. On sam był uczonym i światowym człowiekiem, który te zdolności umiał cenić. Biskup Jan lubił rozmawiać z Elżbietką, traktując dziewczynę jako nadzwyczaj rozsądną i dobrze wychowaną, mającą przed sobą wielką przyszłość.

Elżbietką miała prawie piętnaście lat, a jej umowa ślubna z panem Konradem ze Szczekocin była już uzgodniona w najdrobniejszych szczegółach. Dość wysoka, wdzięczna, zwinna, z bujnymi jasnymi włosami i wesołymi oczami, pełnymi ustami mogła podobać się mężczyznom, a i ksiądz Jan natychmiast zauważył wszystkie jej przymioty.

- Pewnie wielu młodych panów stara się o waszą rękę - powiedział na powitanie, zaraz przy pierwszym spotkaniu.

Elżbietką zaczerwieniła się i uciekła wzrokiem.

- Jestem posłuszna postanowieniom ojca i matki - odpowiedziała nieśmiało.

Pani Alena, zadowolona z pochwał, jakie pod adresem jej córki wypowiadał dostojny gość, natychmiast też wyjaśniła, że Elżbietką ma już narzeczonego, a ślub odbędzie się za kilka miesięcy.

- Odrowąże zacny ród - zgodził się biskup Jan. - Zacny

i możny. Konrada wprawdzie nie znam, ale myślę, że nie jest gorszy od innych. Choć prawdę mówiąc, szkoda was

dla niego. Jesteście taka piękna i wdzięczna, że wydać by was za kogoś znacznie godniejszego. Dalibóg, sam bym chętnie was wyswatał! Na pewno znajdziemy kogoś, kto bardziej godny waszej urody i ręki!

Elżbietka rumieniła się, pani Alena dumnie unosiła głowę, ale pan Jenó nie był zachwycony.

- Czemuś taki smutny? - zapytała pani Alena. - Czy cię nie raduje, że naszą Elżbietkę tak wysoko ceni ksiązę opolski?

- Nie jestem pewny, czy mówi szczerze - przyznał się do swoich obaw pan Jenó. - Ma on przecież interes, żeby wkraść się w nasze łaski, a nie wiem, czy z tego co dobrego wyniknie.

Jednakże nie bronil córce rozmów z biskupem ani uczestniczenia w rozrywkach, jakich za sprawą możnego gościa nie brakowało odtąd w Krasawic Jan Kropidło z własnej szkatuły płacił za rozmaitych muzykantów i sztukmistrzów, którzy nagle zaczęli pojawiać się w Dolinie w większej niż zwykle liczbie, wietrząc hojnego pana.

Małżeństwo Elżbietki było już postanowione i pan Jenó w ostrym tonie zwrócił się do biskupa, żeby nie wtrącał się do spraw, które należą do ojca dziewczyny. Biskup oczywiście był przekonany, że wyświadcza staroście wielką łaskę i obraził się nawet na pana Jenó, ale prędko pogodził się z tym, że w sprawach zamęścia córki ojciec powinien mieć ostatnie i najważniejsze słowo.

Ale nie przestał jednak adorować Elżbietki, bawiac ją dworną rozmową, opowiadając o świecie i roztaczając przed nią miraż wielkoświatowego życia. Rodzice dziewczyny nie bardzo byli z tego zadowoleni, widzieli miejsce Elżbietki przy boku męża w Krasawie, która w całości miała jej przypaść po ich śmierci.

- Wielki świat jest dobry dla wielkich - powtarzała pani Alena. - Elżbietce wystarczy, żeby nauczyła się zarządzać swoim dworem. Nie potrzeba jej za wiele wiedzieć o królewskich czy biskupich dworach, bo nie będzie na nich bywać od rana do nocy, a co najwyżej raz czy dwa w życiu.

Po tym jak zaginął Mikołaj, pani Alena drżała o los córki i nie chciała jej puszczać od siebie ani na krok.

- Najlepiej jej będzie w Krasawie - przekonywała męża tak długo, aż wymogła na nim taką obietnicę.

Tak też prowadził rozmowy pan Jenó z panem Janem ze Szczekocin. Ustalono zatem, że Elżbietka zamieszka z Konradem we dworze jej ojca, na co pan Jan zgodził się chętnie, bo miał starszego syna u siebie, dla którego przeznaczał swoje dziedzictwo zgodnie ze zwyczajem, a Konrad jako młodszy i tak musiałby szukać majątku poza Szczekocinami. Pan Jan był z takiego rozwiązania wielce rad i to on naciskał na przyspieszenie terminu ślubu, początkowo planowanego dopiero późną jesienią.

Elżbietka polubiła długie rozmowy z dostojnym gościem Krasawy, który odnosił się do niej bardzo dwornie i świadczył liczne uprzejmości. Wcześniej nie zakosztowała zbyt wielu rozrywek i nie przypuszczała nawet, że jej życie może się aż tak odmienić. Bo niby matka uczyła ją zarządzać dworską służbą, ale czyniła to pozornie, sama kierując wszystkim, a Elżbietka w ważnych sprawach nie miała nic do powiedzenia. Biskup, opowiadający o wielkich dworach, pięknych damach i rycerzach, miastach, klasztorach i zamkach, był wspaniałym rozmówcą i nocami Elżbietka lubiła marzyć, że i ona kiedyś zobaczy wszystkie te miejsca. Nie chciała naśladować matki, której życie upływało w domu i najbliższej okolicy. Ojciec bywał we świecie i podobno także widział te wszystkie cuda i dziwy, ale był małomówny, niewiele ze swoich wojaży się zwierzał. Elżbietka marzyła o dalekich miastach i dworach i choć jako posłuszna córka nie odważyłaby się sprzeciwić matce, odczuwała jednak wobec niej żal, że chce ją zamknąć w domu.

- Może powinnam zobaczyć świat - pytała nieśmiało.

- Ależ zobaczysz - uspokajała pani Alena. - Mąż cię niejedną raz zabierze w wiele ciekawych miejsc.

Sama nie była zwolenniczką takiego wychowania.

- Kobieta powinna być pobożna i skromna, a myśleć przede wszystkim o sprawach domowych - mówiła. - Bo popatrz tylko na panią Judytę. Ojciec jej zanadto pobleżał, wysyłał na cudzoziemskie dwory i jak skończyła? Ani męża, ani dzieci, ani nawet domu.

Elżbietka nie знаła pani Judyty, choć wiele o niej słyszała. W całej Dolinie osoba żony Ostasza była przykładem, jakiego nie należało naśladować. Pani Judyta przepadła po śmierci Ostasza, nikt nie wiedział, co się z nią później stało, a to był najlepszy dowód na to, że trzeba się wystrzegać jej losu.

- Twój ojciec najlepiej wie, co jest dla ciebie wskazane - powtarzała pani Alena. - Przecież nie chce cię skrzywdzić, ale pomóc ci ułożyć życie tak, żebyś była zadowolona i szczęśliwa.

Choć biskup Jan Kropidło powtarzał Elżbietce, że zasługuje na lepszy los niż małżeństwo z młodszym synem pana ze Szczekocin, kiedy narzeczony pojawił się któregoś dnia, księżę odnosił się do niego uprzejmie i okazywał łaskę.

- Sam chętnie udzieliłbym wam ślubu z tak zacną panną - oznajmił przy powitaniu.

Młody Konrad dziękował uniżenie, zerkając na Elżbietkę wzrokiem pełnym zadowolenia.

Do księcia biskupa odnosił się z wielkim szacunkiem, ten zaś natychmiast trafnie ocenił, że ma przed sobą młodzieńca bardzo łagodnego usposobienia, spokojnego, opanowanego, nieco nawet nieśmiałego.

Szczególnie uważnie wysłuchiwał rad i pouczeń, kiwał głową i jak najsolenniej obiecywał do owych dobrych rad się zastosować.

- Niewiasta w domu bardzo ważna rzecz - mówił biskup Jan. - Ona wprowadza pod dachem ład i porządek. Jej przyrodzoną rolą jest słuchać męża, ale każdy wie, że dobra, zgodliwa kobieta, która umie odpowiednio zadbać o męża, to wielki pożytek dla wszystkich. Urodzi wam wielu synów, ród wzmocni, a wam pozostanie już tylko go rozszławić.

- Tak, tak - potakiwał Konrad niepewnie.

- Ale oczywiście nie wolno niewieście zanadto pobłażać -ostrzegwał biskup. - Mąż jest głową rodziny, do niego należy władza, on jest od tego, żeby nagradzać posłuszeństwo i od tego, żeby karać za nieodpowiednie zachowanie. Osobiście wszystkim panom zalecam, żeby żonę czasem przykładnie stłuc, nawet niekoniecznie wtedy, gdy jest czemu winna, ot tak dla zasady.

Akurat te rady nie do końca przekonały Konrada.

- Jak to stłuc? - pytał. - Tak za nic?

- Nie za nic - wyjaśniał biskup. - Dla Zasady. Dla tego, żeby pamiętała, jakie jest jej miejsce. Natura niewiasty płocha i jeśli od początku nie poczuje waszej męskiej ręki, nie zaznacie spokoju. Niewiasta może zatruć życie narzekaniem, swarliwością, płocnością właśnie. Kiedy nadto zajmuje się strojami, różowi policzki, zaniedbuje obowiązki, z których pierwszy jest dbać o wygody męża i o jego dobro.

Ksiądz Franciszek Skórka regularnie raz w tygodniu odwiedzał dwór w Krasawie, gdzie zostawiano mu resztki z pańskiego stołu, a często i coś więcej. Opiekował się licznymi wędrowcami i żebrakami, których żywił tym, co miał u siebie i tym, co udało mu się zebrać w Krasawie, Lipowej, Potoku i innych dworach. Wkładał do kosza resztki jedzenia, zbierał odzież, obuwie i rozmaite drobne przedmioty, którymi zwykł był obdarowywać biednych odwiedzających jego kościół.

Do Krasowy przychodził zawsze w środy, kiedy to czekał już na niego worek przygotowany przez panią Alenę. Jego działania, brane przez jednych za chrześcijańskie miłosierdzie, przez wielu zaś za nieszkodliwe dziwactwo, znane były szeroko poza Doliną. Umiał przekonać innych, że powołaniem chrześcijan jest pomagać ludziom i gdy pojawiał się ze swoim koszykiem w którymś ze dworów, nigdzie nie spotykał się z odmową.

Kiedy przyszedł tej środy, spocony, zmęczony, ale jak zawsze uśmiechnięty i dla wszystkich życzliwy, stanął jak wryty na dziedzińcu naprzeciw obcego tutaj człowieka.

- Ekszelencja? - zapytał niepewnie, stawiając na ziemi pusty koszyk, który niósł na plecach. - Czy to możliwe, że ekszelencja tutaj?

Stał naprzeciw, nie wiedząc, jak powinien postąpić. Zrobił krok do przodu, jakby zamierzał przyklęknąć i ucałować rękę dostojnika, ale ten nie wykonał zachęcającego gestu.

- Ja - potwierdził tylko po chwili.

Cofnął jednak dłoń, kiedy ksiądz Franciszek chciał pocałować biskupi pierścień i przyklęknął przed hierarchą.

Potem zrobił krok wstecz, a gdy ksiądz podniósł głowę, nie było przed nim nikogo. Biskup Jan odszedł, nie mówiąc ani słowa.

Ksiądz Franciszek rozejrzał się niepewnie. Wstał z klęczek, podniósł kosz i chwiejnym nieco krokiem ruszył do drzwi dworu.

Pani Alena osobiście napelniła przyniesiony kosz.

- Źle się czujecie, księżę Franciszku? Możecie chory? - zapytała z niepokojem. - Jesteście bladzi i ręce się wam trzęsą...

- Cho... chory? - powtórzył duchowny, który czasem, kiedy był bardzo przejęty, trochę się jąkał. - Nie, pani. To tylko dlatego, że nie spodziewałem się zobaczyć tu dostojnego pana biskupa i chyba go trochę rozgniewałem swoim nierozważnym zachowaniem...

Pani Alena uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Nie martwcie się - pocieszyła. - Księżę biskup jest życzliwy i nawet jeśli rzeczywiście zgrzeszyliście przeciw duchownemu posłuszeństwu, szybko o tym zapomni. Zapewniam was, że kiedy przyjdziecie w przyszłym tygodniu, nie będzie już gniewny.

Ksiądz Franciszek odszedł nieco uspokojony, nie wiedząc, że spotka się z biskupem znacznie wcześniej.

Księżę Jan wyraził chęć odwiedzenia kościoła świętego Marcina i oczywiście pan Jenó nie sprzeciwił się temu. Poszedł sam, mając u boku tylko służącego, jednego z tych, których zadaniem było pilnować jego kroków i donosić o wszystkim staroście.

Na miejscu służący chętnie skorzystał z rady, żeby zostać przed kościołem, bo dzień był ciepły, więc i chłopak z wielką ochotą rozciągnął się na trawie. W pierwszych tygodniach biskup często odwiedzał kościoły, a pacholek nie był aż tak pobożny, żeby we wszystkich tych wizytach towarzyszyć. Tak było i tym razem.

Była sobota i ksiądz Franciszek pracowicie zamiatał posadzkę przed dniem świątecznym. Wiosna była ciepła i sucha, wierni wnosili do kościoła piach na butach i ksiądz miał dość roboty, bo nie chciał korzystać z niczyjej pomocy. Dopuszczał karmionych przez siebie żebraków do rozmaitych posług i prac przy świątyni, ale część z nich zastrzegał dla siebie.

Zamaszyście machał brzoową miotłą, kiedy niespodziewanie usłyszał wyraźny głos:

- Franciszku.

Wezwany zatrzymał się i odwrócił gwałtownie. Stał przed nim biskup Jan, który władczy gestem wysunął rękę do pocałowania. Ksiądz Franciszek odrzucił miotłę, podszedł przyklęknął i pocałował pierścień.

- Witam waszą ekscelencję w mojej świątyni - powiedział nieśmiało, podnosząc się z klęczek i drobnymi kroczkami podążając za dostojnikiem.

Biskup zaciekawionym spojrzeniem obrzucił kościół, niewielki i skromny, więcej nieco uwagi poświęcając tylko witrażom z kolorowego szkła. Niedawno szkiełka zostały umyte i teraz wpadało przez nie jasne słoneczne światło.

- Franciszku - zapytał biskup, nie odwracając wzroku od pięknych, migotliwych wzorów na pobielonych ścianach świątyni. - Co ci powiedziano o moim pobycie w Krasawie?

Zapytany poruszył się niepewnie.

- Niewiele, ekscelencjo - odparł spuszczać oczy. - Jestem skromnym człowiekiem, który nie pyta o sprawy ludzi rnożnych...

Biskup Jan zmarszczył brwi.

- Na pewno coś ci powiedziano - zauważył surowo. - Wiem,

co. Że jestem tu w gościnie i że to sam przyjechałem. Ale ty chyba wiesz, że to nieprawda. Nie jestem gościem, ale więźniem, który swobodnie nie może opuścić domu pod karą zamknięcia w zamkowym lochu. A może powiedziano ci prawdę?

- Nie - przyznał ksiądz Franciszek. - Nic o tym nie wiem. Pan Jenó i pani Alena to dobrodzieje kościoła i moi, więc im ufam i słucham, co mówią. Nie .mnie pytać o cokolwiek więcej.

Jan Kropidło pogroził palcem.

- Bacz, do kogo mówisz - powiedział groźnie. - Bacz do kogo. Nie tylko do biskupa, więc przełożonego, ale i do księcia. Chyba nie zapomniałeś, w jakich okolicznościach się już spotkaliśmy...

Ksiądz Franciszek padł na kolana.

- Wiecie, że pamiętam, ekscelencjo - szepnął.

Biskup Jan patrzył na kolorowy witraż przedstawiający świętego Marcina w zbroi i konno. Święty dawał właśnie żebrakowi połowę swojego płaszcza.

- Coś mi jesteś winny, Franciszku - przypomniał biskup z naciskiem. - Bądź gotowy, kiedy cię o to poproszę.

Ksiądz załkał.

- Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi - przyznał płaczącym tonem, w którym był ból i smutek. - Nie wiem, bo to nie na moją, głowę, ekscelencjo. Ale nie możecie ode mnie wymagać...

Biskup Jan wyciągnął rękę.

- Widzisz ten pierścień? - zapytał. - Widzisz? To ten sam, Franciszku. Ten sam, a ty bardzo dobrze go pamiętasz. I będziesz posłuszny.

- Ale pan starosta Jenó...

- Będziesz posłuszny i spełnisz dokładnie to, o co proszę -powtórzył ksiądz. - Bardzo dokładnie. Bo inaczej™..

Przerwał, obejrzał się na drugie okno, w którym witraż przedstawiał Ukrzyżowanie. Ksiądz Franciszek z otwartymi ustami czekał na kolejne słowa biskupa.

- Inaczej rozpowiem o wszystkim - mruknął biskup cicho, a w jego głosie zabrzmiała groźba. - O wszystkim, Franciszku. Dokładnie o wszystkim. O twojej matce i o...

Łzy pociekły po twarzy księdza.

- Zgubicie mnie!

Ale biskup oderwał już wzrok od witraża, odwrócił się i nie patrząc na klęczącego, poszedł do wyjścia. Dopiero przed drzwiami zatrzymał się na chwilę.

- Zapamiętaj to sobie - powiedział. - Zapamiętaj. Rozpowiem wszystkim i nikt cię tutaj bronił nie będzie, to pewne. Lepiej bądź gotów odpowiedzieć na moje wezwanie. W każdej chwili bądź gotów. No, bywaj zdrów, Franciszku. Do następnego spotkania.

I wyszedł z kościoła, zostawiając duchownego leżącego w pyle na niepozamiatanej posadzce, w prochu i kurzu, z ramionami okrywającymi głowę.

Zmianę w zachowaniu księdza Franciszka zauważyło od razu wiele osób. Tej niedzieli ksiądz Franciszek wygłosił kazanie, które bardzo zadziwiło wszystkich obecnych na nabożeństwie. Zawsze taki dobry, taki radosny, pogodny, życzliwy ludziom, teraz ciskał gromy, piętnował grzechy i straszył piekielnym ogniem.

- Co się stało naszemu księdzu? - dziwowała się pani Alena, powracająca z kościoła wraz z mężem. - Zachowywał się jakby był chory.

- Raczej jak szalony - poprawił starosta. - Myślałem, że zadławi go ta złość, jakiej nie słyszałem nigdy w jego kazaniach...

Podobnie myśleli zapewne i inni wierni, którym dane było tej niedzieli wysłuchać kazania księdza Franciszka, pełnego opisu straszliwych mąk piekielnych, ognia, siarki, ostrych widel, smoły, kotłów z wrzątkiem, ziemi zasypującej oczy i usta, obcinanych członków, odrąbywanych żywcem kończyn nadziewanych potem na diabelskie widły.

Tylko biskup Jan, który wcześniej nie słyszał pogodnych,

słonecznych kazań księdza Franciszka, nie mógł zauważyć odmiany i chwalił niedzielne nauki. Po mszy osobiście wyraził mu swoje uznanie.

- Tak trzeba - pochwalił. - Mocno i dosadnie. Człowiek powinien wiedzieć, że za grzech trzeba odpokutować. I powinien wiedzieć, że pokuta będzie okrutna i ciężka, jak ciężkie były jego grzechy.

Ksiądz Franciszek na pochwały odpowiedział zdawkowo i szybko uciekł do swoich spraw, podobno niecierpiących zwłoki.

- To dziwne - zastanawiała się pani Alena. - Nigdy nie był taki surowy. Nawet powiedziałabym, że bywał nadto łagodny...

- Najwyraźniej przejrzał na oczy - wyjaśnił głośno biskup Jan. - Rzeczywiście mówił z tak wielkim zapałem, jakby sam miał jakiś grzech na sumieniu...

- Ksiądz Franciszek? - zdziwiła się pani Alena. - To człowiek prawie święty. Jakaż on mógłby mieć przewinę na sumieniu?

Biskup Jan podniósł głowę i popatrzył w niebo.

- Nikt nie jest bez winy - przypomniał.

Na razie ksiądz Franciszek nie musiał jednak wybierać między lojalnością do swoich dobroczyńców a posłuszeństwem wobec biskupa. Księżę Jan stracił nagle zainteresowanie uwolnieniem się spod opieki holsztyńskiego starosty, ponieważ został poszukiwaczem skarbów.

Zanudziłby się księżę pan w Krasawic, gdzie życie biegło codziennym, zwykłym rytmem, gdyby nie usłyszał o skarbach.

A kiedy usłyszał, tak się w tych opowieściach rozmiłował, że nie sposób go było od nich oderwać i stale nękał wszystkich naokoło, żeby mu ciągle na nowo o owych bogactwach opowiadali.

Wkrótce znał już wszystkie opowieści, jakie powtarzano w Dolinie, bo słuchał ich chętnie tak z ust rycerzy, jak ich żon, ale też i zwykłych ludzi. Znał historię pana Jeny i roz-

bójnika Maramy, wiedział o skarbie Maćka Borkowica, którego król Kazimierz zamknął w głodowym lochu w Holsztynie, i nagle zapragnął odszukać owe tajemne skarby. Było to pragnienie tak silne, że o niczym innym nie mógł prawie mówić, jak gdyby w ogóle zapomniał, kiedy zjawił się w Krasawie i z jakiego powodu Wypytywał wszystkich, kto tylko cokolwiek mógł o tym powiedzieć, odwiedzał miejsca, p których słyszał, wypytywał o jaskinie, tajemne przejścia, zasypane studnie.

Pan Jenó śmiał się trochę z tej pasji, ale uznał, że to nieszkodliwe zajęcie, bo księżę pochłonięty poszukiwaniami, zdawał się całkiem nie pamiętać o swoim losie, a był to przecież los więźnia.

- Niech szuka - postanowił. - Niech szuka, przynajmniej będzie miał jakieś zajęcie. Dam mu jeszcze kopaczy do pomocy.

Pani Alena również pochwałała takie plany, choć wyrażała też zaniepokojenie.

- A jeśli rzeczywiście znajdzie skarb? - pytała. - Na twojej, na naszej ziemi? Przecież od dziecka szukałeś tych skarbów i jeśli one są gdzieś, to należą się przede wszystkim tobie.

- Niech szuka - powtórzył pan Jenó. - A jeśli nawet znajdzie, przypilnuję, żebym dostał swoją część, wedle prawa.

Nie sprzeciwiał się wyprawom i wycieczkom biskupa, który ruszał w drogę każdego dnia w inną stronę, wiodąc ze sobą zwykle sekretarza i dwóch przydzielonych kopaczy. Tym kazał kopać w pagórkach albo spuszczać się do studni Ludzie ze wsi, którzy usłyszeli o tej jego pasji, a także i, o tym, że ksiądz chętnie płaci za opowieści o skarbach, sami przychodzili do niego z nowinami albo przynosili mu stare opowieści, powtarzane po dworach, chatach, czeladnych izbach, karczmach i zajazdach. Wszystkich wysłuchiwał, wszystkim płacił, a potem kazał swoim służącym iść w określone miejsca i tam kopać lub innymi sposobami prowadzić poszukiwania.

- Życzliwy człowiek - mówili ludzie. - Ale chyba trochę szalony.

Biskup Jan Kropidło nie znalazł skarbu. Wiele razy mówił, że jest blisko, bo wiadomości, jakie uzyskał, miały potwierdzać miejsce jego ukrycia, ale nigdy nie natrafił choćby i na najmniejszy drogocenny przedmiot.

- Wam to się dziwię - mówił do pana Jeny. - Przecież wy najlepiej wiecie, że to nie są wymysły, a skarby naprawdę istnieją. Czemu więc ich nie szukaliście?

- Ależ szukałem - przyznał się starosta z uśmiechem. - Szukałem, gdy byłem młody, a i później nawet. Jednak podobnie jak wy, niczego nie znalazłem. Co zaś do opowieści i wiarygodnych miejsc, sam mógłbym ich wiele wymienić. Wszystkie sprawdzałem i nigdzie nie natrafiłem na ślad. Byli wprawdzie tacy, którzy podobno coś znaleźli, ale nie udało się im skarbów wydobyć. Najbardziej znana sprawa to historia synów młynarza Marcisza. Zwali się Dobko i Jacek. Podobno znaleźli skarb, ale obaj zginęli w jaskini, a jednego to odnaleziono dopiero po kilku tygodniach. Ostasz, ówczesny starosta, niczym gończy pies szedł tropem ich poszukiwań, ale nie słyszałem, żeby i on coś znalazł, choć kazał kopać w dwudziestu co najmniej miejscach.

- To jednak dziwne - mówił biskup z zastanowieniem. - Skoro skarb jest, kiedyś ktoś go na pewno odnajdzie.

- Być może - zgodził się pan Jeny. - Ale wcale nie jest powiedziane, że nastąpi to za naszego życia.

Któregoś dnia przybył goniec od króla Jagiełły i przywiózł dla pana starosty specjalne posłanie. Był tam także list dla księcia, po którego przeczytaniu biskup Jan uśmiechnął się zadowolony.

- Król zwraca wam wolność - powiadomił starosta. - Pod takimi jednak warunkami, na jakie się zgodziliście. Ze na razie powstrzymacie się przed objęciem swojej nowej diecezji. Proponuje, żebyście na ten czas pojechali gdzieś daleko...

- Wiem - przytaknął Jan Kropidło. - I mnie tak napisano. Cóż robić, skoro przysięga została złożona. Na jakiś czas zejść z królewskich oczu.

- Dokąd się udacie? Biskup zmarszczył brwi.

- Czy wam to nie wszystko jedno? Pojadę, gdzie oczy poniosą.

Pan Jenó uśmiechnął się.

- Pan kanclerz pisze, że niechybnie udacie się na dwór węgierskiego króla Zygmunta...

Księżę zachnął się zaskoczony.

- Na dwór Zygmunta? A skąd niby wie kanclerz, jakie mam plany?

- Nieważne skąd. Ważne, czy to prawda.

- Zobaczymy - odburknął chmurnie biskup i poszedł szykować się do drogi.

Wyjechał ze swoją służbą i swoją okutą skrzynią wczesnym rankiem następnego dnia. Po krótkim, oschłym pożegnaniu. Znowu był księciem, wielkim panem, a nie gościem dworu. Znowu nosił wysoko głowę i uważał, że nie potrzebuje traktować innych z uprzejmością i szacunkiem.

- Niewdzięczny gość - zauważyła pani Alena z westchnieniem. - Staraliśmy się przecież, żeby mu było jak najwygodniej.

Jej córka czuła się niepokieszona, bo spała jeszcze, gdy wóz Jana Kropidly opuścił dwór i nie miała sposobności się pożegnać.

- Jakże to, matko? - pytała zdziwiona. - Księżę biskup wyjechał bez pożegnania niby z jakiej gospody. A przecież sam się napraszał, żeby udzielić ślubu mnie i Konradowi.

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami, niezależnie od szat, jakie noszą - wyjaśniła pani Alena. - Sama widzisz, że najlepiej wyjdiesz, słuchając rad matki. Ale zamiast biadolić z rozczarowania, lepiej jedź do Lipowej i przywieź moje wnuki. Dawno ich nie widziałam, a i pani Roksana nieco odpocznie od ich figłów i psot.

Dominik

Początkowa niechęć pani Aleny i jej męża do Roksany z upływem czasu wyraźnie osłabła. Oboje doceniali, co Roksana robi dla ich synowej jako powiernica Hedwigi i opiekunka Lipowej. Ale częste wyjazdy Hedwigi i konieczność zaopiekowania się jej dziećmi wymusiły na wszystkich jaką taką zgodę i ułożenie spraw. Czasami jeszcze wybuchały kłótnie, gdy chłopcy bawiący u dziadków, przebywali tam zbyt długo. Pani Roksana przyjeżdżała wtedy i żądała ich powrotu. Powoływała się przy tym na wolę ich matki. Pani Alena zwykle sprzeciwiała się i dochodziło do sporów. Ale z czasem i te przycichły. Pani Roksana uprzedzała panią Alenę, kiedy przyjedzie, albo wysyłała przodem pachołka, żeby powiadomił o jej zamiarach. Sprawy się zatem ułożyły i wszyscy mieli za naturalne ustalenia, że bliźniacy część czasu spędzają u dziadków w Krasawie, a część u siebie w Lipowej, pod czujnym okiem pani Roksany.

- No tak - mówiła tylko czasem pani Alena o nieobecnej synowej. - Cudze dzieci, choćby i królewskie, gotowa jest piastować, a dla swoich nie ma czasu.

- Nie przesadzaj - uspokajał pan Jenó. - Piastować królewskie dzieci to przecież honor, a nasze wnuki nie potrzebują już trzymać się matczynej spódnicy. To było ważne rok czy dwa temu, dziś już nie. To przecież prawie mężczyźni. Trudno było odmówić racji temu rozumowaniu i nawet pani Alena, zawsze bardzo zatroskana o chłopców, musiała zgodzić się z mężem.

- Ale mogliby więcej czasu spędzać u nas - zażądała. Spodziewała się oporów opiekunki bliźniaków, ale nie-

spodziewanie pani Roksana, wcześniej dość zazdrosna o obecność bliźniaków we dworze dziadka, tym razem się nie sprzeciwiała.

- Oczywiście - kazała przez posłańca odpowiedzieć pani Alenie. - Są już w tym wieku, żeby ich dziadek zajął się nimi bardziej. Ale samych ich nie wyprawię w drogę do Kra-sawy. Ktoś musi po nich przyjechać.

Pani Alena, zadowolona z takiego rozstrzygnięcia, posłała po bliźniaków Elżbietkę.

Dominik pani Mariny czuł się już na tyle dorosły, że coraz mniej potrzebował opieki Mieszka i próbował się spod tej kurateli uwolnić. Wielkie chłopisko, które nie odstępowało go na krok przez wiele lat, spało u jego progu, miało go na oku podczas zabawy, jedzenia, podróży, bardzo boleśnie odczuwało to odsunięcie. Choć Dominik wiele razy odpędzał Mieszka, kazał mu zostawać z tyłu albo zgoła w domu, Mieszek szedł w trop za paniczem, zawsze gotowy do pomocy - przenieść przez strumień, podsadzić na drzewo, przestraszyć kogoś, kto zanadto zbliżył się do Dominika, a nade wszystko przynieść mu coś do jedzenia. Znany z wielkiego, niepowstrzymanego apetytu jadł cały czas, zawsze i wszędzie poruszając ustami, nigdy i niczym nie gardząc. Kiedy Dominik jeździł do Lipowej, żeby bawić się z bliźniakami, a później ćwiczyć w rycerskim rzemiośle, albo czasem także do Krasawy czy gdzie indziej, zawsze towarzyszył mu Mieszek - obrońca, pacholek, zwierzę pociągowe. Dominik korzystał z jego usług i jego ochrony, ale z czasem coraz bardziej wstydził się wielkiego, zwalistego chłopca, który kochał go wierną, niezwykłą miłością, ale poza tym uchodził za ostatniego głupka.

To Mieszek razem z bratem Tomkiem znalazł przed laty Dominika na swoim polu, gdzie chłopak błąkał się, zostawiony przez matkę, Judytę, żonę pana Ostasza. Mieszek znalazł go za krzakami, wyczerpanego, wygłodzonego, na-

karmił chlebem, napoił mlekiem. Za namową brata odprowadził chłopca do Lipowej, bo mały uważał, że jest synem pana Mikołaja. Pan Mikołaj wyparł się jednak jakichkolwiek związków z wdową po swoim wuju, chłopak trafił do Mariny do Potoka, która przywykła uważać go za swoje dziecko i uznała za przyszłego pana majątku.

Im Dominik był starszy, tym mniej potrzebował Mieszkowej opieki. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo Mieszek był cieniem Dominika, a ten nie zawsze zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele Mieszkowi zawdzięcza, jak bardzo korzysta z jego siły i jego pomocy.

Kiedy jeździł do Lipowej, kazał Mieszkowi trzymać się z daleka, gdyż opiekun gotów był wkroczać, ilekroć mu się wydawało, że powinien, bo uznawał, że jego paniczowi dzieje się krzywda. Psuł w ten sposób zabawę i trzeba było wielu miesięcy starań, tłumaczeń, razów i grózb, żeby wreszcie zapamiętał, co do niego mówiono.

Gdy Dominik podrósł i wydawało się, że Mieszka nie potrzebuje, a nie mógł mu zabronić chodzić za sobą, bo Mieszek nie słuchał takich rozkazów, Dominik zostawiał zwykle chłopca w niewielkiej odległości i wyznaczał mu jakieś zadanie. Kładł płaszcz na trawie i mówił:

- Pilnuj - jakby się zwracał do psa.

I Mieszek pilnował. Siedział obok, stał, leżał - i pilnował. Nikomu nie pozwolił się zbliżyć, a co dopiero dotknąć albo zabrać coś, co należało do Dominika.

- Pilnuj - mówił Dominik.

Szedł bawić się z bliźniakami, a wielki Mieszek siedział na trawie obok pieńka, na którym leżała czapka, rękawiczka albo cokolwiek innego, co należało do Dominika.

Mieszek był dumny z zadań, jakie mu powierzano i wypełniał je bardzo dokładnie. Kiedy Dominik rozkazał pilnować, Mieszek pilnował i nie przeszkadzał mu deszcz, grad ani mróz. Wiedział, że nie może odejść, póki nie zostanie zwolniony. Ale oczywiście pod pewnymi warunkami. Do-

minik nie mógł oddalać się za bardzo, bo to skłoniłoby Mieszka do opuszczenia posterunku. Dominik musiał być w pobliżu, Mieszek powinien go widzieć albo przynajmniej słyszeć, a wtedy było wszystko w porządku - Dominik mógł się spokojnie bawić, a Mieszek mógł spokojnie pilnować.

Tej wiosny Dominikowi szczególnie dokuczała opieka Mieszka.

Po odejściu pana Jordana, którego jakiś czas uważał za ojca, po wykretach matki oraz niepewnych uwagach służby, a przede wszystkim starszego z bliźniaków, Dominik był przekonany, że ukrywają przed nim prawdę i bardzo chciał się jej dowiedzieć.

Sprawa pani Mariny coraz więcej kłopotów i bywało, że źle się do niej odnosił.

- Oszukiwaliście mnie - mówił z pretensją. - Oszukiwaliście, że pan Jordan jest moim ojcem, a to wcale nie prawda.

Jaka jest więc prawda, matko?

- Kiedy indziej ci to powiem - zbywała go Marina. - Teraz mnie nie pytaj, bo to za poważna sprawa dla dziecka.

- Nie jestem dzieckiem - dąsał się.

- Ależ jesteś, oczywiście, że jesteś. I dla mnie zawsze będziesz dzieckiem.

- Ale nie dla innych - upierał się. - Nie dla innych. Chyba powinienem wiedzieć.

- Jesteś za młody - powtarzała Marina.

- Tak? - burmuszył się. - To dowiem się wszystkiego od irynych. Dowiem się, a wtedy zobaczymy!

Podczas jednej z tych chłopięcych zabaw w Lipowej Marcin, najstarszy i uważający się za przywódcę i wodza, po raz kolejny postawił na swoim, wbrew bratu i wbrew Dominikowi.

Syn Mariny, rozżalony, omal się nie popłakał. Odszedł z zaciśniętymi pięściami, rzucając pod nosem pogrózki.

- Jeszcze pożałujesz! - obiecywał. - Jeszcze pożałujesz! Zawstydził się, ujrawszy panią Roksanę, bo widziała

najwyraźniej nie tylko, jak się zachował, widziała jego zaciśnięte pięści i pewnie widziała także łzy w oczach. Zawstydział się, ale pani Roksana uśmiechnęła się zachęcająco.

- No, nie martw się - powiedziała. - Nie martw się, bo to tylko zabawa.

Dominik spojrział z wdzięcznością. Pani Roksana często go brała w obronę, choć przecież takiej obrony nie potrzebował, był prawie dorosły.

- Nie martw się - powtórzyła. - Nieważne, kto wygrywa w zabawie. Ważniejsze, kto wygrywa naprawdę, w życiu.

Pani Roksana patrzyła życzliwie i Dominik niespodziewanie nawet dla siebie poczuł do niej sympatię i **Zaufanie:**

- Bo Marcin lubi przesadzać - poskarżył się. - Często wcale nie wygrywa, ale zawsze umie tak wszystko pokreślić, że jego jest na wierzchu.

- To prawo najstarszego i dziedzica - zauważyła. - Ty pewnie wygrywasz, kiedy jesteście w Potoku, on tutaj w Lipowej, u siebie. Tutaj wygrywa, bo czuje się pewnie i ma nad tobą przewagę. Ale po prawdzie sam sobie jesteś winien. Skoro bowiem nie umiesz upomnieć się o swoje prawa...

- Umie - zaprzeczył Dominik. - Umie, ale sami mówicie, że jest na swoim, co daje mu przewagę nade mną i nad Mateuszem.

Pani Roksana rozejrzała się.

- Chyba jesteś dość duży - powiedziała z zastanowieniem. A potem jakby się rozmyśliła.

- Nie - westchnęła. - Chyba jednak nie. Chyba nie jesteś jeszcze gotowy podjąć wyzwania i upomnieć się o swoje prawa...

Wycofała się, ale już wystarczająco zdążyła zainteresować chłopaka.

- Nie wiem, o czym mówicie...

- Nie wiesz? Ach, prawda - pani Roksana jakby dopiero teraz przypomniała sobie coś ważnego. - Prawda, że byłeś mały i możesz tego nie pamiętać...

Teraz Dominik w żadnym wypadku nie chciał odejść, póki

nie dowie się wszystkiego. Czasem coś ktoś wspomniał, coś napomknął, a on nie umiał tego złożyć w całość. Wiedział tylko, że sprawa dotyczy jego i jest ważna, nawet bardzo ważna. Próbował się dowiedzieć, ale nikt nie chciał mu nic konkretnego wyjawić, a już matka szczególnie surowo zabroniła takich rozmów.

- Nie, bo nie - odpowiadała. - Jesteś jeszcze za mały.

A przecież Dominik wcale nie uważał się za małego. Był prawie dorosły.

- Powiecie mi? - zapytał teraz z nadzieją. - Wszyscy wkoło mnie szeptają, czasem coś ktoś powie, ale ja nie wiem wcale o co chodzi. Matka powiada, że jestem za młody. A to na pewno coś ważnego. Mam wrażenie, że wszyscy to wiedzą, tylko ja jeden nie mam o tym pojęcia.

- Pewnie to i prawda, że przy tobie nie chcą roztrząsać tej sprawy, nawet się nie dziwię - zgodziła się pani Roksana.

- Powiedziałabym ci nawet to i owo, ale nie jestem pewna, czy umiesz dochować tajemnicy.

- Umie, oczywiście, że umie - zapewniał żarliwie. Ale pani Roksana nie była do końca przekonana.

- No, nie wiem... - zastanawiała się.

- Ale na pewno - potwierdzał i gotów byłby nawet przysięgać.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Właściwie ci wierzę - powiedziała powoli. - Nie wiem tylko, czy sobie zdajesz sprawę z tego wszystkiego. Jeśli się tego dowiesz, nic już nie będzie takie jak dawniej. Nic nie będzie takie samo. Rozumiesz? I będziesz musiał się stać dorosły, bo nie będziesz miał innego wyjścia.

- Chcę już być dorosły - zapewnił.

Dominik rzeczywiście wyglądał dojrzałe jak na swój wiek. Wzrostem wprawdzie nie dorównywał młodszemu o kilka miesięcy Marcinowi Lipowskiemu, ale temu nikt z rówieśników nie dorównywał. Starszy z bliźniaków bardzo był podobny do ojca, a w Dolinie nie znano nikogo wyższego od pana Mikołaja z Lipowej.

Dominik był natomiast mocniejszy w sobie, miał szerokie ramiona, mocny kark i dawno już zapomniano, że w dzieciństwie był chudy i słabowity. Dominik prezentuwał się teraz jako zgrabny, smukły chłopak, młody mężczyzna. Miał jasne włosy i podłużną twarz o nosie nieco zbyt dużym, ale prostym.

- Może i jesteś dostatecznie duży - wahała się pani Roksana. - Może już dojrzałeś, żeby dowiedzieć się wszystkiego. Nie wiem tylko, czy powinieneś to usłyszeć ode mnie. Twoja matka nie będzie zadowolona, gdy dowie się, że wszystko ci powiedziałam.

- Chcę wiedzieć - prosił. - A matce nic nie powiem. Chcecie, to nawet przysięgnę zachować tajemnicę.

- Przysięgniesz? - uśmiechnęła się Roksana. - No nie wiem, muszę się nad tym zastanowić.

- Więc kiedy?

- Kiedy? No, muszę pomyśleć. Powiem ci po weselu twojej ciotki Elżbietki. To już niedługo. Jej ślub za trzy tygodnie. Tylko pamiętaj, nikomu ani mru-mru, że cokolwiek wiesz ode mnie.

- Przysięgam - zapewnił Dominik.

Pobiegł zaraz do domu. Niczego nie zdradził matce. Powiedział tylko tyle, ile uważał, że może.

- Nie chcecie mi nic wyznać o moim ojcu? Dobrze, nie mówcie. Kto inny mi powie. Ciekawe, co wtedy zrobicie, gdy będę wiedział już wszystko.

Marina zatrzymała się i spojrzała na syna. Był rzeczywiście duży, większy niż się jej wydawało. Po prostu rósł tak szybko. Był prawie dorosły. Kiedyś się dowie. Na pewno się dowie.

- Wszystko? - zapytała, wycierając dłonie. - Nie, mój chłopcze. Wszystkiego nikt się nie może dowiedzieć.

Nauczyciel

Wiosna 1399 - Bursa

Kupców było czterech. Wszyscy pochodzili z odległych krajów, od lat prowadzili handel z ziemiami tureckiego sułtana. Aż do tej chwili, w której Bajazyt, zwany Błyskawicą, zmienił swoją wolę. Nigdy już nie pojedą w podróż handlową, nigdy już prowadzone przez nich karawany nie ruszą z miejsca.

Wieszano ich właśnie nad Zachodnią Bramą, jednego przy drugim.

- Nie odwracaj głowy, nauczycielu - zażądał Misani al-Rifad. - To z twojego powodu przygotowano to widowisko.

Misani al-Rifad, zaufany lekarz sułtana, otwartymi dłońmi chwycił głowę towarzyszącego mu człowieka i odwrócił jego twarz w kierunku placu.

- Widziałeś? - zapytał. - Wiem, że widziałeś, a tylko udawałeś zamykanie oczu. I spodziewam się, że wyciągniesz z tego odpowiednią naukę. Zastanowisz się, zanim znowu podejdziesz do kogokolwiek z obcych i otworzysz usta.

- To zbrodnia! - zawołał człowiek, nazwany nauczycielem. - Prosiłem ich tylko o to, żeby dali znać mojej rodzinie.

Nie popełnili żadnego przestępstwa!

- Popełnili - odpowiedział z naciskiem al-Rifad. - Rozmawiali z tobą, a tobie nie wolno odzywać się do obcych.

Arsan, dowódca sułtańskiej straży, sprawdzał tymczasem, czy kupcy na pewno oddali ducha, a potwierdziwszy to, dał znak swoim żołnierzom, żeby wracali do pałacu. Zbrojny oddział zawrócił i wolno przejeżdżał ścieżką w tłumie wznoszącym okrzyki przeciw zdrajcom, którzy odważyli się zdradzić sułtana.

- Wielki Bajazyt, oby jego imię było wieczne, był bardzo niezadowolony, że musiał wydać ten rozkaz - wyjaśnił al--Rifad. - Sułtan popiera handel i z ogromnym bólem kazał stracić tych ludzi, bo nie łatwo o dobrych i lojalnych kupców. Ale nie mógł postąpić inaczej, ponieważ nie może ścierpieć nieposłuszeństwa.
- Ale nie rozumiem! - krzyczał towarzysz lekarza. - Nie rozumiem, czemu tak postępuje. Czemu nie chce za mnie okupu? Wziął przecież okup za innych rycerzy chrześcijańskich. Mam majątek ziemski i stać mnie na zapłacenie nawet wysokiej sumy.
- Tłumaczyłem ci to wielokrotnie, giaurze. Ty nie jesteś jeńcem. Ty jesteś rzeczą, która do niego należy, rzeczą jaką chce mieć przy sobie. Jak pas, buty albo turban. Nie jesteś zdobyczą wojenną, ale jedynie znalezioną rzeczą. Nie podlegasz wojennemu prawu i sułtan nie zamierza cię wymieniać, jak zrobił to z innymi chrześcijanami. Jako rzecz sułtana, nie możesz równać się z rycerzami, których wymienił za okup.
- A list? Czy mógłbyś poprosić, żebym mógł posłać list do mojego kraju? Przecież nie proszę o wiele. Chciałbym tylko napisać mojej żonie, że żyję. Jedno słowo. Tylko jedno słowo.
- Nie możesz wysłać listu. Bo ty przecież nie żyjesz, giaurze. Kazał cię sułtan podnieść z pola bitwy jako nieżywego i tylko łaska Allaha tchnęła w ciebie życie. Więc urodziłeś się na nowo. Nie masz przeszłości, zatem i nie możesz mieć żony. Raczej wróćmy do naszych obowiązków. Czy mówiłem ci, że sułtan docenia twoje umiejętności i jest zadowolony z postępów, jakie poczynili twoi uczniowie? Wielu z nich potrafi już sprawnie mówić w obcych językach. To wielka twoja zasługa. Kto wie, czy któregoś dnia nasz pan nie wyznaczy ci nagrody.
- Nagrody? Niechaj więc mi pozwoli wysłać list do żony. Tylko jedno słowo. Jedno jedyne słowo.
- Al-Rifad wydał wargi.
- Żadna niewiasta nie jest warta tego, żeby z jej powodu

narażać się na gniew wielkiego sułtana. Ja w każdym razie tego nie zrobię. I ciebie proszę, żebyś był rozsądny i posłuszny.

- Nieprawda! Hedwiga jest warta wszystkiego. Al-Rifad zachnął się zniecierpliwiony.

- To są wymysły, giaurze. Wasze pojęcie o kobietach jest godne politowania. Podobno uważacie nawet, że kobieta ma duszę. Ale zastanowię się nad tym, co powiedziałeś. Chyba rzeczywiście potrzebujesz towarzystwa niewiasty. Może będę mógł poprosić o którąś dla ciebie. Jesteś silny i na swój sposób piękny. Pewnie niejedna z niewiast na sułtańskim dworze byłaby szczęśliwa w twoich objęciach.